

KRYZYS NA SZCZYZIE
Czy słabość Andrzeja Dudy
pogrąży PiS

ŚWIECCY W KOŚCIELE
Czas na nowy
podział obowiązków

KTO RZĄDZI ŚWIATEM
Jawne powiązania,
koterie i ukryte sieci

CIAŁO SIĘ UDAŁO
Odpuść sobie
mankamenty

Kraków 15 marca 2020 nr 11 (3688)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Tu zaczyna się nowy świat

Reportaż z wyspy
uchodźców



PREMIERA!

Piszą: Brzeziński, Jagielski, Kuźmiński, Lamża,
Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński,
Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”
„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą. Więcej na powszech.net/raport

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ, JANKOWSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

PARTNERZY
WYDANIA

znak

**UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE**

FCA
Polskie Centrum Akredytacji

ZAiKS

**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie**

allpe

ECS
Europejskie
centrum
solidarności

GEERS
DOBRY SŁUCH

**Polska
Rada
Biznesu**

**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie**

S-NET

KS. ADAM

Boniecki: Desperacka obrona granic Europy

KIEDY EUROPA SIĘ BORYKA Z KORONAWIRUSEM, na jej obrzeżach, na granicy między Grecją i Turcją, rozgrywa się kolejna faza dramatu imigrantów. Píše o tym w numerze nasz wysłannik na Lesbos, Marcin Żyła.

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan w 2016 r. zawarł z Unią Europejską umowę, że w zamian za 6 miliardów euro zatrzyma imigrantów, budując dla nich system obozów (osiedli?) wzdłuż granicy. I właśnie z tej umowy się wycofał. Zrobił to, żeby – jak mówią komentatorzy – ukarać Europę za odmowę wsparcia jego kraju w wojnie z Syrią. Tak więc prezydent Erdoğan zmienił zdanie i ogłosił otwarcie granicy turecko-greckiej dla wszystkich zmierzających do Europy i zachęcił przebywających w Turcji uchodźców do skorzystania z okazji. Grecja zaś, która od 2015 r. przyjęła ponad sto tysięcy imigrantów i która miała u siebie 87 tys. oczekujących na przyznanie azylu (połowa z nich przebywała w obozach na Wyspach Egejskich), nie zamierzała otwierać swoich granic dla kolejnych dziesiątków tysięcy imigrantów. Tymczasem na granicy zgromadziło się 10, może nawet 20 tys. ludzi usiłujących przedostać się do Grecji, a tym samym do Europy. Grecka policja, straż wybrzeża, wojsko, organizacje paramilitarne (wśród których szczególną gorliwością wyróżnia się neofaszystowska partia Złoty Świt) zostały postawione w stan gotowości w obronie granic. By powstrzymać tłum imigrantów, sięgnięto po gazy łzawiące, broń palną (z gumowymi pociskami), psy policyjne. Jest wielu rannych, według Turków także kilka osób zabitych (co Grecy demenują). Ci, którzy zdołali przekroczyć granicę, są wyłapywani i oddawani w ręce policji. Oddziały paramilitarne spychają do



morza pontony, na których przybywają (np. na Lesbos, gdzie już są tysiące uchodźców) nowi imigranci. Niszczone są silniki w łodziach. Imigranci nie pozostają dłużni, odpowiadają granatami z gazem łzawiącym i kamieniami. Arcybiskup Aten Sevastianos Rossolatos wezwał Europę, by przysłała z pomocą owej „masie biednych ludzi, których presja jest ogromna”. Europa odpowiedziała dość skromną pomocą humani-

tarną i decyzją wysłania oddziałów Frontexu – europejskiej agencji broniącej granic. Solidarność z Grecją zadeklarowało już kilka państw europejskich. Niemcy oświadczyły, że droga do krajów Unii Europejskiej nie jest dla imigrantów otwarta.

Forsujący granicę tłum rwący się do wymarzonej Europy budzi lęk. Rozbudzone przez tureckiego prezydenta otwarciem granicy nadzieje łatwo mogą się zmienić w rozpacz lub wściekłość. Relacje o wydarzeniach na granicy grecko-tureckiej niedwuznacznie wskazują, że dzieją się rzeczy straszne. Wprawdzie przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen liczy na nowe porozumienie z Turcją, ale nie jest ono pewne. Za jaką cenę Erdoğan mógłby się cofnąć i na jak długo?

Trudno przewidzieć, jaki będzie finał, czy raczej dalszy ciąg dramatycznych wydarzeń na granicy UE. Wydaje się jednak, że nad zjawiskiem „wędrowek ludów” do tej pory nikomu nie udało się zapanować. Temu ciśnieniu, które zmusza biednych, żeby ruszyli ku lepszemu życiu, nie sprosta ani postnaziści, brutalny Złoty Świt, ani ustanowiony przez Unię Europejską Frontex.

Myślę, że dziś nie ma sensu pytać o to, czy imigranci przybędą do Europy, bo odpowiedź jest oczywista. Jeśli o coś należy pytać, to raczej o to, jak możemy się przygotować. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już w środę 25 marca z „Tygodnikiem” kolejny przewodnik

„Włóczykij Kulturalny. Przebudzenie” a w nim m.in.:

Olga Drenda na walizkach

Adam Robiński nocą za miastem

Piotr Kosiewski wygląda nowalijek

Co nowego robi NOON

– sprawdza Jan Błaszczak

weź, czytaj!

Jeśli chcesz pokazać swoje wydarzenie w naszym przewodniku – napisz na: reklama@tygodnik.com.pl lub zadzwoń: **603 331 791**.

22 Czy słabość prezydenta pogrąży PiS ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM, POLITOLOGIEM:

*Jeśli prezes
dziś mówi, że
Andrzej Duda
jest kandydatem
marzeń,
to pewnie dlatego,
że mu przez
te pięć lat realnie
nie podeskoczył.*



34 Nadchodzi czas świeckich

SEBASTIAN DUDA

Dlaczego świeccy nie mieliby uczestniczyć w synodach, głosić homilii czy zarządzać finansami wspólnot?

44 Superwyścig

**PIOTR
TARCZYŃSKI**
*Cztery lata temu
Republikanie
panicznie
reagowali na
perspektywę
nominacji Donalda
Trumpa.
Władze
Demokratów
równie
histerycznie
reagują na
Berniego Sandersa.
Czy wyciągnęły
wnioski z tamtej
lekcji?*



60 Skąd się biorą rytuały

KASPER KALINOWSKI
*Dzięki dekadom badań
antropologów dysponujemy opisem
setek rytuałów występujących
w rozmaitych kulturach.*



64 Kto rządzi światem

**MARCIN
NAPIÓRKOWSKI**
*Jest autorem
bestsellerów,
gwiazdą filmów
dokumentalnych
i ekspertem
rozchwytywanym
przez biznes
i politykę.
Wydaje się, że Niall
Ferguson podpisał
cyrograf z diabłem.*



78 Ciało się udało

MONIKA OCHĘDOWSKA

*Zdecydowana większość kobiet (ponad 83 proc.) lubi swoje ciało
mimo jego mankamentów i nie planuje niczego w swoim
wyglądzie zmieniać.*

6 Państwo w czasach zarazy
PAWEŁ BRAVO

7-13 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

**22 Czy słabość prezydenta
pogrąży PiS** ROZMOWA
Z JAROSŁAWEM FLISEM

26 Nie ma komu kopać rowów
KRZYSZTOF STORY: W górach
zaczyna brakować wody

29 Dealerzy nadziei

MAŁGORZATA SOLECKA: Doktor
Siller po zabiegu w meksykańskiej
klinice powiedział, że chłopiec i tak
był na granicy życia i śmierci

■ ■ **WIARA**

34 Nadchodzi czas świeckich
SEBASTIAN DUDA

**38 Dyrektor i pięciu
kardynałów** MICHAŁ HELLER:
*Pozegnanie o. George'a Coyne'a
z Obserwatorium Watykańskiego*

**40 Katolik na psychologicznych
skalach** JACEK PRUSAK SJ:
*Czy wiara jest kształtowana przez
naszą konstrukcję psychiczną?*

**43 Kiedy Jezusa nie widać
z powodu tłumu**
ZBIGNIEW NOSOWSKI: *Rekolekcje
wielkopostne: polskie pokusy (3)*

■ ■ **ŚWIAT**

44 Superwyścig
PIOTR TARCZYŃSKI

47 W rytmie igrzysk KAROLINA
KANIA z *Wyspy Sosen na Pacyfiku*

TEMAT TYGODNIKA



LOUISA GOULIAMAKI / AFP / EAST NEWS

14 Tu zaczyna się nowy świat

MARCIN ŻYŁA z WYSPY LESBOS (MORZE EGJEJSKIE)

W tym największym obozie uchodźców
w Europie oraz w pobliskim greckim mieście
wyczerpani są już wszyscy. Gdy z kontynentu
przyjeżdżają aktywiści skrajnej prawicy,
zaczyna się przemoc.

18 Ludzie z hodowli

MAREK RABIJ

Kryzysy humanitarne mogą być także przyczyną,
a nie tylko skutkiem konfliktów politycznych
i militarnych. Polscy politycy nadal próbują
tego nie dostrzegać.

■ **FELIETONY** ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **54 WOJCIECH BONOWICZ**

76 JAN KLATA **77 PAWEŁ BRAVO**

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: Protest „Wstydz się, Europo!”,
Kraków, 7 marca 2020 r.

Fotografia: BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Redaktorzy prowadzący: ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA

50 Kilka Słowacji ROZMOWA
Z ANDRZEM BĄNEM: *Słowaccy
konserwatyści i liberałowie są sobie
bliźsi, niż myślą*

**52 Dane, dane i jeszcze raz
dane** WOJCIECH BRZEZIŃSKI,
AGATA KAŻMIERSKA: *Czy unijne
przepisy o SI powstrzymają
manipulowanie opinią publiczną?*

■ ■ **HISTORIA**

56 Eliminacja
STANISŁAW ZASADA: *80 lat temu
w szpitalu psychiatrycznym
w Kościanie trwała „Aktion T4”*

■ ■ **NAUKA**

60 Skąd się biorą rytuały
KASPER KALINOWSKI

63 Geniusz bez doktoratu
TOMASZ MILLER: *Pozegnanie
Freemana Dysona*

■ ■ **KULTURA**

64 Kto rządzi światem
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

69 Soplicowo w Hubei IZABELLA
ZAJĄCZKOWSKA: *Profesor Yi Lijun
przetłumaczyła ponad 60 pozycji
z literatury polskiej na chiński*

72 Raj na dystans
ROZMOWA Z WIKTOREM
JEROFIEJEWEM, PISARZEM

74 Bank gniewu ANITA
PIOTROWSKA o filmie „Sala
samobójców. Hejter” Jana Komasy

76 Aleksandria jest światem
LEKTOR o „Wierszach wszystkich”
Konstandinosa Kawafisa

■ ■ **ZMYŚŁY**

78 Ciało się udało
MONIKA OCHEŃDOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata: Afganistan**

Donald Trump dogadał się z talibami, ale afgańska wojna
jeszcze się nie skończyła. I nie wiadomo, czy prędko się skończy –
WOJCIECH JAGIELSKI opisuje, jak prezydent USA chce
wykorzystać pokój z talibami tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Luty w nauce [Podkast Powszechny]**

Niebywale inteligentne trzmiele, nanocząstki wnikaące w guzy
nowotworowe, maleńcy galaktyczni postąńcy i gigantyczne wirusy
– **ŁUKASZ LAMZA** przygląda się naukowym newsom minionego
miesiąca powszech.net/styczen-nauka



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl



f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ
TYGODNIA



PAŃSTWO W CZASACH ZARAŻY

Gdzie leży granica między rozsądną profilaktyką a paniką?

PAWEŁ BRAVO

SZYBKIE ROZPRZESTRZENIANIE SIĘ CHOROBY znanej pod abstrakcyjnym akronimem COVID-19, ale budzącej archaiczne – wydawałoby się – stadne odruchy, jest ceną, jaką płaci się za korzyści gospodarcze i osobiste wygody związane z globalizacją. W tym sensie Polska przez pierwsze tygodnie pandemii okazywała się mniej włączona w totalny obieg ludzi i spraw niż wiele bliskich nam krajów. W tym podarowanym przez względną zaściankowość okienku czasowym można było, przyglądając się, jak działają inni, poczynić techniczne przygotowania. A także dostrzec i – życzymy tego sobie – przyswoić sobie zasady, które pomogą stawić czoło temu, co i tak nieuniknione.

Istnieje duża różnica między prostotą indywidualnych strategii ochrony a trudnością, jaką będziemy mieć, by chronić zbiorowość. Z jednej strony łatwe do wdrożenia zalecenia osobiste: unikanie wylewnych powitań, zasłanianie ust i nosa przy kichaniu chusteczką, a nie dłonią, rygorystyczna higiena (oby odruch częstego mycia rąk pozostał z nami na stałe), autoizolacja w przypadku nawet „łagodnych” objawów (zostań w łóżku z gripą – to banał, który lekarze powtarzają co roku, raczej na darmo), wsparcie logistyczne osób starszych, żeby nie musiały wychodzić z domu. Z drugiej niepojęte w perspektywie „normalności” ograniczenie czynności i przyzwyczajen związanych zwłaszcza z wielkomiejskim trybem życia i rozwiniętymi usługami.

*Budowa
tymczasowej izby
przyjęć przy Szpitalu
Akademickim we
Wrocławiu,
4 marca 2020 r.*

gami. Nagle odkrywamy ze zdumieniem, ile pracy i zysku zależy od nieustannego mieszania się wszystkich ze wszystkimi. Wiele rzeczy dotąd całkiem przezroczystych nabiera konturów i ciężaru: widać, w jak gęstą sieć kontaktu zostaliśmy wpleceni.

Gdzie w tym wszystkim jest granica między rozsądną profilaktyką a paniką? Jakie spotkania i projekty odwołać, jakie placówki zamknąć (a widać, że lawina w tym względzie ruszyła i u nas), jakie sprawy, biznesy i imprezy powinny się dalej toczyć – przy założeniu, że jeśli wszyscy przestrzegają prostych norm i dbają o siebie, to tym samym dbają o innych? Potencjalne szkody dla gospodarki i ważnych inicjatyw społecznych da się ograniczyć, jeśli okażemy się dojrzałym społeczeństwem, niż dotąd nam się wydawało. Pokorniejszym wobec dobra wspólnego i rozsądniejszym, niż musi zakładać w czarnych scenariuszach kryzysowych państwo. Zanim zacznie ono – w razie eskalacji kryzysu – ograniczać mocą rozporządzeń nasze swobody (jak uczy przykład Włoch, w ustroju demokratycznym miewa to co najmniej mieszane efekty).

Rozdział jedenasty konstytucji określa, co państwu wolno. Jego lekturę warto zalecić wszystkim tym, którzy próbują szukać nadużyć w dopiero co przyjętej ustawie o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem koronawirusa. Być może do różnych nadużyć dojdzie – jak przy każdej sytuacji nadzwyczajnej – ale w dużej mierze to, czy i jak władza znajdzie istotny powód, by korzystać z nadanych sobie prerogatyw, zależy od zachowania ludzi. Także tych, którzy podejrzewają ją o autorytarne ciągoty.

Kalkulowanie w kontekście zbliżających się wyborów prezydenckich, komu się bardziej obecna epidemia opłaci, jest wsobnym politykierstwem, przez które wyborcy częściej wolą dać głos populistom nowego chowu. Czy można prowadzić sensowną kampanię bez wieców i festynów? Podobno wybory wygrywa się dziś raczej w internecie. Ograniczenie mobilności sprawi, że ludzie będą jeszcze bardziej przyklejeni do ekranów, więc nadarzy się okazja, by to sprawdzić. Już prędzej za przełożeniem wyborów przemawia argument, że rozległy lęk i niepewność to nie jest dobry kontekst dla obywatelskich decyzji. Kto jednak nam zaręczy, że ten lęk nie zostanie z nami na dłużej? ©P

Edukacyjne umywanie rąk

MICHAŁ OKOŃSKI



PATRZĄC OD WEWNĄTRZ SYSTEMU EDUKACYJNEGO, trudno nie mieć poczucia absurdu: odpowiedzią ministerstwa edukacji i kuratoriów na koronawirusa jest kaskada dokumentów. „Pisma niczym maseczki ochronią przed zakażeniami” – ironizuje jeden z autorów Facebookowego profilu „Strefa edukacji”, gdzie dyrektorzy szkół skarżą się, że to na nich przerzucono odpowiedzialność w ocenie, czy zagrożenie epidemią jest, czy nie jest realne. Kuratoria żądają codziennych sprawozdań, biurokracja się mnoży, trwa *nomen omen* umywanie rąk – z każdym kolejnym doniesieniem o pojawiających się w Polsce przypadkach koronawirusa coraz bardziej dojmujące.

Czy oznacza to, że na poziomie szkoły nic się nie da zrobić? Ależ nic podobnego. Dopiero co od dyrekcji placówki, do której chodzą moje dzieci, dostałem maila o treści następującej: „Szanowni Państwo, w kwestii koronawirusa podej-

mujemy w szkole szereg działań profilaktycznych. Po pierwsze – zdecydowanie nie wprowadzamy i nie podsycaamy paniki. Lęk nie jest jakością, na której można zbudować stabilne przeciwdziałanie”. Dalej idą informacje o dostępności mydła, ręczników i płynu dezynfekcyjnego w łazienkach, o – przeprowadzonym w formie zabawy – szkoleniu z mycia rąk, o rozmowach na temat profilaktyki przed zakażeniami drogą kropelkową itd. „Zachowujemy pogodę ducha, doprawioną zdrowym rozsądkiem oraz spędzamy z dziećmi sporo czasu na świeżym powietrzu, które o tej porze roku już z reguły jest czyste”, brzmi ostatni punkt.

W ocenie stanu zdrowia dziecka nikt rodzica nie zastąpi. W leczeniu koronawirusa nikt nie zastąpi szpitali zakaźnych. Szkoła powinna – i, jak widać, może – pozostać miejscem edukacji (a czasem nawet wychowania). ©P

Cena za leczenie

JAK PAŃSTWA RADZĄ SOBIE DOTĄD Z EPIDEMIĄ?

Oczywiście dane są niepełne. W wielu krajach epidemia dopiero się zaczyna, a sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie. Można powiedzieć, że działamy w „mgłę wojny”. Wydaje się, że mimo całkowitej utraty kontroli nad sytuacją w pierwszym miesiącu, do dzisiaj udało się Chinom nad nią zapanować. Z danych na 8 marca wynika, że Chińczyków zachorowało ponad 80 tysięcy, ale zdrowych jest dzisiaj 57 tysięcy spośród nich. Jako państwo autokratyczne i policyjne mogli zastosować bardzo radykalną terapię opartą na restrykcyjnej izolacji obszarów i osób. Poradziły sobie także Singapur i Hongkong. W obu tych krajach liczba chorych od półtora miesiąca wzrosła do około 150 osób, a połowa z nich już wyzdrowiała. W przeciwieństwie do Chin państwa te określane są w Democracy Index jako „niestabilne demokracje”. Ale każdy, kto oglądał zdjęcia z zeszłorocznych protestów w Hongkongu, wie, że może jest to formalnie demokracja, ale też państwo policyjne. Oczywiście przykład Iranu pokazuje, że autokracja może

sobie z epidemią nie poradzić. Wydaje się, że ważniejsze mogą być czynniki dotyczące sprawności państwa i akceptacji reguł w nim obowiązujących przez obywateli.

Czy liberalne demokracje, w których epidemia dopiero się zaczyna, poradzą sobie z nią sprawnie? Przykład włoski nie napawa optymizmem. Wymowna jest sytuacja z ostatniego weekendu, gdy rząd śladem Chin wprowadził kwarantannę w północnej części kraju. Jednak informacja ta wyciekła kilkanaście godzin wcześniej i znacząca liczba obywateli uciekła na południe. Nawet Francja i Niemcy radzą sobie dużo gorzej niż Singapur i Hongkong. Liczba chorych przekroczyła tam tysiąc osób, a tempo jej przyrostu nie zwalnia.

Rozważając oczywiste pytanie, jak poradzimy sobie w Polsce, trzeba zacząć od odpowiedzi, czy jako społeczeństwo i państwo bliżej nam do Włoch lub Iranu, czy do Chin i Singapuru. © RAFAŁ SZYM CZAK



MOURAD BALI / TOUATI / PAP

Autor jest twórcą bloga dotyczącego analizy i wizualizacji danych OpowiaDane.com

KRAJ W SKRÓCIE

REKORD

W trakcie 28. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zebrano 186 133 610 zł 66 gr – ogłosił Jerzy Owsiak. To kolejny rekord – kwota uzyskana w trakcie styczniowej zbiórki jest o 10 mln zł większa niż przed rokiem.

REJESTR

Cztery miesiące po wyborach zgłoszeń do rejestru korzyści majątkowych nie złożyło 111 posłów, w tym Jarosław Kaczyński. „Rzeczpospolita” zwraca uwagę na niedoskonałości samej instytucji rejestru: prezes PiS ani razu nie uwzględnił w nim, że od lat jest chroniony na koszt partii, a usługi troszczącej się o jego bezpieczeństwo firmy kosztują 1,6 mln zł rocznie.



STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

REFORMA

Sąd w niemieckim Karlsruhe odmówił wydania Polsce mężczyzny ściganego za oszustwo europejskim nakazem aresztowania. W uzasadnieniu decyzji czytamy, że „przekazanie oskarżonego do Polski w związku z »reformą sądownictwa« jest przynajmniej obecnie niedopuszczalne”.

REAKCJA

Z Polski, mimo protestów organizacji praw człowieka i prób interwencji posłów Lewicy (przekonywali, że w kraju pochodzenia grozi jej niebezpieczeństwo, i wskazywali na jej fatalny stan zdrowia), deportowano 21-letnią Czechenkę. Urząd ds. Cudzoziemców przekonuje, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Prezydent wyrzucił Kurskiego

ANDRZEJ STANKIEWICZ



ANDRZEJ DUDA DŁUGO ROZWAŻAŁ, CZY podpisać ustawę, która daje 2 mld zł publicznych pieniędzy TVP oraz Polskiemu Radiu. Sprawa była tym bardziej kłopotliwa, że opozycja zgłosiła postulat, by te pieniądze przeznaczyć na leczenie onkologiczne. Ostatecznie prezydent przedstawił Jarosławowi Kaczyńskiemu dwie możliwości: albo weto i PiS musi szukać pieniędzy gdzie indziej, albo podpis, ale za cenę usunięcia prezesa TVP Jacka Kurskiego.

Skąd takie żądanie? Duda nigdy za Kurskim nie przepadał – z wzajemnością. Gdy w 2017 r. prezydent zawetował ustawy sądowe PiS, Kurski otwarcie wystąpił przeciwko niemu. Telewizja efektywnie ignorowała też prezydencki pomysł referendum konstytucyjnego, który skończył się klęską.

Rok temu, gdy Duda miał na biurku podobną ustawę o pieniądzach dla mediów publicznych – wówczas chodziło o ponad miliard – zażądał wprowadzenia dwojga swych ludzi do zarządu TVP. Kurski szybko ich ogrzał. Piotr Palka zrezygnował po kilkunastu dniach, Marzenę

Paczuską zaś prezes TVP pozbawił wszelkich kompetencji. Paczуска pozostała jednak w zarządzie i lobbowała w Pałacu Prezydenckim za odwołaniem Kurskiego. Trafiła na podatny grunt, bo Duda uważa, że TVP go ośmiesza i nie broni jego żony przed krytyką za jej permanentne milczenie.

Z ultimatum skorzystało wielu polityków PiS, którzy także mają z Kurskim na pieńku. Do dymisji namawiał choćby premier Mateusz Morawiecki, od wielu miesięcy sekowany przez Kurskiego w telewizyjnych programach.

Prezes PiS długo nie chciał się zgodzić na odejście Kurskiego. Ale musiał zmienić zdanie, gdy okazało się, że bez pieniędzy TVP znajdzie się na skraju przepaści. Dymisja Kurskiego nie poprawia atmosfery w PiS na 2 miesiące przed wyborami, ale też nie grozi partii poważnym konfliktem. Głównie dlatego, że Kurski miał wielu wrogów, którzy rękami prezydenta pozbyli się kłopotu. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Pełnej pensji i równości

8 MARCA ulicami kilkudziesięciu miast i miasteczek przeszły marsze i manifestacje. „Feminizm dla Klimatu. Klimat na antykapitalizm” (hasło przewodnie w Warszawie), „Cześć i chwała bohaterkom” (Kraków), „Wierzmy kobietom” (Katowice), „Nie bądź obojętna” (Kielce). Międzynarodowy Dzień Kobiet ustanowiono w 1910 r., by upamiętnić strajk pracownic fabryki w Nowym Jorku, które domagały się lepszych warunków pracy i praw wyborczych. Inicjatywy, które chcą odinfantyliżować świętowanie tego dnia, nabierają coraz większej mocy. Cieszyć powinniśmy się jednak dopiero wtedy, gdy za nimi idą regulacje prawne i zmiany systemowe.

5 marca Komisja Europejska ogłosiła nową unijną strategię na rzecz równości płci. Padają w niej piękne słowa i bardzo ogólne propozycje

działań. Opiera się na trzech filarach: wolnościowym (walka z przemocą domową i seksualną), dotyczącym kwestii ekonomicznych (luki płacowej i emerytalnej, zatrudnienia i niepłatnej pracy domowej) oraz władzy (w polityce i na stanowiskach zarządczych). 4 marca Stowarzyszenie Kongres Kobiet zaprezentowało projekt ustawy, której celem jest zmniejszenie luki płacowej między kobietami a mężczyznami. Miałyby ona nakładać na pracodawców zatrudniających ponad 20 pracowników obowiązek monitoringu i corocznego informowania ministerstwa o procentowej różnicy w poziomie płac przedstawicieli obu płci oraz działaniach naprawczych, jeśli okaże się, że takie istnieją (podobne ustawodawstwo działa w 13 krajach UE).

Ogłaszane w okolicy 8 marca dokumenty o równości i prawach kobiet mogą zrobić dobre wrażenie. Oby tylko na nim się nie skończyło. © EWELINA BURDA

LICZBA TYGODNIA

13,6

O tyle procent przeciętne godzinowe wynagrodzenie mężczyzn (29,5 zł brutto) jest wyższe od wynagrodzenia kobiet – GUS opublikował dane dotyczące wynagrodzeń w przedsiębiorstwach pod koniec 2018 r. Uogólniona luka płacowa wynosi w Polsce ok. 19 proc. i utrzymuje się na tym poziomie od 20 lat.



FACEBOOK / ANNA GACEK

JESZCZE PUŚCIEJ W TRÓJCE.

Po 19 latach pracy z Programu III PR zwolniono Annę Gacek, jedną z najpopularniejszych dziennikarek muzycznych nie tylko tej stacji. „To była moja pierwsza praca. Nie znam dorosłego życia bez pracy w Trójce. Jestem teraz mieszkanką skrajnych emocji, od dumy z wszystkiego, co osiągnęłam, po lęk o przyszłość” – napisała na Facebooku. W kwestii lęku o przyszłość możemy ją uspokoić: istnieje życie poza Trójką. W serwisach streamingowych, dzięki zbiorce społecznościowej, można już słuchać „Raportu o stanie świata”, audycji innego wyrzuconego z tej stacji dziennikarza, Dariusza Rosiaka. ©P M O

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF:

Osamotnienie, choroba starości

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Policja podaje, że w ostatnich latach wzrasta liczba samobójstw seniorów. To efekt coraz większej liczby osób starszych czy czegoś głębszego?

PIOTR SZUKALSKI: Głównie tego pierwszego, tendencja ta będzie się zresztą nasilać – wkrótce zacznie np. drastycznie wzrastać liczba 75-latków, bo do tego przedziału wiekowego będą docierać przedstawiciele pokolenia wojennego wyżu.

Są gminy, zazwyczaj położone peryferyjnie i tracące od dekad uciekającą młodzież, w których 65-latkowie i starsi należą do 35–40 proc. ludności, a 80-latkowie stanowią już jedną szóstą społeczności. Możemy się domyslać, jakie tam mogą występować problemy.

Jakie?

Proszę to sobie wyobrazić: zbliża się pan do osiemdziesiątki, pana dzieci wyjechały lat temu trzydzieści, a wnuki tym bardziej czują się już mieszkańcami Warszawy, Krakowa czy Białegostoku. Brak krewnych, przyjaciele powoli wymierają. Nie bardzo pan wie, co ze sobą zrobić, na dodatek pojawiają się choroby.

Na te czynniki nakłada się kultura, w ramach której nie lubimy robić innym przykrości, wyrzutów. Nie dzwoni pan więc, nie użala się, bo gdyby pan to robił, krewni przestaliby może odbierać telefony. „Jak nie będę narzekał, to przyjadą choćby te dwa, trzy razy do roku”. To właśnie ta kultura i na-

kładające się na nią przemiany mogą powodować coraz więcej problemów.

Jak możemy im zaradzić?

Można by mówić o wielu czynnikach, ja ograniczę się do jednego. Polskie służby społeczne interesują się problemami ludzi – w tym i seniorów – gdy ktoś taki problem zgłosi. Nie sądzę, by wielkim problemem było nałożenie na pracowników socjalnych obowiązku odwiedzenia raz na dwa lata każdego mieszkańca 75 plus, zdiagnozowania jego problemów, a następnie – gdy zajdzie potrzeba – zaradzenia im, choćby przez organizację pomocy środowiskowej.

Tyle że to grupa zawodowa już i tak przeciążona.

Owszem, a także niedofinansowana i niedoinwestowana. Równocześnie jednak w ostatnich latach duża część tego, co stanowiło zakres obowiązków pracownika socjalnego – a więc przeciwdziałanie ubóstwu wynikającemu z bezrobocia – zniknęło wraz z obniżeniem się odsetka osób bez pracy i wprowadzeniem 500 plus. Warto to przemyśleć, także w kontekście starzejącego się społeczeństwa i wzrastającego wraz z nim odsetka seniorów z problemami psychicznymi. ©P



MARCIN STEPIEŃ / AG

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI

jest demografem i gerontologiem, pracuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego.

Jak PiS zastosowało konwencję antyprzemocową

„ZACZEŁO SIĘ KILKA LAT PO ŚLUBIE. Gdy wracał z libacji, stawiał na baczność dom (...) Bił, popychał, wykręcał ręce. Raz stanął nade mną z nożem, jak leżałam w łóżku, i powiedział, że mnie zadźga” – opowiadała w „TP” rok temu Anna, bohaterka reportażu o przemocy domowej. „Przez lata, mimo trzech wyroków, nie czułam się bezpieczna – dodawała. – Mieszkanie było i jest zapisane na mnie, ale to ja z dziećmi musiałam uciekać”.

Oto wybrzmiewający od dekad refren polskich opowieści o przemocy domowej, a zarazem nierozwiązywalny problem w wielokrotnie nowelizowanym prawie: to ofiara, a nie sprawca, musi zwykle opuszczać dom, bo przepisy dotyczące izolacji podejrzanego o stosowanie przemocy były jak dotąd nieskuteczne (wymagały długotrwałej zwykle procedury sądowej).

Zmienić ma to ogłoszony w zeszłym tygodniu przez resort sprawiedliwości projekt nowelizacji przepisów. Zakłada on przyznanie policji i żandarmerii wojskowej prawa do nakazania sprawcy przemocy natychmiastowego opuszczenia lokum zamieszkiwanego wspólnie z ofiarą (decyzja będzie obowiązywała przez 14 dni, następnie może być przedłużona przez sąd).

Co może zaskakiwać, projekt co do zasady realizuje postulaty wysuwane od lat przez Rzecznika Praw Obywatelskich. Co jeszcze bardziej zaskakujące, ogłaszając zmiany ministerstwo zastosowało się – chcący czy nie – do jednego z fragmentów konsekwentnie bojkotowanej przez PiS konwencji antyprzemocowej.

„Strony – czytamy w dokumencie, w którym politycy obozu rządzącego nie widzieli dotąd zalet – stosują konieczne środki (...) po to, aby właściwe organy otrzymały upoważnienie do nakazania sprawcy przemocy domowej opuszczenia miejsca zamieszkania ofiary lub osoby zagrożonej”.

Projekt, jeśli zaakceptuje go rząd i parlament, będzie musiał przejść próbę praktyki. Choćby gotowości i umiejętności stosowania przepisów przez funkcjonariuszy. Bez tego nawet najlepsze przepisy na nic się nie zdadzą.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Izrael po wyborach

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



OD TRZECICH W PRZECIĄGU 12 MIESIĘCY wyborów w Izraelu minął tydzień, a wciąż nie wiadomo, jaka będzie przyszłość kraju. Choć zaraz po ogłoszeniu wyników sondażowych urzędujący premier obwieścił ponowne zwycięstwo, różnice między jego partią Likud a tą konkurencyjną – Kahol Lavan z Beni Gancem na czele – okazały się na tyle niewielkie, że nie ma mowy o jednoznacznym zwycięstwie. Zdecyduje potencjał polityka do zbudowania rządu, który musi zdobyć minimum 61 mandatów (na 120 dostępnych w Knesecie).

Prawicowy blok partii narodowych i religijnych wspierających Netanjahu ma w tej chwili 58 mandatów, a centrolewicowy blok Ganc – 62. Przewagę temu drugiemu zapewniły dwie partie, z którymi Ganc w chwili zamknięcia tego numeru negocjuje szczegóły współpracy. Pierwsza to prawicowa, antyreligijna Israel Beitenu kierowana przez Avigdora Liebermana, byłego współpracownika Netanjahu, ministra obrony w jego rządzie. W czasie kampanii Lieberman nie opowiadał się po żadnej ze stron, później zapewnił jednak wyborców, że nie pójdą do wyborów po raz czwarty. Oznajmił, że poprze kandydaturę Ganc na premiera i że dołączy do jego bloku głównie w jednym celu: by stracić Netanjahu z piedestału. Plan jest sprytny: uchwalić prawo zakazujące formowania rządu przez osobę, wobec której toczy się postępowanie karne. Przypomnijmy – 17 marca Netanjahu stanie przed sądem w związku z oskarżeniami o korupcję, oszustwo i nadużycie zaufania.

Co ciekawe, pozycję trzeciej największej partii w Knesecie wyborcy – arabscy, ale i żydowscy! – zagwarantowali Zjednoczonej Liście, czyli koalicji partii arabskich. To ona dała Gancowi przewagę. Lista wejdzie do Knesetu z aż 15 mandatami – wśród nich dla czterech kobiet, w tym jednej w hidżabie. Choć Ganc zapowiadał na początku, że nie będzie współpracował z partiami arabskimi, musiał zmienić zdanie.

Największym przegranym wyborów jest lewica: zrzeszenie Avoda, Geszer i Meretz otrzymało zaledwie siedem mandatów.

Starcie Netanjahu–Ganc zmobilizowało największą od ponad 20 lat liczbę wyborców. W specjalnie przygotowanych komisjach wyborczych pojawili się nawet ci, których poddano domowej kwarantannie związanej z koronawirusem. To on wypchnął wybory z nagłówków izraelskiej prasy. Nic dziwnego: w poniedziałkowy poranek zarażonych było 39 osób, a kwarantannie poddano dziesiątki tysięcy. ©



FIRENZE URBAN LIFE STYLE

MURAL Z KORCZAKIEM. Na budynku szkoły podstawowej Fanciulli w wielokulturowej dzielnicy Florencji odstonięto mural przedstawiający legendarnego pedagoga, autora „Króla Maciusia I” i „Deklaracji praw dziecka”. Inspiracją obrazu zajmującego powierzchnię ok. 80 m², autorstwa młodego artysty ulicznego o pseudonimie Ache77, był fotos z filmu Andrzeja Wajdy, gdzie w roli tytułowej wystąpił Wojciech Pszoniak.

© P MO, BH

Nie żyje „neutronowy Jack”

PRZYNAJĄC MU W 1999 R. tytuł „menedżera stulecia” magazyn „Fortune”, jeden z czołowych hagiografów Wall Street, pisał, że jego styl zarządzania polegał na „atakowaniu szans”, nie ich wykorzystywaniu. Za rządów zmarłego 1 marca Jacka Welcha kierowany przez niego koncern General Electric zwiększył wartość giełdową z 14 do 410 mld dolarów, stając się najcenniejszą spółką globu. Pracę straciło 122 tys. osób.

Dla wyznawców niewidzialnej ręki rynku Welch był człowiekiem instytucji, twórcą nowoczesnej szkoły zarządzania skoncentrowanej na nieustannym mierzeniu rentowności dosłownie na każdym etapie pracy. Obejmując w 1981 r. stanowisko prezesa GE postawił sobie cel, by koncern stał się numerem jeden w każdej branży, w której jest obecny. W realizacji tego planu pomagał Welchowi system rocznej oceny, w którym 10 proc. menedżerów z najgorszymi wynikami (cele ustalał oczywiście zarząd) traciło automatycznie pracę (to samo dotyczyło wszystkich pracowników ze stażem poniżej 10 lat). Efekty? Welch objął w 1981 r. stanowi-

sko prezesa firmy, która miała 27 mld dolarów przychodu. Odchodząc z GE w 1999 r., zostawił ją już z przychodami sięgającymi 130 mld dolarów rocznie. Twarda ręka do pracowników przyniosła mu także przydomek „neutronowego Jacka”, którego Welch nie znośli,

bo porównywał jego zarządcze talenty do działania bomby neutronowej, która zabija ludzi, nie czyniąc szkód budynkom.

„Jeżeli zaczynałeś karierę w biznesie w latach 90., Jack Welch miał na pewno wielki wpływ na twoje podejście do robienia interesów” – mówił „USA Today” tuż po śmierci legendarnego prezesa Timothy Hubbard, amerykański badacz zarządzania. Oprócz bezwzględnej uwielbienia dla arkuszy kalkulacyjnych akolici Welcha wynosili z jego szkoły także przekonanie o primacie interesu akcjonariuszy firmy nad interesami jej pracowników i klientów. Otrzeźwienie przyniósł dopiero kryzys po upadku Lehman Brothers. Dla generacji Occupy Wall Street Jack Welch stał się twarzą wszystkich wynaturzeń neoliberalizmu, który w cyklu rocznym dąży do wzrostu przychodów i zysków bez oglądania się na społeczne czy ekologiczne konsekwencje pojmowanego w ten sposób rozwoju.

© P MAREK RABIJ



BROOKS KRAFT / GETTY IMAGES

Wirus za Spizową Bramą

Z POWODU ZAGROŻENIA EPIDEMIOLOGICZNEGO na codzienne msze papieskie nie będą już zapraszani goście. Także inne ceremonie z udziałem Franciszka – śródowa audyencja generalna czy niedzielny Anioł Pański – odbywać się będą bez kontaktu z wiernymi, a ich transmisje można będzie śledzić w internecie.

To nie jedyne ograniczenia w Watykanie spowodowane koronawirusem. Po raz pierwszy w historii w Bazylice św. Piotra nie będą odprawiane msze dla wiernych (podobnie jak w innych kościołach Włoch – komentarz poniżej). Zamknięte zostały Muzea Watykańskie, trasa archeologiczna do grobu św. Piotra, pracowników dykasterii i urzędów poproszono o wzięcie urlopu lub pracę zdalną.

Głównym zadaniem watykańskich służb sanitarnych jest ochrona Franciszka i Benedykta XVI. Papież emeryt został niemal całkowicie odizolowany od kontaktów z osobami z zewnątrz. Z kolei Franciszek szczęśliwie – można rzec – zachorował pod koniec lutego. Lekkie przeziębienie zmusiło go do odwołania większości spotkań i udziału w corocznych, tygodniowych rekolekcjach kurii rzymskiej, co zapewne uchroniło go przed poważniejszymi problemami (jeden z uczestników ubiegłotygodniowej konferencji, w której miał uczestniczyć papież, okazał się nosicielem koronawirusa).

Jak dotąd (stan na 9 marca) był to drugi potwierdzony przypadek zarażenia w Watykanie (wirusa wykryto też u kandydata do pracy, który przyszedł na badania kontrolne). Nikt nie wątpi, że będzie więcej.

© EDWARD AUGUSTYN

Bóg poza Eucharystią

PIOTR SIKORA



DECYZJA RZĄDU WŁOCH O ZAWIESZENIU WSZELKICH ceremonii religijnych, w tym Eucharystii, została zaakceptowana przez episkopat Italii, ale – jak napisali biskupi – „z cierpieniem i trudnościami pasterzy, księży i wiernych”. Nic dziwnego: dla katolików „Eucharystia jest źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego”. Trudności i cierpienie są tym większe, że ludzie wierzący w czasie trudnym – a takim jest moment obecnej epidemii – często jeszcze usilniej zwracają się do Boga.

Z punktu widzenia religijnego decyzja włoskiego rządu może mieć jeszcze inne znaczenie i przesłanie. Nieemożliwość uczestnictwa w Eucharystii w egzystencjalnie trudnym czasie można wytłumaczyć przez świadomość, że „w Nim [w Bogu] żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28), mamy więc możliwość bezpośredniego z Nim kontaktu i „nic nas nie odłączy od Jego miłości” (por. Rz 8, 39). Bóg jest w Eucharystii, ale jest też poza nią. Nie ma powodów, by ryzykować życie i zdrowie, gdy cały czas jest dla nas dostępny. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RAZEM O KOŚCIELE

„Na rzecz Kościoła synodalnego: komunია, uczestnictwo i misja” – taki temat Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów w październiku 2022 r. wybrał Franciszek. Międzynarodowa Komisja Teologiczna w 2018 r. zdefiniowała synodalność jako „sposób życia i działania oparty na soborowej eklezjologii, na wspólnej godności i misji wszystkich ochrzczonych, na ich czynnym zaangażowaniu w ewangelizację”.



ALEXANDRA ROTH / FB EVANGELISCH IN ESSEN

RAZEM W KOŚCIELE

Parafia katolicka w Oberhausen (Nadrenia Północna-Westfalia), w której praktykuje co niedziela tylko ok. 50 osób, nie była w stanie dłużej utrzymywać kościoła św. Judy Tadeusza. Katolików przysięgnęli (niewiele liczniejsi) protestanci, prowadzący kilkaset metrów dalej ośrodek kultury. „My, chrześcijanie, możemy już istnieć tylko na zasadzie ekumenizmu” – stwierdził katolicki proboszcz ks. Christoph Wichmann. Pastor ewangelicka Anke Augustin podkreśliła, że docenia katolicyzm za bogactwo obrazów i metafor. Do udostępnionej sali katolickiej przenieśli z zamkniętego kościoła cykl Drogi Krzyżowej i figurę Maryi z Jezusem.

OSOBN

„Kościoły i pomieszczenia kościelne nie są miejscami, w których można agitować politycznie, rozdawać ulotki, rozwieszać plakaty, niezależnie od światopoglądu kandydata. Świątynie są miejscami modlitwy, głoszenia Ewangelii i sprawowania liturgii” – podkreślił rzecznik KEP ks. Paweł Rytel-Andrianik.

Chorobliwa niewrażliwość



KS. JACEK PRUSAK SJ

CZY NASTĄPIŁ PRZEŁOM W SPRAWIE ks. Andrzeja Muchy, oskarżanego od lat o niestosowne zachowania seksualne wobec dzieci zarówno przy sprawowaniu sakramentu spowiedzi, jak i poza nim? Pytanie nie pojawia się znikąd, i nie po raz pierwszy. Po publikacji na łamach „Gazety Wyborczej” reportażu z wypowiedziami ofiar („Ksiądz wypytuje seksualnie”, „Duży Format” z 2 marca) następnego dnia kuria diecezjalna w Rzeszowie wydała komunikat, w którym poinformowała, że emerytowany proboszcz „otrzymał zakaz sprawowania sakramentu pokuty oraz publicznego sprawowania pozostałych sakramentów”.

Jak widać, reakcja kurii tym razem była błyskawiczna, a na dodatek w oświadczeniu pojawiła się zachęta, aby osoby poszkodowane przez ks. Muchę i posiadające informacje na temat nadużyć z jego strony zgłosiły się do diecezjalnego delegata ds. ofiar. Wreszcie usłyszano tych, których głos był dotąd marginalizowany, wreszcie coś się na poważnie ruszyło w jego sprawie.

Pozostaje jednak pytanie bez odpowiedzi. Dlaczego człowieka tak niedojrzałego, jak ks. Mucha, można było tak długo traktować jak normalnego duchownego i powierzać mu odpowiedzialne stanowiska? Wystarczy posłuchać, jak on formułuje zdania, jaki ma ogłód rzeczywistości, jak odnosi się do skarg i oskarżeń, żeby się przekonać, że to nie gwara ani trudny do uchwycenia geniusz – tylko porażająca niedojrzałość człowieka przebranego za księdza, któremu powierzono władzę, dzięki której deptał dziecięce sumienia.

Jeśli nie wyciągniemy właściwych wniosków z tego „przypadku”, to nie zaważymy innych „specjalistów” od seksualności wykorzystujących dzieci pod przykrywką troski o ich dusze. ©

**ZRA-
NIENI**

W KOŚCIELE

TELEFON REZERWA
WŁADZY WŁADZY WŁADZY WŁADZY

800 280 900

ANNA KONSTANTYNA
KONSTANTYNA KONSTANTYNA

www.zranieni.info

KULTURA W SKRÓCIE

ŚMIERĆ ANTROPOLOGA

Zmarł Ludwik Stomma – antropolog kultury i wieloletni felietonista „Polityki”. Po wyjeździe do Francji w 1981 r. związany z paryską Sorboną.

W 2000 r. odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w pracy dziennikarskiej i publicystycznej”. Miał 70 lat.

PARTYT NA EKRANIE

Po raz pierwszy jesteśmy równi, przynajmniej w kinie – wynika z badań przeprowadzonych przez organizację The Geena Davis Institute on Gender and Media. Głównych bohaterów w stu najbardziej dochodowych filmach amerykańskich 2019 r. (na zdjęciu Renée Zellweger w filmie „Judy”) było dokładnie tyle samo, co bohaterów. Jeszcze kilka lat temu kobiety obsadzano w głównych rolach zaledwie w 24 proc. produkcji.



MATERIAŁY PRASOWE

GORĄCZKOWE LEKTURY

Dystrybutor książek OSDW Azymut poinformował, że w porównaniu do ubiegłego roku na przełomie lutego i marca sprzedał pięć razy więcej egzemplarzy „Dżumy” Alberta Camusa. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na listę bestsellerów dystrybutora trafiła również powieść w formie audiobooka. Nieoczekiwana popularnością cieszy się „Miłość w czasach zarazy” Gabrieli Garcíi Márqueza, chętnie zgłębiamy także wiedzę z zakresu „Wirusologii”.



DANNY LAWSON / PA / EAST NEWS

ZAWSZE BYŁA „RODZINNĄ INWESTYCJĄ”. Widowisko z hologramem zmarłej przed ośmioma laty Whitney Houston objeżdża Europę i przyciąga tylu widzów, że na kwiecień zaplanowano już pierwszy koncert w USA. Niebawem kolejne tego typu przedsięwzięcia, m.in. pośmiertna trasa Amy Winehouse. ©

Muzeum Śląskie – tylko polityka czy także korupcja?



PIOTR KOSIEWSKI

W STYCZNIU MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA śląskiego Jakub Chelstowski odwołał Alicję Knast ze stanowiska dyrektora Muzeum Śląskiego. Jej obowiązki powierzono osobie bez doświadczenia w kierowaniu instytucjami kultury. Kontrola w Muzeum miała wykazać nieprawidłowości. Minister Piotr Gliński podkreślił wprawdzie, że nie stanowią one wystarczającej przesłanki do odwołania pani dyrektor, decyzję pozostawił jednak samorządowcom.

Muzeum Śląskie pod rządami Alicji Knast znalazło się w czołówce muzeów polskich, w grudniu 2019 r. jego dyrektorka otrzymała nawet od ministra medal Gloria Artis. Skąd zatem dymisja? Pisano, że przyczyną był sprzeciw wobec organizowania przez PiS konferencji w muzeum przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi i że

dymisja jest elementem czystki w śląskich instytucjach kultury. Powód jednak może być inny.

Trwa proces między muzeum a firmą Budimex, która zbudowała jego nową siedzibę, w sprawie odszkodowania za usterki – chodzi o niemal 122 mln zł. Jak ujawniła kilka dni temu Alicja Knast, marszałek Chelstowski próbował wymusić podjęcie negocjacji z Budimeksem i sugerował, by konkretna osoba była w nich pośrednikiem. Knast nie zgodziła się na odstąpienie od drogi sądowej, a w sprawie sugestii marszałka złożyła zawiadomienie do CBA. Województwo śląskie stało się już sceną korupcji politycznej (przypadek radnego Kałuży). Jeżeli zarzuty Alicji Knast się potwierdzą, będziemy mieli do czynienia z korupcją w jej najbardziej podstawowym wymiarze. ©

Jak zaszczepić ryby

DZIESIĘĆ LAT TEMU izraelscy hodowcy spostrzegli, że coś masowo zabija tilapie – drugie (po karpach) najpopularniejsze hodowlane ryby na świecie. W 2014 r. winnym okazał się nieznan wcześniej wirus. Do tego czasu zdążył już dotrzeć do wielu krajów Azji, Afryki i Ameryki.

W 2018 r. wirus pojawił się w stawach należących do organizacji non-profit WorldFish w Malezji, zajmującej się poszukiwaniem no-

wych odmian tilapii. W stawach WorldFish utrzymywano blisko 2 tys. osobników tego gatunku, należących do 124 linii genetycznych. Wirus wprawdzie zabił 40 proc. tilapii, ale pozwoliło to na wyselekcjonowanie najbardziej odpornych odmian. Wkrótce będą mogły trafić do hodowców.

Równolegle trwają prace nad szczepionką. Istnieją jednak obawy, że w krajach rozwijających się, gdzie hodowla tilapii jest najpopularniejsza, większość hodowców nie będzie na nią stać.

© EPK / SCIENCE.COM

Terapia w ciele

POPULARNA TECHNIKA CRISPR-CAS9, umożliwiająca wykonywanie precyzyjnych zmian w genomie komórki, została po raz pierwszy użyta wewnątrz ludzkiego organizmu. Naukowcy z Oregon Health & Science University (OHSU) w Portland wykorzystali ją w eksperymentalnym leczeniu pewnej wersji genetycznej choroby wzroku – wrodzonej ślepoty Lebera (LCA10). To jedna z najczęstszych przyczyn wrodzonej ślepoty u dzieci, na którą dotąd brakowało terapii. Charakte-

ryzuje się niewrażliwością fotoreceptorów oka na światło, ze względu na nieprawidłowo działające geny kontrolujące białka.

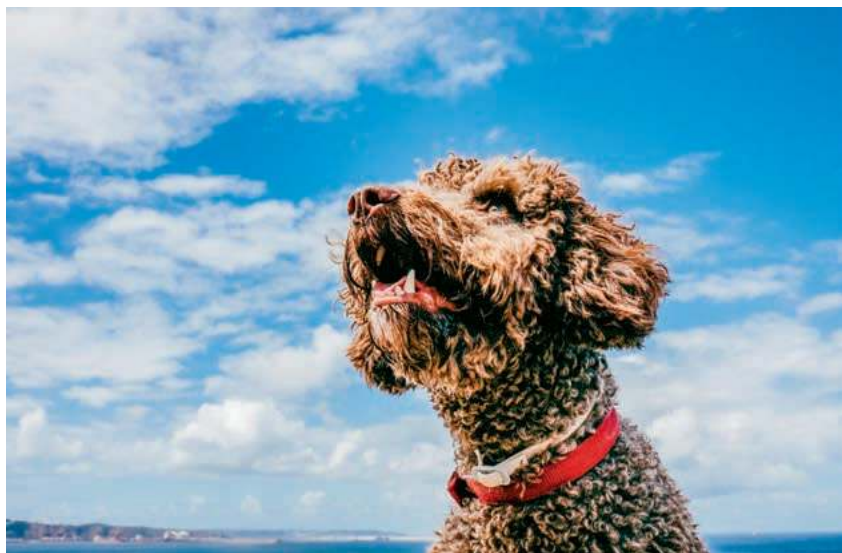
Wcześniejsze próby ingerencji genetycznej polegały na pobieraniu DNA z organizmu, a następnie wprowadzeniu z powrotem zmodyfikowanego materiału. Tym razem naukowcy zakodowali technikę CRISPR-Cas9 w genom wirusa, który został następnie umieszczony w pobliżu komórek fotoreceptorów. Przekształcony w „nożyczki genetyczne” wirus zaczął wycinać fragmenty zmutowanego genu kodujące nieprawidłowe białka. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

Kiedy powstały lądy

JAK WYGLĄDAŁA ZIEMIA PRZED MILIARDAMI LAT? Niestety, niewiele na ten temat wiemy. Geolodzy potrafią w miarę dokładnie zrekonstruować to, co działo się przez ostatnie pół miliarda lat, kiedy wielokomórkowe życie na dobre rozpełzło się po całej planecie. Mniej więcej rozumiemy, jak nasza planeta wyglądała w czasie ostatniego miliarda lat, ale im dalej w przeszłość, tym więcej białych plam. Jest to zrozumiałe – możemy odczytać wskazówki zostawione przez naturę w kamieniach, ale tylko jeżeli przetrwały do naszych czasów. O to jednak trudno, ze względu na rozmaite procesy zachodzące na naszej planecie.

Badaczom z Uniwersytetu Kolorado w Boulder udało się natrafić na bardzo stare skały, liczące 3,2 mld lat, które niegdyś leżały na dnie oceanu, ale zostały wyniesione na ląd w Australii. Ich analizy, opublikowane ostatnio w „Nature Geoscience”, wskazują na to, że w tym okresie Ziemia była niemal w całości pokryta wodą. W tym czasie występowało więcej ciężkiego izotopu tlenu-18 niż obecnie. Właśnie ten sygnał sugeruje, że na planecie było niewiele lądów, a na nich – mało minerałów ilastych. Te minerały zaczęły powstawać na dużą skalę później, po pojawieniu się dużych obszarów lądowych – i jak gąbka wchłonęły dużą część tlenu-18, w związku z czym jego ilość w oceanie spadła do obecnego poziomu.

© ANNA ŁOSIAK



LUCIA ROMERO / ADOBE STOCK

HAŁAS (m.in. fajerwerków) to najczęstsza przyczyna lęku u psów, a najbardziej podatną na niego rasą jest Lagotto romagnolo – wynika z badań ankietowych przeprowadzonych w Finlandii przez Millę Salonen i współpracowników, opublikowanych w „Scientific Reports”. Stopień wrażliwości na hałas rośnie wraz z wiekiem. Zidentyfikowane przez badaczy różnice rasowe dotyczą także wielu innych źródeł lęku, m.in. obcych ludzi (największą wrażliwość wykazują hiszpańskie psy dowodne) czy innych przedstawicieli swojego gatunku. © ŁK

Pasożyt beztlenowy



SZYMON DROBNIAK

BIOLOGIĄ OD CZASU DO CZASU WSTRZĄSAJĄ odkrycia, które podważają podręcznikowe prawdy o świecie organizmów żywych. Do niedawna np. wydawało się, że wszystkie komórki eukariotyczne (niebakteryjne) powinny zawierać mitochondria – minifabryki produkujące życiodajną energię w procesie oddychania tlenowego. Rewizja nastąpiła po odkryciu jednokomórkowego glonu, który mitochondriów nie posiada (nawiasem mówiąc dokonała go polska biologka Anna Karnkowska). Teraz upadła kolejna „uniwersalna” prawda: znaleziono organizm zwierzęcy z grupy parzydełkowców (należą do nich m.in. stułbie, koralowce czy meduzy), który żyje w środowisku całkowicie pozbawionym tlenu i tym samym nie produkuje energii na drodze oddychania tlenowego. Do tej pory zakładaliśmy, że wielokomórkowe zwierzęta wyewoluowały na Ziemi już w czasie, gdy tlen był istotnym składnikiem atmosfery. Wydawało się oczywiste, że złożone wielokomórkowe życie zwierzęce musi wykorzystywać oddychanie tlenowe – jako bardziej efektywne energetycznie niż beztlenowe.

Nowo odkryty gatunek, mikroskopijny *Henneguya salminicola*, jest pasożytem i żyje w głębi mięśni łososi. Analiza jego genomu wykazała, że nie ma on genomu mitochondrialnego – „starożytnego” DNA, będącego spadkiem po bakteriowych przodkach mitochondriów. Co ciekawe, mimo wszystko posiada mitochondria – ale są one mocno uwstecznione, pozbawione wielu elementów komórkowej maszynarii koniecznej do oddychania tlenowego. Jak zatem ten parzydełkowiec produkuje potrzebną do życia energię? Tego nie wiemy – być może podkrađa produkty oddychania tlenowego rybich mięśni (w końcu jest pasożytem) lub wykorzystuje szczątkowe mechanizmy swoich uwsteczniczonych mitochondriów, produkując energię samodzielnie bez wykorzystania tlenu. Jedno jest pewne: po raz kolejny okazało się, że ewolucja nie zawsze przebiega w kierunku coraz bardziej złożonych form. Specjalizacja często ma postać uproszczenia – np. utraty tak fundamentalnej zdolności jak oddychanie tlenowe. ©



TU ZACZYNA SIĘ NOWY ŚWIAT

W tym największym obozie uchodźców w Europie oraz w pobliskim greckim mieście wyczerpani są już wszyscy. Gdy z kontynentu przyjeżdżają aktywiści skrajnej prawicy, zaczyna się przemoc.

MARCIN ŻYŁA Z WYSPY LESBOS (MORZE EGEJSKIE)



AYHAN MEHMET / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Nowo przybyli na Lesbos, 29 lutego 2020 r.

z dostępnych środków odurzających. Takie dzieci można poznać po poparzonych nosach.

Pomagają jeszcze maty do jogi (rozdała je jedna z organizacji, dzięki temu nie wszyscy śpią na gołej ziemi) i skanki. Te ostatnie, przywiązane do skrzynek po owocach i ciągnięte przez dzieci (za pomocą kijów umieszczonych między udami), umożliwiają transport kamyczków. A kamyczki są tu bardzo potrzebne, do walki z wszechobecnym błotem – można nimi wysypywać ścieżki między namiotami.

Na szczęście na Lesbos skończyły się zimowe deszcze. Pora więc na remonty. Można wysypać kamyczkami ścieżki, można umocnić stopnie zrobione w ziemi. Teren jest tu stromy, więc aby się nie osuwał, gdzieś wykopano metrowej głębokości rowy. Ludzie szybko się nauczyli, którędy spływa woda.

Gdy patrzy się na osiedle z sąsiedniego wzgórza, widać, jak ścieżki – po opadach zamieniające się w koryta małych strumyków – schodzą się ze sobą, łączą się w dole. Ale dziś w dole nie ma potoku. Zamiast rzeki, pod drewnianymi mostkami znajdują się pokłady plastikowych butelek po wodzie.

Moria

To nieprawda, że obozy uchodźców zawsze i wszędzie wyglądają tak samo.

W Ugandzie uciekinierzy z sąsiedniego Sudanu Południowego (trwa tam permanentna wojna domowa) uprawiają niewielkie pola, a Bidibidi, ich największe skupisko, przypomina wioskę rozrzuconą na wielkim terenie. Z kolei Syryjczycy, którzy na przestrzeni ostatnich dziewięciu lat wojny uciekli do sąsiedniego Libanu i tam zostali, mieszkają często w wynajmowanych garażach i pustostanach (ale przynajmniej na tle innych starają się utrzymywać pozory codziennego życia). Natomiast w jordańskim obozie Zaatari na skraju pustyni, gdzie także żyją liczni Syryjczycy, główną aleję – nazwijmy ją: usługową – nazwano przewrotnie „Polami Elizejskimi”. Ludzie mówili mi, że po to, aby najprostsze zakupy czy inne czynności, jak skorzystanie z usługi fryzjera, kojarzyły się choć trochę milej. Jakby język miał oswoić to nienormalne życie, jakby miał wymusić poczucie, że jest normalniej.

Jednak tu, w Morii – największym na terenie Europy obozie uchodźców i migrantów, położonym na greckiej wyspie Lesbos, znajdującej się blisko tureckiego wybrzeża – nie sposób udawać, że jest inaczej.

Żyje tu ponad 20 tys. ludzi. Większość, ok. 16 tys., w gruncie rzeczy już poza oficjalnym terenem obozu – na dwóch wzgórzach, na których do niedawna rosły gaje oliwne. Drzew ubywa, bo Moria się rozrasta, a czymś trzeba przecieć palić, czymś trzeba się ogrzać.

Oboz Moria można nie tylko oglądać, można go także poczuć. Bo wszędzie panuje fetor. Lekarze, którzy tu pracują, mówią, że rodzice przychodzą do nich z dziećmi, które wyglądają (i śmierdzą), jakby nie myły się od tygodni. Mimo wszystko coś musi czuć nad tym miejscem, skoro przez lata nie wybuchła tu epidemia – zważywszy na tutejsze warunki, najprędzej pewnie cholery.

Pakt

Pięć lat temu, kiedy w Europie wybuchł tzw. kryzys uchodźczy, na Lesbos oraz na innych wyspach Morza Egejskiego zaczynał się szlak bałkański. Przez kontynentalną Grecję, przez Macedonię, Serbię i Węgry, wiódł on migrantów – wtedy w znacznej części uchodźców wojennych z Syrii, a także z Iraku – głównie do Niemiec. Prawie połowa z tych, którzy dotarli wtedy do krajów Europy i w nich zamieszkali, przeszła przez Lesbos. Jesienią 2015 r. każdego dnia docierało ich tutaj nawet ponad 3 tys. Każdego dnia! Wówczas to, kiedy zapełnił się już mały obóz Kara Tepe, położony kilka kilometrów na północ od 35-tysięcznego miasta Mitylena, założono obóz Moria.

Ten też szybko przestał wystarczać. Transfer uchodźców i migrantów z wyspy do Grecji kontynentalnej, z początku w miarę sprawny, zaczął się opóźniać. Coraz więcej z nich zostawało na wyspie. Pod koniec 2015 r. politycy unijni rozpoczęli negocjacje z prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem.

Niemal dokładnie cztery lata temu, 18 marca 2016 r., Unia Europejska podpisała pakt z Turcją: w zamian za kilka miliardów euro – formalnie przeznaczone na wsparcie dla ponad 3,5 mln Syryjczyków, którzy dziś znajdują się na terenie Turcji (do tej liczby należy doliczyć także uchodźców z Afganistanu czy Iraku) – Ankara miała powstrzymać ich przed dalszą podróżą do Grecji i Europy. ➔

JAK DUŻO MOGĄ ZMIENIĆ DWA DROBIAZGI: nakrętka po plastikowej butelce z wodą oraz zapalniczka.

Nic nie sprawdza się lepiej od takiej nakrętki, gdy – budując prowizoryczny namiot – trzeba przybić plandekę do deszczułek. Niebieska nakrętka stabilizuje gwoździe, a ciężki materiał nie rwie się, lecz trzyma szkieletu konstrukcji. Tu, na Lesbos, długie rzędy takich namiotów, ustawionych ciasno jeden obok drugiego, wyglądają z oddalenia jak wielkie białe koszule, związane po kołnierzu.

Natomiast zapalniczka nie służy stabilizacji. Przeciwnie: ona pomaga w ucieczce z tego miejsca. Ucieczce bynajmniej nie fizycznej, lecz psychicznej, w inny świat. Płyn z zapalniczek podpalają i wachają tu masowo już nastolatki. To najtańszy

→ Erdoğan, świadom lęku, jaki na Zachodzie zaczęli budzić uchodźcy i migranci, zaczął jednak podbijać stawkę i za spokojnie umiarkowanych polityków w Europie żądać coraz więcej.

Cierpliwość

Tak jak włoska Lampedusa, w roku 2015 również Lesbos odpowiedziało na tamten kryzys solidarnie. Rybacy, hotelarze i restauratorzy z wyspy, nie oglądając się na czas i pieniądze, pomagali przybywającym z pobliskiej Turcji ludziom, głównie Syryjczykom.

Ale czas mijał, a wyspa Lesbos została sama z uchodźcami. Trudno się więc dziwić, że nawet Skala Sikamineas – wieś położona w linii prostej najbliżej Turcji, którą za pomoc okazaną uchodźcom nominowano do Pokojowej Nagrody Nobla – straciła cierpliwość. Oraz, podobnie jak cała północ wyspy, obróciła się przeciw uchodźcom, a z czasem także przeciw pomagającym im organizacjom pozarządowym. Różnice między mieszkańcami wybrzeża, na które dopływali uchodźcy, a miasta Mitylena, gdzie hotele i restauracje zarabiają na kwaterujących tam pracownikach organizacji pomocowych, pogłębiły się tak, że przed greckimi wyborami parlamentarnymi w 2019 r. wyspę musiano podzielić na dwa okręgi.

Na południu wygrała prawica (to ona tworzy dziś w Atenach rząd). Na północy – skrajna prawica. Któregoś dnia Grecy z północy Lesbos zwieźli kilkaset pomańców kamizelek ratunkowych, zostawili ich stertę mieszkańcom części południowej. „Macie, teraz wy się nimi zajmujcie!” – krzyczeli.

Wkrótce potem wydarzenia przyspieszyły. I to w dwóch miejscach naraz: na Lesbos oraz w Syrii.

Domino

Pod koniec 2019 r. w prowincji Idlib, w północno-zachodniej Syrii, poruszył się pierwszy element tego domina: zaczęła się ofensywa syryjskiej armii rządowej, wspieranej przez Rosjan, sojuszników prezydenta-dyktatora Baszara al-Asada.

Celem ofensywy było opanowanie tej ostatniej prowincji pozostającej pod kontrolą antyasadowskiej opozycji. W Idlibie zgromadziło się dziś ok. 4 mln ludzi – połowa to uciekinierzy z innych części kraju. Gdy czołgi Asada, wspierane przez rosyjskie samoloty, ruszyły naprzód, zajmując kolejne miasteczka, w Idlibie kil-

kaset tysięcy ludzi (może tyle, a może milion?) ruszyło w stronę tureckiej granicy, dotąd zamkniętej dla kolejnych uciekinierów z Syrii. Woleli nie czekać na zemstę Asada. Wtedy Erdoğan zażądał od Europy poparcia – i jeszcze większych pieniędzy za zatrzymanie uchodźców u siebie. Na dowód, że nie żartuje, na kilka dni otworzył granice – najpierw Turcji z Syrią, a teraz z Grecją.

Wróćmy na Morze Egejskie. Od początku 2020 r. do 2 marca (z tego dnia pochodzą ostatnie dane UNHCR) do greckich wysp przyplłynęły z Turcji 6673 osoby. Połowa to Afgańczycy – z samego afgańskiego inwazji osiedliło się kilkaset tysięcy Afgańczyków. Tylko co piąty jest Syryjczykiem – choć propaganda Erdoğan od tygodni usiłuje przekonać opinię publiczną Zachodu, że to uchodźcy syryjscy stanowią większość, wielu Syryjczyków przyzwyczaiło się do życia w Turcji i bardziej niż o podróż do Europy myśli o pozostaniu tam lub powrocie (kiedyś) do ojczyzny. Wśród nowo przybyłych na Lesbos jest także wielu Afrykanów, głównie z Konga i Kamerunu – oni dostali się do Turcji najczęściej legalnie, drogą lotniczą.

Nie wszystkie dostępne w sieci nagrania można zweryfikować pod kątem ich wiarygodności. Ale ujęcia okrętu greckiej straży przybrzeżnej, który z dużą prędkością manewruje obok pontonu z migrantami, oraz sceny z lądowej granicy grecko-tureckiej, gdzie greccy pogranicznicy przy użyciu gazu łzawiącego powstrzymywali uchodźców, w tym rodziny z dziećmi, przed przekroczeniem granicy, a następnie tureccy robili to samo, by zapobiec ich powrotowi – te zdjęcia były dowodem chaosu, jaki zapanował po obu stronach. Potwierdzono, że syryjscy uchodźcy byli przez Turków transportowani (czytaj: podwożeni) do granicy.

Kapitan duńskiego okrętu patrolującego cieśniny greckie w ramach misji Frontexu (unijnej agencji ds. ochrony granic) odmówił podporządkowania się poleceniu, by nie podejmować z morza migrantów będących w niebezpieczeństwie.

Bez zmian

Tymczasem tutaj, na Lesbos, kumulujące się od pięciu lat napięcie wśród mieszkańców eksplodowało. Jeszcze pod koniec stycznia odbyły się pierwsze demonstracje – najpierw Greków, potem migrantów i uchodźców. Nie były skierowane prze-

ciwko sobie nawzajem. Ich wspólnym adresatem były władze. Lokalne – że na wyspie, zwłaszcza w jej północnej części, pogarszają się warunki życia. Państwowe – że z Lesbos uczyniono wielką „poczekalnię” dla uchodźców. I wreszcie unijne – że po czterech latach obowiązywania układu z Turcją uchodźców na wyspie wciąż przybywa.

Kiedy Erdoğan otworzył granicę, niektórzy migranci i uchodźcy z Lesbos uznali, że droga na Zachód ponownie stoi przed nimi otworem.

– Na tej wyspie rządzą plotki – tłumaczy mieszkająca na Lesbos od ponad dwóch lat Sonia Nandzik, współzałożycielka ReFOCUS Media Labs, fundacji zajmującej się edukacją medialną migrantów i uchodźców. – Pierwsza plotka wśród uchodźców: że po tym, gdy Turcja przestała ich powstrzymywać przed podróżą, Europa znów otworzyła dla nich granicę. Druga wśród Greków: że to obecność na wyspie organizacji pozarządowych sprawia, jakoby nowi uchodźcy i migranci kierowali się na Lesbos.

W minionym tygodniu Turcja ogłosiła, że porozumiała się z Rosją w sprawie sytuacji w Idlibie, i zapowiedziała, iż przestanie wypuszczać uchodźców ze swojego terytorium. Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, przyleciała nad granicę turecko-grecką i powiedziała, że Grecja jest „tarczą Europy” i ma pełne poparcie Brukseli, gdy idzie o jej twardą politykę migracyjną (czyli zamkniętą granicę).

Ale na Lesbos zmieniło to niewiele. Każdego wieczoru, gdy do Aten odpływa nocny prom, przed wejściem do portu gromadzą się migranci i uchodźcy – z nadzieją, że dostaną się na pokład. Ale wejść mogą tylko ci z odpowiednimi papierami.

Rządzą pieczętki. Po wylądowaniu na Lesbos dostają dokument z czerwonym stemplem: to potwierdzenie, że trwa procedura azylowa, która nie pozwala na opuszczenie wyspy. Czarna pieczętka pozwala na poruszanie się po całej Grecji. Małą niebieską otrzymują osoby szczególnie narażone. Jeśli uchodźca dostanie azyl, potwierdzeniem jest duża niebieska pieczętka. – Zamieszanie jest tak duże, że nawet osoby z odpowiednią pieczętką i wpisane na listę wyjazdową w ostatnich dniach nie były wpuszczane na prom – mówi Nandzik.

Nowo przybyli nie trafili zresztą do Morii: trzyma się ich na nabrzeżu z tyłu

portu, za ogrodzeniem z drutem kolczastym, które wychodzi w morze. Policja podstawiała im autobusy, w których mogli spać. Przed ostatnim weekendem obok zacumował okręt greckiej marynarki wojennej, na którym teraz mieszkają.

Cmentarz

Lesbos nie jest ani za, ani przeciw uchodźcom. Mieszkańcy są po prostu zmęczeni. I wciąż pomagają przybyszom.

Na początku chowali ich na cmentarzach prawosławnych (zawsze w rogu). Ale w Grecji, przez brak miejsca, po trzech latach szczątki są ekshumowane, umieszczane w ossuariach lub zabierane przez rodziny. Dla muzułmanów było nie do przyjęcia, że wykopuje się ciała.

Cztery lata temu, po jednym z wypadków na morzu, Mustafie Dawie – młodemu muftiemu, duchownemu islamskiemu, który mieszka na Lesbos od ponad dekady – pozwolono grzebać ludzi w nowym miejscu. To 20 minut jazdy autem z Mityleny: pole, trochę zarośnięte drzewkami oliwnymi, z rzędami grobów i tabliczkami. Na nich imię (jeśli znane), wiek (często szacowany), data śmierci (czasem ta sama na kilku grobach; to pasażerowie jednego pontonu). Prefektura nie mówi głośno o cmentarzu, bo stworzyła go nielegalnie, na działce rolnej o nieustalonej własności. Tylko tak się dało.

Na północy wyspy pracuje patolog, który wszystko dokumentuje. Zbiera przedmioty zmarłych: strzępy ubrań, smoczki, okulary. Fotografuje tatuaże i ubytki w uzębieniu. Przedmioty chowa do worków foliowych, worki oznacza numerami. Pobiera próbki DNA. Musi je wysłać do Aten, do centralnego rejestru. Ale w Atenach, wiadomo, rzeczy giną, więc na wszelki wypadek wtórnie trzyma w domowej lodówce. W dwóch właściwie: ma zapasową, którą podłączył do agregatu na wypadek, gdyby zabrakło prądu.

Patolog jest profesorem na uniwersytecie medycznym, ma znane nazwisko, wolno mu tak. Władze pozwalają, bo jako jeden z niewielu interesuje się tożsamością ofiar. Teraz na szczęście pracy ma mniej, bo na morzu śmierci także jest mniej. Podobno profesor pali jak smok.

Nabożeństwo

Dziś to może być jeszcze trudniejsze – nie dać się ponieść złu – więc ojciec Maurice Joyeux, jezuita, zanim zacznie mszę, popatrzy na każdego. Trochę to trwa, lecz na

MAURICE JOYEUX, JEZUITA:

Byłem w Afryce, widziałem obozy w Rwandzie, w sudańskim Darfurze. Ale czegoś takiego jak tutaj jeszcze nie widziałem.

wyspie, na której od miesiący, a czasem od lat tylko się czeka, nikt nie narzeka. Minuta dłużej w kościele to minuta dłużej razem.

Czterdzieścioro wiernych, w większości z Konga i Kamerunu, patrzy na trzech księży, Anglika i dwóch Francuzów. „Wyrażamy solidarność”, „Przestrzegamy”, „Apelujemy”: nie czas na takie słowa w kościele Wniebowzięcia NMP w Mitylenie. Zamiast nich trzeba ciszy.

Poprzedniego dnia wieczorem pod miastem spłonęła One Happy Family, szkoła i ośrodek aktywizacji dla uchodźców, gdzie pracowało wiele organizacji pozarządowych. Przyczyny nie są znane. Nie ustalono też przyczyn podobnych pożarów z ostatnich tygodni na Lesbos i sąsiednich wyspach – nawet pożaru tymczasowego obozu na plaży, w którym przyplływającym nocą z Turcji rozdawano koce i suche ubrania. Od kilku dni na ulicach Mityleny można spotkać członków skrajnie prawicowych organizacji z Grecji, Niemiec i Austrii.

Nie złapano sprawców pobić wolontariuszy z zagranicy. Bezkarci są ci, którzy w niektóre dni blokują przez kilka godzin drogę dojazdową do głównego obozu w Morii. Zamaskowani ludzie zatrzymują auta i sprawdzają, czy jadą nimi nie-Grecy. Biją uchodźców, migrantów, wolontariuszy, dziennikarzy. Niektóre organizacje wycofały z Lesbos część personelu.

Kilka dni temu, w minioną sobotę – po dwóch miesiącach grózb i zamieszek – pokojowi na Lesbos postanowiono dać nową szansę. Na placu przy porcie w Mitylenie odbył się koncert dla wszystkich mieszkańców wyspy. Miała to być demonstracja jedności. Śpiewano do słów Martina Luthera Kinga: „Zwycięzimy wszystkie trudności”. Ale dla wielu tutaj wieczorny pożar sprawił, że nadzieja znów zamieniała się w rozpaczę.

Ojciec Maurice pierwszywa ciszej: „Witajcie w pierwszą niedzielę Wielkiego Po-

stu [zaczyna się on tu później niż w Polsce – red.]. Ewangelia na dziś wspomina o Jezusie, który czterdzieści dni był kuszony przez diabła na pustyni: »Nic w owe dni nie jadł, a po ich upływie poczuł głód«. Nie jest mi łatwo mówić o tym do was, którzy taki głód czujecie na co dzień”.

„Jestem dziś z wami – ciągnie dalej – bo chcę, abyście wiedzieli, że jesteście reprezentowani. W Brukseli, w ONZ, w Grecji i poza jej granicami. W waszym imieniu chce także mówić Kościół. Będziemy namawiać biskupów w całej Europie do tego, aby naciskali na władze w sprawie zorganizowania korytarzy humanitarnych. Będziemy, obiecuję wam, wojownikami tej sprawy” – mówi jezuita, przypominając niedawny apel z Watykanu o ewakuację najbardziej potrzebujących uchodźców i migrantów z Lesbos. Dodaje: „Pamiętajcie, nie tylko przeciw wam skierowana jest przemoc. Także przeciw tym, którzy wam pomagają. Niech was jednak nie skusi gniew”.

Chór śpiewa pięknie, po francusku i angielsku. Prób nie ma jak zorganizować, więc na wszelki wypadek organistka dyryguje lewą ręką, równocześnie grając. W czasie podniesienia niektórzy wznoszą ku górze otwarte dłonie. Uśmiechamy się do siebie. Podczas przekazywania znaku pokoju łatwo zapomnieć, że nie podajemy sobie rąk – wyspę trzeba chronić przed koronawirusem.

Na zawsze

Kończy się dzień w Morii.

– W obozie ostatnio coraz częściej powstają punkty fryzjerskie, sklepy – mówi Sonia Nandzik. – To znak, że ludzie zdają sobie sprawę, że w ciągu najbliższych miesięcy nie będą mieli możliwości, aby stąd wyjechać. W gruncie rzeczy tworzą się tutaj slumsy.

Po mszy wyraźnie poruszony ojciec Maurice, który w 2016 r. organizował przyjazd papieża Franciszka na Lesbos, mówi mi w zakrystii: – Mieszkałem osiem lat w Afryce, widziałem, jak rwandyjskie obozy uchodźców zamieniały się w zaplecze dla bojówek walczących w sąsiednim Kongu. Byłem w sudańskim Darfurze. Ale czegoś takiego jak tutaj jeszcze nie widziałem. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pozbawionych nadziei na przyszłość, ludzi, którymi politycy właściwie handluje.

Dodaje: – W kościele powiedziałem im, że będę za nich walczył. Oni będą z nami już na zawsze. © © MARCIN ŻYŁA

Ludzie z hodowli

MAREK RABIJ

Kryzysy humanitarne mogą być także przyczyną, a nie tylko skutkiem konfliktów politycznych i militarnych. Polscy politycy nadal próbują tego nie dostrzegać.

WRÓG U BRAM – DO TEGO SPROWADZA się pierwsza i dotąd jedyna wzmianka o sytuacji na Lesbos, jaką można było usłyszeć w kampanii prezydenckiej. W narracji, z której słynęli do tychczas głównie politycy PiS i prawicowi publicyści, odnalazła się Małgorzata Kidawa-Błońska, którą zaniepokoił stan zabezpieczeń polskich granic przed napływem imigrantów, bo „to, co się dzieje w tej chwili, jest bardzo, bardzo niebezpieczne. Ci ludzie są zrozpaczeni i będą szukali wszelkich możliwości dotarcia do Europy” – skwitowała kandydatka Koalicji Obywatelskiej.

Znamienne, że żaden z kandydatów nie znalazł czasu, by przynajmniej umieścić słowa rywalki w kontekście obrazków z Lesbos, na których widać greckich pograniczników strzelających w kierunku pontonu pełnego uchodźców z Syrii. W tej sprawie najwidoczniej obowiązuje ponadpartijny konsensus zbudowany na zimnej kalkulacji polskich strachów i resentymentów. W dalszej części wypowiedzi krążącej wokół kwestii migracyjnych kandydatka Koalicji była zresztą uprzejma przypomnieć opinii publicznej, że za rządów antyimigracyjnego rządu PiS-u do Polski przybyło – głównie za pracę – około 19 tys. cudzoziemców spoza Europy.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tej liczbie bez wnikania w trafność samych wyliczeń. 19 tysięcy. Tylu pasażerów warszawskie metro przewozi codziennie w około dwadzieścia minut.

Demografia, głupcze!

Niemrawe reakcje kandydatów na sytuację na Lesbos nie są oczywiście zaskoczeniem, a i epizodzik z Kidawą-Błońską wart jest odnotowania jedynie dlatego, że dobrze ilustruje znaną od dawna wsobność rodzimej polityki. W naturalnej obawie przed obcymi polska opinia publiczna nie

jest oczywiście odosobniona: termometr politycznych sympatii w wielu krajach Europy od dawna pokazuje wzrost poparcia dla ugrupowań domagających się uszczelnienia granic przed przybyszami z Afryki i Azji. Problemem są jednak praktyczne wnioski, jakie nasi politycy wyciągają z tego stanu rzeczy: im mniej na ten temat, tym lepiej. Tu nie chodzi o brak mężów stanu. Wystarczyliby politykierzy dość trzeźwi, by przyznać przed współobywatelami, że w kolejnych latach ryzyko poważnych kryzysów migracyjnych może już być tylko większe.

Do 2050 r. – jak szacują autorzy raportu „World Population Prospects”, przygotowanego przez Departament ds. Gospodarczych i Społecznych Organizacji Narodów Zjednoczonych – liczba ludności świata wzrośnie z 7,7 do 9,7 miliarda. Nie mniej istotne wydaje się to, że spośród owych miliardów nowych obywateli globu co drugi przyjdzie na świat w Indiach, Nigerii, Pakistanie, Kongo, Etiopii, Tanzanii, Indonezji, Egipcie lub w Stanach Zjednoczonych (w porządku odwrotnie proporcjonalnym do prognozowanych wzrostów). Na terenie jednej Afryki subsaharyjskiej, gdzie wskaźnik dzietności utrzymuje się obecnie na poziomie około 4,6 urodzeń na kobietę, dwukrotnie wyższym od średniej dla całego globu, liczba mieszkańców do 2050 r. zdąży ulec podwojeniu.

Ekonomiści, którzy kolegom od demografii podsuwają gospodarcze wytłumaczenia źródeł tego baby boomu w krajach rozwijających się, mają oczywiście rację. Począwszy od 1970 r., wartość globalnego produktu krajowego zwiększyła się ponad trzykrotnie, a liczba ludności wzrosła o ponad 3 miliardy. Ostatnie dekady zaowocowały także wzrostem poziomu życia setek milionów ludzi w krajach Globalnego Południa. Z wyliczeń Banku Światowego wynika, że w latach



1981–2010 odsetek mieszkańców żyjących za mniej niż dwa dolary dziennie spadł tam z 50 do 21 proc. Część badaczy i pracowników instytucji pomocowych uważa wprawdzie te obliczenia za obarczone poważnymi błędami metodologicznymi, ale chwilowo odłożmy i te zarzuty na bok jako mało istotne. O wiele większym problemem jest bowiem to, że w epoce globalizacji polityka demograficzna wielu krajów rozwijających się niebezpiecznie upodobniła się do metod chowu przemysłowego.

Naturalnie przyrost

W Indiach, Pakistanie, Bangladeszu, a także w niektórych państwach afrykańskich przyrost naturalny, nie rzadko podbarwiony nacjonalizmem, jest praktycznie synonimem rozwoju. Liczba ludności, łatwo przeliczalna na liczbę poborowych, staje się kartą przetargową w sporach politycznych, a w relacjach gospodarczych buduje pozycję kraju dzięki wskaźnikom popytu wewnętrznego czy po prostu liczbie rąk gotowych do podjęcia słabo płatnej z reguły pracy.

Tak rozumiana renta demograficzna początkowo rzeczywiście owocuje szybkim wzrostem PKB i poprawą warunków bytowych: do kraju napływa obcy kapitał i *know-how*, poprawia się jakość infrastruktury, maleją też wskaźniki analfabetyzmu czy śmiertelności niemowląt. Problem w tym, że rządy większości krajów rozwijających się są *de facto* zakładnikami zagranicznych inwestorów. A ci, owszem, mogą być za np. powszechnym obowiązkiem szkolnym (pracownicy powinni w końcu umieć czytać i pisać), ale już niekoniecznie za tym, by restrykcji-



Zatłoczony pociąg w Bangladeszu, czerwiec 2018 r.

wiołowych. Wśród uchodźców, którzy próbują dziś dostać się do Europy z Afryki Północnej, nie dominują bynajmniej uciekinierzy z obszarów dotkniętych wojną; większość stanowią ludzie, którzy na Starym Kontynencie chcieliby do końca wyśnić rozpoczęty sen o dostatnim, spokojnym życiu.

Zdrowiej już było

W porządnym rachunku migracyjnego prawdopodobieństwa nie może zabraknąć miejsca także na kwestie klimatyczne. Wzrost populacji globu o 2 miliardy ludzi w ciągu zaledwie 30 lat oznacza przecież gigantyczne wyzwanie dla rolnictwa i przemysłu spożywczego. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju OECD szacuje, że do 2050 r. światowa powierzchnia lasów dziewiczych skurczy się o 13 proc.; ich miejsce zajmą uprawy rolnictwa przemysłowego, które przy okazji pozbawi też źródła utrzymania około 730 mln mieszkańców krajów Globalnego Południa żyjących dotąd z drobnego rolnictwa. Część z nich znajdzie zatrudnienie na pobliskich plantacjach, część przeniesie się do miast. Reszta będzie próbować szczęścia na emigracji. Zwłaszcza na obszary bogate w wodę pitną, której wskutek wzrostu temperatury już w połowie tego stulecia zacznie brakować na

rozległych obszarach Północnej Afryki, Bliskiego Wschodu i subkontynentu indyjskiego. OECD ostrożnie zakłada, że w 2050 r. globalne zapotrzebowanie na słodką wodę wzrośnie w porównaniu z zanotowanym w 2010 r. o co najmniej 55 proc. Największe pragnienie palić będzie wielkie zakłady produkcyjne (wzrost aż o 400 proc.), elektrownie (140 proc.) i gospodarstwa domowe w krajach rozwiniętych (130 proc.). Najbiedniejsi będą musieli zadowolić się resztą.

O ile w ogóle coś dla nich zostanie, bo z prognoz wynika, że najwyżej w 23 procentach uda się zaspokoić ten skok zapotrzebowania na wodę za pomocą nowoczesnych technologii odsalania wody morskiej, które nie potanieją tak szybko, jak by sobie tego życzyli decydenci z ONZ. Tylko w Brazylii, Rosji, Chinach oraz Indiach około 240 mln osób będzie skazanych w codziennej diecie na „pofabryczną” wodę uzdatnioną, która nie będzie obojętna dla ich zdrowia.

Kryzysy migracyjne, które do tej pory były zwykle skutkiem wielkich konfliktów politycznych, coraz częściej będą zatem ich przyczyną. Pytanie o wielką „ucieczkę ludów” z obszarów suszy, głodu i wykluczenia nie brzmi już „czy”, lecz „kiedy”. Próba odpowiedzi mogłaby być chociażby polityka klimatyczna traktowana właśnie jako część pakietu rozwiązań – nazwijmy to – antymigracyjnych. Marzenia o Alpach dość wysokich, by wróg po prostu nie przedostał się do bram, nie mają sensu. Hannibal jest zbyt zdesperowany. ©

nie przestrzegać go aż do 15. roku życia, bo w ten sposób rząd ograniczy przecież podaż pracy, podnosząc jej koszt.

Podobnie rzecz ma się z opieką medyczną: kapitał chętnie parkuje w krajach o zdrowej populacji, ale niechętnie dokłada się do kosztów funkcjonowania systemu ochrony zdrowia. Albo z urbanizacją: rozwój dużych ośrodków miejskich sprzyja biznesowi, o ile oczywiście rachunek za to płaci wyłącznie zanieczyszczone środowisko naturalne.

Kulejąca edukacja, niewydolna opieka zdrowotna, zniszczone środowisko naturalne – wszystko to razem tworzy barierę, która hamuje lub wręcz zatrzymuje poprawę warunków bytowych milionów mieszkańców krajów z drugiej i trzeciej ligi gospodarczego świata. I napędza emigrację nawet bardziej od wojen i klęsk ży-

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Tygrysa: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdziłowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Hałik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozifka, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Zsummer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Kobieta i mężczyzna



PIERWSZY POWSTAŁ ISZ, MĘŻCZYŻNA, a z jego żebra powstała kobieta, *isza*, która później nazwana została Ewą, czyli życiem lub dawcą życia. Słowo „*isz*” może też oznaczać mężczyznę, męża, człowieka, osobę, sługę (Boga). *Isza* z kolei może oznaczać kobietę, żonę. Związek między tymi słowami jest oparty na asonansie, natomiast odmienne są ich źródłosłowy. *Isz* pochodzi od słowa „silny”, *isza* od „słaby”.

W każdym razie pierwsze słowa, jakie Adam wypowiedział, objaśniają, kim jest kobieta i jaka ma obowiązywać hierarchia płci. Pierwszeństwo należy się mężczyźnie. On bierze kobietę i stają się jednym ciałem. Sens tego sformułowania jest jednoznaczny. Stają się jednym przez związek seksualny. Interpretowane jest to dzisiaj następująco: wedle nakazu Boga ważny i słuszny jest tylko związek kobiety i mężczyzny. Związek mężczyzny i kobiety nie jest tu oparty na uczuciu, przyjaźni, związku duchowym. Ma charakter fizyczny. Ona jest obiektem jego pragnień, albo dokładniej jego pożądania. Nie wiemy, co o tym myślała kobieta oraz jakie miała wyobrażenie związku z mężczyzną. To on jej wyznaczał miejsce. Nie ma tu mowy o symetrii. Seksualność kojarzy się oczywiście z wcześniej już wypowiedzianym nakazem: mnożcie się. Kobiety określają swoją pozycję jako matki, tej, która daje życie, dzieci swojemu mężowi. To jest jej największy i zdaje się jedyny powód do dumy.

Znamy doskonale scenę kuszenia w raju. Tu już obraz kobiety jest zupełnie inny. To ona jest ciekawa świata, chce poznawać i smakować nieznane. Nie знаła bezpośrednio Boskiego zakazu spożywania owocu z drzewa dobrego i złego. Jeśli, to – choć nic o tym nie wiemy – z ust mężczyzny.

Wraz z pierwszym grzechem (a nie grzechem pierworodnym, jak naucza chrześcijaństwo) skończyła się epoka niewinności. Nagie ciało odsłoniło, kim są. Dostrzegli swoją słabość i ograniczenia. Wstyd u Greków łączy się z czerwonymi policzkami. Tu wstyd jest zdjęciem zasłon i zobaczeniem siebie w nowym świetle. Kobieta działa śmieiej, wychyla się ku nieznanemu, a mężczyzna bez słowa i wahań podąża za nią, choć to on znał zakaz Boga. Ona przełamuje obawy i wyprowadza nas ze stanu niewinności. On idzie posłusznie za nią.

Dlaczego tak się dzieje? Jedna odpowiedź wydaje mi się kusząca. Powiada się, że pierwsi ludzie jak jaszczury byli pokryci łuskami. Gdy kobieta napoczęła owoc, opadły z niej łuski. Adam dostrzegł w niej zachwycające piękno i podążył za nią. Decydujące okazały się miłość i piękno. Narodziny do bolesnego życia i śmierci były też narodzinami do miłości. Wyrażenie „bądźcie jednym ciałem” nabrało zaskakująco nowego znaczenia. Tak uczy nas midrasz, a przez niego przemawia hebrajski nauczyciel Erosa. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Obsesja konsumpcji



IZRAELICI „ROZBILI OBÓZ W REFIDIM, LECZ nie było tam wody, aby lud mógł się napić. Wszczęli więc spór z Mojżeszem, mówiąc: »Dajcie nam wody! Chce nam się pić!«. Mojżesz bronił się: »Dlaczego kłócić się ze mną? Czemu wystawiacie Pana

na próbę?«. Lud omdlewał z pragnienia, zaczął więc czynić wyrzuty Mojżeszowi: »Do czego to podobne! Czy po to wywiodłeś nas z Egiptu, żebyśmy poginęli?«. Jak widać, sprawy Boże nie wytrzymują konfrontacji z ludzkimi, choć te Boże jak najbardziej dotyczyły ludzkich. Bóg przecież nikogo na żadne nieszczęścia nie naraża. Nie zawsze jest to oczywiste. Stąd potrzebny jest post, czyli czas krytycznego spojrzenia na to, w jakim kierunku idziemy.

Wojciech Orliński wspomina, jak to „w dzieciństwie wysyłaliśmy do zachodnich koncernów prośby sformułowane niby-angielszczyzną – »Dear Sirs, I am very interested in Your products, please send prospects and naleps«”. Ostatnimi jednak laty „dołączyliśmy do świata Zachodu, przegoniliśmy Portugalię z Grecją”, nie możemy więc dalej udawać, że konieczność ograniczenia konsumpcji „to nie są nasze problemy, niech bogatsi się tym zajmują”. Uparcie nie chcemy się przyznać, iż „jesteśmy już w klubie bogatszych. To my jesteśmy teraz »dear sir«, to nasza kolej, żeby »sendować naleps«”. Powiedziane dowcipnie, ale gorzko.

Równie gorzko mówi Franciszek: „Tymczasem świat szalejącej konsumpcji jest równocześnie światem znęcania się nad życiem we wszystkich jego formach. (...) Obsesja na tle konsumpcyjnego stylu życia, zwłaszcza gdy bardzo niewiele jest w stanie tak żyć, może spowodować jedynie przemoc i wzajemne zniszczenie”. Na szczęście „w krajach, które powinny wytworzyć największe zmiany w nawykach konsumencieckich, młodzi ludzie mają nową wrażliwość ekologiczną i są wielkoduszni, a niektórzy z nich w godny podziwu sposób walczą na rzecz ochrony środowiska. Wzrastali oni jednak w środowisku niezwykle wysokiej konsumpcji i dobrobytu, utrudniającym rozwój innych nawyków. Dlatego mamy do czynienia z wyzwaniem edukacyjnym”.

Leszek Kołakowski pisał, że chrześcijanie ulegają idola-rii. Najwyższą cześć oddają „temu, co nietrwałe, bez znaczenia, pozbawione wagi”. Dlatego jesteśmy „często zrozpaczeni, wiecznie zatrwożeni, pozbawieni znaków... nasza rozpaczliwa zachłanność, ciągle rosnąca spirala potrzeb, nasze oczekiwanie, iż wszyscy, łącznie z najbogatszymi, nie tylko mamy prawo, by mieć coraz więcej wszystkiego, ale rzeczywiście mamy coraz więcej – że to wszystko doprowadziło nas do punktu, w którym skumulowane napięcie spowoduje przeżajającą katastrofę”. Czasu mamy niewiele, zaczniemy od siebie, od sortowania śmieci i likwidacji „kopciuchów”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Jezus wyszedł

Gdy umysł się wzmacnia,
staje się gotowy
do podążania ścieżką
miłości, która gasi żądze
ciała i nie pozwala, by to,
co niezgodne z naturą,
zapanowało nad sercem.

IZAJASZ PUSTELNIK



Kto myli nieistotne
z tym, co istotne, a istotne
z nieistotnym, trwa przy
złudnych myślach i nigdy
nie osiągnie tego, co istotne.

DHAMMAPADA



Wybrał PIOTR SIKORA



WSZYSTYCH TRZECH SYNOPTYCZNYCH opisują powołanie Mateusza/Lewiego przez Jezusa (Mk 2, 13-17; Mt 9, 9-13 i Łk 5, 27-32), i – jak zwykle – każdy robi to nieco na swój własny sposób. Pierwszym szczegółem, który wyróżnia narrację św. Łukasza, jest słowo „wyszedł”: „wyszedł i zobaczył celnika imieniem Lewi”. Czytając św. Marka i św. Mateusza, mamy wrażenie, że Jezus zobaczył przyszłego apostoła i ewangelistę jakby przy okazji – po prostu przechodząc (Mk 2, 14). U Łukasza działanie Jezusa wygląda na celowe: wychodzi z domu właśnie po to, by zobaczyć Lewiego – tak jakby go szukał.

Przed owym „wyjściem” Jezus jest w swoim domu w Kafarnaum; właściwie nie tyle swoim, co Piotra i Andrzeja, u których się zatrzymał – ten dom stanie się w niedalekiej przyszłości pierwszym „kościółem” (*Domus Ecclesiae*) w tym mieście. Dookoła Niego siedzi ogromny tłum – tak wielki, że czterech ludzi (niektórzy komentatorzy domyślają się w ich osobach Piotra, Andrzeja, Jana i Jakuba), którzy chcą przynieść do Niego człowieka sparaliżowanego, muszą wyjść na dach i dopiero stamtąd spuścić go na noszach przed Jezusa. I – pamiętamy – Jezus najpierw odpuszcza mu grzechy, a potem – na dowód tego, iż ma taką moc – uzdrowia go także z paraliżu i odsyła do domu. Na ten widok wszyscy wielbą Boga. Wszyscy, ale nie Lewi/Mateusz...

Jego w tym tłumie nie ma. Pozostał na swoim cle, przy swoim zajęciu, w swoim

świecie. Nie porwała go fala ludzi zmierzających do domu Jezusa. Jezus, jeśli chce go spotkać, musi ku niemu wyjść.

Paralityka uzdrowił w swoim własnym domu; Mateusza/Lewiego musi „uzdrowić” (ostatecznie) w jego własnym domu. Zaproponuje mu uczniostwo jeszcze w jego miejscu pracy, ale pierwszy kawalek drogi ucznia odbędzie do jego domu, i to tam ostatecznie (były już) celnik dozna pełnego nawrócenia, siedząc z Jezusem i apostołami przy posiłku. Tak, bo skutecznym lekarstwem na chorobę Mateusza okazało się nie moralizatorstwo czy pouczanie, ale doświadczenie przyjaźni i wspólnota stołu.

Trudno nie zobaczyć w tej perykpie rzeczywistego programu pastoralnego dla Kościoła dziś. Potrzebujemy dziś Kościoła „wychodzącego” (Franciszek zawarł tę ideę we frazie: „*Ecclesia in uscita*”) – Kościoła, który wychodzi, by się uważnie rozejrzeć, i poszukać tych, którzy pozostają na zewnątrz.

To prawda – pozostając wewnątrz ciągle jeszcze możemy mieć wrażenie, że otaczają nas tłumy, i że – skoro przychodzą – to im należy się przede wszystkim nasza uwaga i energia (my zaś ucieszymy się tym, że doznają łaski i stają na nogach). Jezus jednak pokazuje nam wyraźnie: są tacy, którzy (przynajmniej w tym momencie) nie są w stanie wejść do waszego kościoła. Jeśli chcecie ich spotkać, potrzebujecie do nich „wyjść” na zewnątrz. To prawda, nie musicie! Jeśli jednak ich zlekceważycie, może się okazać, że przegapiliście najlepszego kandydata na apostoła i ewangelistę. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 III)

3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 17, 3-7;

Ps 95; Rz 5, 1-2. 5-8; J 4, 5-42;

Poniedziałek: 2 Krl 5, 1-15a;

Ps 42; Łk 4, 24-30;

Wtorek: Dn 3, 25. 34-43;

Ps 25; Mt 18, 21-35;

Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;

Czwartek, Św. Józefa Oblubieńca NMP:

2 Sm 7, 4-5a. 12-14a. 16; Ps 89; Rz 4, 13. 16-18.

22; Mt 1, 16. 18-21. 24a;

Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81; Mk 12, 28b-34;

Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;

4. niedziela Wielkiego Postu:

1 Sm 16, 1b. 6-7. 10-13; Ps 23; Ef 5, 8-14; J 9, 1-41.

CZY SŁABOŚĆ PREZYDENTA POGRAŻY PiS

JAROSŁAW FLIS, POLITOLOG:

Jeśli prezes dziś mówi, że Andrzej Duda jest kandydatem marzeń, to pewnie dlatego, że mu przez te pięć lat realnie nie podskoczył.



PAWEŁ BRAVO: W Ameryce dopiero co był superwtorek i nagle rozgrywka o to, kto rzuci wyzwanie Trumpowi, weszła w końcową fazę – zostali Sanders albo Biden. A my już wiemy, kto będzie walczył z Dudą w drugiej turze?

JAROSŁAW FLIS: Po stronie opozycyjnej w Polsce to nie jest spór w rodzinie, jak w USA, tylko rywalizacja samodzielnych podmiotów. Poziom organizacji PO, PSL i Lewicy jest większy, kandydaci mogą też liczyć na pewną lojalność wyborców, którzy już te ugrupowania popierali, jakos się z nimi utożsamiają. Trochę inaczej jest z elektoratem tego, co nazywam TUP – Tymczasowym Ugrupowaniem Protestu. Takie tupnięcie jest za każdym razem na inną nutę, ale jego rola jest podobna. I tu mamy Szymona Hołownię jako taką spodziewaną nowość.

Małgorzata Kidawa-Błońska jest dla mnie oczywistą faworytką. Pochodzi z największej partii, na przestrzeni paru miesięcy jej notowania są zgodne z notowaniami jej ugrupowania, a ono wyprzedza o dwie długości Lewicę i o trzy długości PSL. Inny scenariusz byłby potężnym zaskoczeniem.

Czyli właściwie można przestać robić prognozy aż do dnia pierwszej tury?

Nie, bo jest jeden element, który do tego obrazka nie pasuje: 8 procent Hołowni. W bliższym oglądzie widać, że część wyborców nie jest aż tak lojalna i ich poparcie nie jest bezwarunkowe. Biedroń ma kilka punktów procentowych mniej niż Lewica. Co się z tymi wyborcami dzieje? Kidawie też brakuje kilku punktów do średniej Koalicji. Tylko Kosiniak-Kamysz oscyluje wokół wyników jego ugrupowania. Jest więc jakiś poziom rozchwiania, pole do zrobienia kroku w lewo lub w prawo. Być może część elektoratów się po prostu miesza.

Jak namierzyć tę pulę wyborców?

Kiedy się spojrzy na wyniki sondaży prognozujących wyniki drugiej tury, widać dwie rzeczy: Duda nie traci swojej bazy, ale wyborcy, dla których głosowanie na Dudę nie jest oczywiste, rozróż-

niają poszczególnych kandydatów. Na pewno rozróżniają Bosaka i Biedronia. Mamy znaczącą grupę wyborców, która nie chce Dudy, chyba że trzeba by wybrać między nim a Bosakiem lub Biedroniem. Jeśli się natomiast spojrzy na wyniki Kidawy, Kosiniaka i Hołowni w pojedynku z Dudą, to one oscylują wokół tych samych wartości.

Czyli, dajmy na to, wyborcom Kosiniaka z pierwszej tury jest wszystko jedno, kogo poprą w drugiej przeciw Dudzie?

Równowaga między Dudą a nie-Dudą jest zachowana. Jeśli kandydaci się tak strasznie od siebie nie różnią, wiele zależy od zaplecza. A największe ma Kidawa, ona ma większy kapitał wyjściowy.

Chodzi o organizację, struktury czy o lojalność wyborców?

O przyzwyczajenie wyborców przede wszystkim, ale również o sympatie dziennikarzy. Bardziej sieci społeczne niż struktury organizacyjne. Jak działają struktury, dopiero się dowiemy. Sądząc po wynikach prawyborów w PO, nie jest to partia w cudownym stanie, ale pojawia się okazja, żeby ją odnowić.

Po raz pierwszy mamy kandydata PSL, który naprawdę chce walczyć o prezydenturę. Co może zrobić, żeby wyjść z bezpiecznej klatki murowanego elektoratu PSL?

Tego murowanego elektoratu w wyborach prezydenckich nigdy nie było. Po poprzedni kandydaci prezydenci tej partii oscylowali pomiędzy 1 a 2 proc. To nie jest elektorat aż tak przywiązany do idei czy logo. On popiera PSL z innych powodów – po prostu głosuje na jego kandydatów w wyborach samorządowych czy parlamentarnych. To, że Kosiniak ma dziś 8 proc. poparcia, jest sukcesem. Paradoksalnie przeskok Kidawy stanowi dla niego większy problem niż ewentualne późniejsze pokonanie Dudy. Od Dudy dzieli go 2 punkty, a od Kidawy – 12.

To dystans nie do nadrobienia?

Najwięcej zależy od tego, jak pójdą debaty. Konwencje Kidawy i Kosiniaka pokazały, że on ma do tego większy dryg. Ma wprawdzie dorobek nominalnie słabszy, był zaledwie ministrem, ale się nie boi. Widzieliśmy już w 2007 r. debaty,

które zaprzeczyły wcześniejszym oczekiwaniom. Dobre przygotowanie, najlepsza godzina w życiu i nagle łapie się wiatr w żagle.

Kosiniak jako jedyny zrobił konwencję poza Warszawą. Nawet PiS-owi nie chciało się już jeździć do Przysuchy, a PO dokądkolwiek, choćby do Gniezna. To przyjazne dla nich miasto, wygrywają tam w cuglach od dawna, wszyscy znają tę nazwę, autostrada blisko, łatwy dojazd...

Już Donald Tusk mówił, że wybory wygrywa się w Końskich, nie w Warszawie – z czego zresztą obecny prezydent wyciągnął zbyt dosłowne wnioski, siadając za stolikiem na peronie w tychże Końskich i podpisując tam ustawę.

Ale to oczywistość, że kampanię wygrywa się w Polsce, a nie w Warszawie. Być może akcja w Końskich to sygnał, że problemy Polski lokalnej znów są brane na sztandary. Kukiz proponował jednomandatowe okręgi wyborcze, czyli wzmocnienie reprezentacji lokalnej. Olbrzymie obszary – powiaty ziemskie – są przecież obecnie niedoreprezentowane. Wybory do Sejmu wygrywają na ogół kandydaci z największych miast w okręgu wyborczym, do czego jeszcze dochodzą spadochroniarze – z reguły wielkomiejscy. Jest więc parę nut, na których Kosiniakowi łatwiej będzie grać niż Kidawie. Na przykład antyelitarność. Choć sam jest absolwentem elitarnego liceum i doktorem nauk medycznych z Krakowa...

Jaką krakowską ulicę mamy podstawić do epitetu „chłtop z Marszałkowskiej”?

Kosiniak może pojechać w rodzinne strony i to nie będzie Warszawa. Miejsce urodzenia jego dziadków to jednak nie Belweder, ale Tarnowskie. To nie tylko kwestia docenienia opuszczonych, lecz również dostrzeżenie zmian społecznych. W minionym ćwierćwieczu największe przyrosty ludzi z wyższym wykształceniem są w małych gminach. Co więcej, młodzi po zdobyciu wykształcenia wracają chętniej w te rejony, gdzie jest większe poczucie więzi lokalnej i patriotyzmu. W efekcie różnice pomiędzy Galicją a Pomorzem Zachodnim w liczbie osób z wyższym wykształceniem na wsi zaczynają być wyraźne.

⇒ **W kontekście wyborów to istotne – tacy ludzie częściej biorą w nich udział.**

Dużo częściej niż ich koledzy bez wyższego wykształcenia. Osoby wykształcone głosują częściej, podobnie jak za możliwe (przy czym wielkość miejscowości nie ma wpływu na zamożność przy takim samym wykształceniu).

Jak na tym tle wygląda Hołownia? Czy Kukiz na tym etapie kampanii lepiej sobie radzi?

Tak, bo dużo słabsza była wtedy „banda czworga”. Główne ugrupowania znajdowały się w tarapatach. PO miała ospałego Komorowskiego, skutecznie zmarginalizowanego w czasach Tuskowego premierowania. Lewica była rozdarta pomiędzy Millerem a Palikotem. PSL był na cenzurowanym po nadzwyczajnym bonusie w wyborach sejmikowych, подарowanym mu przez Państwową Komisję Wyborczą decyzją o księżeczce. PiS zaś sfrustrowany tą samą sprawą i bez zmiany kierownictwa pomimo przedłużającej się serii porażek. Dziś sytuacja jest inna. Pozycja Kidawy jest dużo silniejsza niż Komorowskiego i silniejsza niż Dudy w PiS w roku 2015. A Lewica ma Biedronia, który nawet jeśli jest słaby, nie jest jednak Magdaleną Ogórek.

Jak Pan to kiedyś ujął, Kukiz był alternatywą dla tych, którzy uważali, że PO zastąpiła na porażkę, ale PiS nie zastąpił na zwycięstwo.

To był bezpieczny głos na kogoś z zewnątrz. Hołownia teoretycznie też mógłby być kimś takim, tylko że od tamtego czasu minęło pięć lat i emocje związane z polaryzacją jeszcze wzrosły. Dodajmy doświadczenie nieudanych nowych inicjatyw, jak właśnie Kukiz, Petru czy Wiosna. Te trzy próby miały – zgodnie z zapowiedziami ich inicjatorów – wnieść nową jakość na polską scenę polityczną, wiemy jednak, jak się skończyły. Dalej jest tu jakiś potencjał, ale raczej na 8, a nie na 20 proc. Zresztą gdy Kukiz miał pięć lat temu 20 proc., i tak był daleko od drugiej tury. Ale dobrze, że się wszyscy boją, to jest zawsze korzystne dla demokracji.

Co może w tej układance zadziałać na korzyść Dudy?

Lewica ma kandydata, który nie wzbudza entuzjazmu we własnych szeregach.

Startuje, bo musi, a ona go wystawia, bo musi. „Zamknij oczy i myśl o Polsce”. Opowieść lewicy, że cały czas rządzą nami dwie skłócone partie prawicowe, może nasilić frustrację jej wyborców, co skłoni ich do odpuszczenia sobie drugiej tury – z korzyścią dla Dudy.

W drugiej turze ważniejsze jest zatem zniechęcenie wyborców przeciwnika niż pomnożenie własnych szeregów?

Najłatwiej jest zniechęcać do siebie. W drugiej turze kluczowe jest, jakie błędy popełni strona przeciwna. Kiedy przeciwnik poda komuś nogę albo potrze oko. Kariera palca posłanki jest zresztą absurdalna – w ramach oburzenia na upadek obyczajów wszystkie media bez najmniejszych skrupułów pokazują wulgarny gest.

Słusznie mówi się o tym, że to jest przełom albo przynajmniej znak przełomu poważniejszego niż głupie gesty?

Władza podlega regule wahadła, które wędruje pomiędzy rządzącymi a opozycją. Jak jest mocno wychylone w „naszą” stronę, czyli jesteśmy u władzy, to emocje są przeciwko nam, bo władza denerwuje, depcze po odciskach. Emocje są siłą grawitacji, która ściąga wychylone wysoko wahadło w dół. Wahadło spowalnia, przez chwilę wisi, wydaje się, że jest stabilne, ale później rusza w dół, napędzane emocjami. Rządzący, nawet jeśli doszli do władzy dzięki emocjom, które podgrzewali, będąc w opozycji, powinni je potem hamować. Ale jakoś im to nie idzie. Miało być normalnie, jednak przez ostatnie pół roku widać, że emocje raczej przybywa. Pojawia się pytanie, czy to wahadło nie zaczęło ruchu w drugą stronę. Średnia sondaży jest taka, że partie bloku senackiego mają razem 48 proc., a PiS ma 40.

Jak takie hamowanie emocji miałoby wyglądać?

Trzeba było po zwycięskich wyborach pochylić się ku wyborcom opozycji, nie obrażać ich, tylko okazywać zrozumienie dla ich emocji – choćby nie przepychać do Trybunału Konstytucyjnego Pawłowicz i Piotrowicza. Ustępowanie nie jest łatwe, bo wywołuje wrazenie, że się słabnie, a to może działać demobilizująco na aktywistów. Weźmy kuriozalną wypowiedź Kaczyńskiego, że nawet jak Duda

przegra, to nic takiego się stanie i nie będzie przyspieszonych wyborów. To mi przypomina trenera, który przyszedł przed meczem do szatni i mówi: chłopaki, nawet jak przegramy, to nic się nie stanie, z ligi nie spadniemy.

Stan gry się zmienia, bo raz za razem potwierdza się porzekadło, że nadgorliwość jest gorsza niż sabotaż. Na przykład nagłaśnianie przez przeciwników PiS zachowania szefowej sztabu Dudy sprzed półtora roku. Sprawa jest daleka od jednoznaczności – żadne naruszenie ciszy wyborczej nie uzasadnia łapania przez dorosłego mężczyznę kobiety za gardło w środku nocy. Choć zawsze można liczyć na pomocną odpowiedź drugiej strony – minister Ziobro odpala postępowania karne przeciw sędziom na tym etapie kampanii, kiedy sondaże pokazują, że istotna część wyborców PiS ma obawy w związku z ustawami sądowymi.

Można zawsze powiedzieć, że ciągle istnieje potrzeba odegrania się za dawne lata. A poza tym władza chyba nauczyła się mówić: i co nam zrobicie?

Była przekonana, że nie ma z kim przegrać, co nigdy nie jest dobrym prognostykiem, a w obecnej sytuacji może oznaczać, że popadła w jakieś otępienie. Porażka w wyborach prezydenckich będzie nie tylko ciosem w morale. Co wam zrobimy? – to się okaże, jak wahadło pójdzie w drugą stronę. Można zrobić to, co Miloš Zeman w Czechach, który odmówił powołania premiera, choć miał obowiązek konstytucyjny, i nic się nie dało z tym zrobić.

Nadgorliwość może przeważać szalę, ale dopiero na finiszu. A jakie mogą być wcześniej czynniki ustawiające nagle grę na nowo – to, co w żargonie, czerpiącym jak zwykle z angielskiego, nazywa się game-changer?

Wycofanie się któregoś z kandydatów. Albo rzeczy nieprzewidziane, jak koronawirus...

Poczucie zagrożenia zwykle służy władzy.

O ile umie sobie ona poradzić. Powódź w 1997 r. nie pomogła w utrzymaniu rządu SLD, natomiast powódź w 2010 r. nie zaszkodziła Komorowskiemu, po-

mimo ewidentnych wpadek. Na pewno PiS wiele by stracił, gdyby doszło do powtórki z państwa teoretycznego. Sam kryzys nie musi być ciosem dla władzy – mamy już za sobą doświadczenie z 2008 r. To musiałyby być coś, co wpływa na życie pojedynczych osób: nie można nic kupić w sklepach, zamyka się szkoły. Potężna zmiana życia, nie *show* medialny. Sytuację mógłby też zmienić niekontrolowany napływ uchodźców, lecz już wiadać, że nie będzie powtórki z 2015 r. Już są druty kolczaste i policja z bronią, i nikt nie potępi Węgrów za siłowe powstrzymywanie zdesperowanych tłumów.

A inflacja?

Tak, to jest coś, co obciąża wahałdo: chwaliliście się, że płace wzrosły, ale teraz okazuje się, że to złudzenie, bo wzrosły ceny i kupić można mniej, niż się nam wydawało.

Czy Andrzej Duda potrafi zachować zimną krew?

Jest pod większą presją. Dla Kidawy porażka to koniec kariery, ale ta kariera nie była szczególnie spektakularna. Dla Kosiniaka to punkt w programie, nikt go z prezesury PSL nie odwoła, nawet gdyby zdobył 2 proc., do czego jednak daleko. Dla Dudy natomiast to jest być albo nie być.

Strategią opozycji może być nie tylko czekanie na momenty słabości Dudy, ale ich prowokowanie.

Widać to było po Kosiniaku, kiedy mówił, że nie będzie Adrianem. I prowokacja się udała – prezydencki minister odpowiadał, że to Kosiniak był popychadłem... To by nie uchodziło, nawet gdyby Duda był jak prezydent Rumunii, który jest samodzielnym graczem i doprowadził do upadku rządu. Nietrudno zgadnąć, przeciw komu łatwiej użyć argumentu „prezydent nie powinien być popychadłem”. Komorowski też lekcewał Duda w kampanii. Faworytowi nie wypada wypowiadać się protekcyjnie o konkurentach, to rozpaczliwie nieskuteczne.

Wiele się przez ostatnie pięć lat zdarzyło, jesteśmy na finiszu długiego cyklu wyborczego, w coraz głębszej polaryzacji, ale kampania ciągle wydaje się niemrawa.

Nie może być inna, bo pełno w niej nieuchronnych sztuczności. Wszyscy kan-

Rządzący nawet jak doszli do władzy dzięki emocjom, które podgrzewali, gdy byli w opozycji, to powinni je potem hamować.

Sam kryzys wywołany koronawirusem nie musi być ciosem dla władzy

– mamy już za sobą doświadczenie z 2008 r. To musiałyby być coś, co wpływa na życie pojedynczych osób, potężna zmiana życia, nie *show* medialny.

dydaci mówią, jakby zamierzali rządzić krajem – osobiście nadawać mu właściwy kierunek. Ale wiemy, że to nieprawda. Co najwyżej będą trzymać rękę na hamulcu ręcznym. Głównymi beneficjentami rozwiązań konstytucyjnych dotyczących prezydentury są producenci gadżetów do konwencji wyborczych.

Dla opozycji to jest jednak ostatni moment, w którym można podstawić nogę PiS-owi.

Następny już za trzy lata. Jeśli miałyby to być ostateczne starcie, wybrano sobie wątpliwą kandydaturę. Ratuje ją tylko to, że mamy do czynienia z równowagą słabości. Po stronie PiS słabość wynika z tego, co Kaczyński robił z Dudą od 2015 r. Jeśli prezes dziś mówi, że Duda jest kandydatem marzeń, to pewnie dlatego, że mu przez te pięć lat realnie nie podskoczył. Siedzi na obradach klubu parlamentarnego pomiędzy premierem a „naczelnikiem państwa”, bo go tam posadzono, a nie dlatego, że oni go zawsze tam potrzebowali, ani też dlatego, że choć go tam sadzać nie chcieli, to sobie to wreszcie wywalczył. Po wyborach nikt go tam już nie posadzi, niezależnie od ich wyniku. Gdyby ktoś chciał to racjonalnie roze-

grać, Kaczyński nie powinien od 2015 r. zajmować się przyszykaniem Dudy jak drzewka bonsai, tylko przewidzieć dla niego miejsce. Powinno być dziś oczywiste, że jest kimś, bez kogo wszystko obecnie wyglądałoby inaczej. Jak Kwaśniewski, obsadzony przez lewicę w roli dobrego gliny.

W przypadku Platformy może lepiej byłoby, żeby kandydował Budka – on mógłby uwiarygodniać programowe obietnice. Stał się jednak ofiarą kalendara i uporu Schetyny. Jeśli Kidawa przegra, będzie to porażka Schetyny. To on przez swoje złe decyzje i trzymanie się władzy wmanewrował partię w sytuację, z której nie było wyjścia, i wszyscy muszą robić dobrą minę do złej gry, krzycząc „Kidawa, Kidawa”.

Może Schetynę dopadło fatum?

Przymus działania na własną szkodę, narzucony wraz z rolą nadaną przez los?

Nie, to nie żadna grecka tragedia, tylko solidne wyzwanie, któremu nie sprostał. To jak z nadwagą u 50-latków: jedni starają się zachować formę, z mniejszym lub większym powodzeniem, inni odpuszczają. Rola i sposób wybierania prezydenta są dla polskiej polityki utrapieniem, lecz trzeba to traktować jako próbę, przez którą można przejść lepiej lub gorzej. Od strony „przewagi moralnej” takie wybory są trudne do przecenienia. Nie mieliśmy dotąd takiej sytuacji, żeby partia traciła prezydenta w czasie, kiedy sprawuje władzę. Z jednym wyjątkiem: kiedy Mazowiecki był premierem, a Wałęsa w pewnym sensie liderem opozycji. Skończyło się to upadkiem rządu. Pamiętajmy jednak, że system partyjny był wtedy w powijakach.

Ciągle jednak myślę, że skoro trwa wciąż jeden i ten sam pojedynek między rządem a opozycją, to postaci akurat wystawione na ring mogą być przypadkowe.

Najtrudniej utrafić we właściwy poziom zaangażowania. Sam urząd nie jest wart aż tak wiele, jak to opowiadają kandydaci, lecz więcej, niż to widzieli autorzy konstytucji. Nie tylko więcej, lecz przede wszystkim w inny sposób. W tej „Grze o tron” jeszcze mniej jest jednoznacznych ról i postaci. Najważniejsza różnica: to się dzieje naprawdę.

© P Rozmawiał PAWEŁ BRAVO

Nie ma komu kopać rowów

KRZYSZTOF STORY

Przez lata w Polsce woda była traktowana jak złoto konieczne. Teraz zaczyna jej brakować. Widać to zwłaszcza w górach.

9CZERWCA 2019 R. KRZYSZTOF JAŹDŹYK, prezydent Skierniewic, zwołał sztab kryzysowy. W mieście zabrakło wody. Jacek Pełka, prezes miejskiej spółki wodociągowej, tłumaczył wtedy, że przychyną jest rosnące z roku na rok o około 5 proc. zużycie, a czerwiec jest miesiącem krytycznym. To wtedy zaczyna się podlewanie plantacji truskawek, borówek, a także przydomowych ogródków. Pełka mówił, że powinniśmy zaakceptować konsekwencje zmian klimatycznych i „zacząć się przyzwyczajać, że woda to dobro luksusowe”.

23 lipca 2019 r. stan Wisły przy bulwarach w Warszawie wynosi 42 centymetry.

22 stycznia 2020 r. Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie publikuje niepokojące dane na temat wilgotności gleby. Ciepła, sucha i bezśnieżna zima uniemożliwia odbudowę wilgoci. Na obszarze sześciu województw „dane wskazują na bardzo intensywną suszę atmosferyczną i rolniczą”.

Te województwa to: zachodniopomorskie, pomorskie, kujawsko-pomorskie, warmińsko-mazurskie, łódzkie i wielkopolskie. Ale problem nie ogranicza się tylko do nich. 6 lutego w wywiadzie dla TVN24 wicedyrektor Biebrzańskiego Parku Narodowego przyznaje, że poziom wód gruntowych jest nawet o 50 cm niższy od normy. Biorąc pod uwagę rozległość biebrzańskich bagien i torfowisk (jednego z największych naturalnych zbiorników retencyjnych w kraju), brakuje nam milionów metrów sześciennych wody. Susza zimowa może oznaczać suszę letnią, za którą zapłaci przy-

roda, rolnicy i my wszyscy, robiąc codzienne zakupy.

Suszę zimą nie jest tak łatwo zobaczyć. Nie ma przecież spalonych słońcem pól, wyschniętych rzek, upałów. Można za to spojrzeć z góry na powierzchnię pokrywy śnieżnej. Bez niej wilgoć nie odkłada się w glebie. Według danych PAN na przełomie stycznia i lutego śniegiem było pokryte poniżej 10 proc. obszaru Polski. Średnia z poprzednich lat przekracza 70 proc. Obecnie pokrywa śnieżna oscyluje wokół 1 proc. Śniegu po prostu w tym roku nie ma.

By zobaczyć suszę, warto pojechać w góry. Większość rzek w Polsce to te o reżimie śnieżnym – dużą część wody biorą z wiosennych roztopów. Nie ma roztopów, będzie susza.

Adama Ulbrycha walka o wodę

W Milówce, w Beskidzie Żywieckim spotykam się z ekologiem i aktywistą Adamem Ulbrychem. Zbocza, które powinny tonąć w śniegu, są ledwie przypórzone.

– Zmieniamy się z kraju bagiennego w stepowy – mówi Ulbrych. – Nawet tutaj w górach mamy problem z wysychają-

cymi studniami. Dlaczego? Na to nie ma jednej prostej odpowiedzi. W przyrodzie nigdy nie ma prostych odpowiedzi.

Ulbrych przyjechał do Milówki dwa lata temu, ale odpowiedzi zbiera od lat. Najpierw w Niemczech, gdzie przez 20 lat współpracował z ekologami i naukowcami. Później pod Wołczynem (woj. opolskie), gdzie założył użytek ekologiczny Rozalia. – Odtworzyłem tam zbiornik wodny o powierzchni dwóch hektarów, dookoła były łąki i lasy łęgowe.

W 2014 r. Ulbrych wraz z innymi mieszkańcami zaczęli protestować przeciw nielegalnej wycince drzew w gminie Wołczyn. – Setki dębów wycięto, by zwiększyć powierzchnię upraw. Zatorano tam i osuszono mokradła porośnięte drzewami. Dęby rosły na starej grobli, którą zbudowano dwieście lat temu jako suchy zbiornik retencyjny. Dziś nie ma tam ani drzew, ani grobli, są pola uprawne i wnioski o odszkodowania dla rolników za straty spowodowane suszą – mówi ekolog.

Świadkowie wycinki byli zastraszani, Ulbrych dostawał SMS-y z pogróżkami. 6 listopada podpalono mu dom. Pięć lat później Michał A., właściciel fabryki me-





GRAZYNA MAKARA

Adam Ulbrych, Miłówka, marzec 2019 r.

retencyjnych w Polsce pochodzi z tego okresu: Solina, Włocławek, Nysa, Jezioro. Bagna i mokradła były osuszane, żeby można było wjechać na nie ciężkim sprzętem rolniczym. Analiz środowiskowych brakowało albo były ignorowane, a melioracja służyła głównie temu, by wodę jak najszybciej odprowadzić z pól. Jak szacują naukowcy, straciliśmy w ten sposób nawet 80 proc. terenów podmokłych. – W historii wojskowej widać, że Polska była krajem podmokłym – mówi Ulbrych. – Każdy najazd na nasze tereny utrudniały mokradła, wojska tonęły w bagnach. Dziś nic takiego by się nie wydarzyło.

Przez lata w Polsce woda była traktowana jak zło konieczne, które trzeba ujarzmić i kontrolować. Brzegi betonowano i wyrównywano do tego stopnia, że niektóre rzeki upodabniały się do kanałów. Koniec PRL przyniósł stagnację w gospodarce wodnej, aż do powodzi z 1997 i 2001 r. Ich skutki utwierdziły nas w konieczności dalszej regulacji rzek. Przez następne lata inwestycje wodne miały prawie wyłącznie charakter przeciwpowodziowy.

Władzę w tej sprawie miały wówczas samorządy i Regionalne Zarządy Gospodarki Wodnej, brakowało centralnego planu. Wały, umocnienia, kanały budowano często bez należytego przygotowania, wybierając rozwiązania gorsze przyrodniczo i (paradoksalnie) zwiększające ryzyko powodzi. Wybetonowano dziesiątki tysięcy kilometrów małych i większych rzek.

Jak regulacja może zwiększać ryzyko powodzi? Rzeka uregulowana zaczyna coraz bardziej przypominać kanał. Rurę, przez którą woda przepływa błyskawicznie. Fala powodziowa kumuluje się, powoduje większe szkody, a woda błyskawicznie odpływa do morza i za chwilę mamy suszę. Tak było w zeszłym roku, gdy premier Morawiecki mówił w kwietniu, że modli się o deszcz. W maju modlił się, by przestało padać, w czerwcu z powrotem o deszcz.

Tymczasem naturalna rzeka przypomina tę samą rurę obłożoną gąbkami. Po dużych opadach czy roztopach woda wsiąka w ziemię dookoła, podsiąka od spodu, stagnuje, tworząc rezerwę na następne miesiące. Naturalną i darmową retencję.

Woda ma płynąć pod górę

Idziemy wzdłuż małego leśnego potoku. Adam Ulbrych opowiada: – Poziom wód faktycznie bardzo się obniżył. Najlepiej widać to po wlotach do starych młynów, które dzisiaj potrafią być kilka metrów nad lustrem wody.

– Dlaczego? – pytam.

– W temacie wody nie ma jednej odpowiedzi – odpowiada Ulbrych. – Trzeba zacząć od górskich strumieni, a skończyć na największych rzekach. Uwzględnić rolnictwo, przemysł, zmiany klimatyczne.

– Zaczniemy.

– Po pierwsze: lata zaniedbań. Wszystkie urządzenia wodne, stawy, przepusty, zastawki trzeba utrzymywać. Dziś mamy na mapach zbiorniki, kanały i studnie, które od dawna nie działają. Po drugie: pogrążyliśmy się dopłatami unijnymi.

– Dlaczego?

– Przyjęliśmy zasadę, że dopłaty należą się tym, którzy ciężko pracują. Czyli od hektara uprawianej ziemi. Opłacało się więc rolnikom orać torfowiska, by wjechać tam ciężkim sprzętem, ciągnikami. Ja za użytek ekologiczny nie dostałem ani grosza, bo nic nie uprawiałem. Tylko że zaorane torfowisko zaczyna murszeć, nie odkłada się w nim woda. Po dziesięciu latach nie zostaje po nim ślad.

– Ile wody magazynuje torf?

– Nawet dziesięć razy więcej niż sam waży. Torfowiska tworzą się przez tysiące lat, a zniszczyć je można w kilka sezonów. I do tego dopłacaliśmy. Do wielkiej, nikomu niepotrzebnej roboty.

Wody Polskie szacują, że nasze torfowiska magazynują 35 mld m³ wody. 75 razy więcej niż Jezioro Solińskie, największy w kraju zbiornik retencyjny. Podobnie ważną rolę w retencji spełniają lasy. Nawet 60 proc. samego drewna stanowi woda. Lasy kumulują opady, zmniejszają prędkość spływu, filtrują wodę z nieczystości.

– W momencie, kiedy padłe, ścięte drzewa wywozi się z lasu, wywozi się też wodę – opisuje Ulbrych. – Zresztą las lasowi nierówny. Tu w Beskidach dobrze widać, gdzie bukowe lasy zastąpiono np. świerkową monokulturą.

– Po czym?

– Po potokach. Opadłe bukowe liście, zwalone pnie, cała biomasa na dnie ogranicza erozję wglębną. Woda wsiąka na boki, zamiast wypłukiwać dno. Musimy się nauczyć, że biomasa nie jest odnawialnym źródłem energii, tylko przede

bli, został skazany na sześć lat bezwzględniego więzienia za zlecenie podpalen (ogień podłożono też kilkukrotnie w okolicznym gospodarstwie). Ekolog nie czekał na wyrok w Rozalii. Wyprowadził się do Miłówki i następne projekty będzie realizował tutaj: – Po wszystkim, przez co przeszedłem, chcę zająć się edukacją. Najmłodszym dzieciom trzeba tłumaczyć, czym jest woda, jak działa przyroda. Inaczej nic nie zmienimy.

Na spotkanie przychodzi z wydrukowaną ustawą Prawo wodne z lipca 2017 r. O tym dokumencie będziemy jeszcze rozmawiać, na razie idziemy na spacer nad rzekę.

Premier modli się o deszcz

Ze strony Wód Polskich: „Susza jest zjawiskiem bardzo złożonym i walka z jej skutkami nie może opierać się wyłącznie na jednym rozwiązaniu. Tu potrzeba działań na wielu płaszczyznach”.

Podobnie jak rozwiązania, historia polskiej suszy jest złożona i wieloetapowa. Etap pierwszy to czasy PRL i era wielkich inwestycji hydrotechnicznych i osuszania. Większość największych zbiorników

→ wszystkim ogromnym zbiornikiem retencyjnym.

– Co powinniśmy robić?

– Pilnować, by woda płynęła pod górę.

– Pod górę?

Ulbrich proponuje eksperyment. Do głębokiego talerza należy nalać wody. Ustawić w nim stos np. kilku rolek papieru toaletowego i czekać. Po chwili wszystkie będą mokre, nawet te metr ponad talerzem. – Tak w uproszczeniu działa gleba – tłumaczy ekolog. – Podsiąka do góry. Ale jeśli potok wybetonujemy albo pozwolimy, by wypływał całe dno aż do skały, wtedy podsiąkania nie ma. Woda błyskawicznie ucieka w dół, zabierając ze sobą muł i kamienie. A potem musimy ten muł wybierać ze zbiorników za duże pieniądze.

W tym roku odmulane będzie m.in. Jezioro Żywieckie. Szacowany koszt to 200 milionów złotych.

Nie tylko powódź

Decydujący wpływ na to, co dzieje się z wodą w Polsce, ma ustawa, którą Ulbrich trzyma w ręce. 216 stron dokumentu to najnowszy etap polskiej gospodarki wodnej. W jej myśl 1 stycznia 2018 r. powstało Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie. – Po latach zaniedbań powstała jedna organizacja, która zajmuje się gospodarką wodną – mówi rzecznik Wód Polskich, Sergiusz Kieruzel. – Nie myślimy wyłącznie powodzi albo wyłącznie suszy. Nareszcie możemy działać kompleksowo.

Wody Polskie przejęły większość kompetencji samorządów oraz dawnych Regionalnych Zarządów Gospodarki Wodnej. Susza jest obecnie jednym z najważniejszych wyzwań dla WP. 15 lutego 2020 r. zakończyły się półroczne konsultacje społeczne Programu Przeciwdziałania Skutkom Suszy na lata 2021–2027. W dokumencie czytamy: „ekstremalnie i bardzo zagrożone występowaniem suszy rolniczej jest 38 proc. powierzchni kraju zajętej przez tereny rolne i leśne”.

Plan to zbiór rekomendacji i konkretnych działań: od edukacyjnych, przez retencyjne, po duże inwestycje. Niepokoić może widoczna przewaga tych ostatnich. Do PPSS dołączona jest tabela 68 inwestycji wodnych do realizacji. Są tam m.in. kolejne stopnie wodne na Odrze (Malczyce) i Wiśle (Niepołomice, Siarzewo). Słowo „mikroretencja” pada raz. – Pamiętajmy, że ten dokument nie jest planem

wykonawczym dla Wód Polskich, to rekomendacje – uspokaja Kieruzel. – Działania na rzecz mikroretencji, czyli retencji naturalnej, również prowadzimy. Tylko w 2020 r. wydamy na nie 400 milionów złotych. To osiem razy więcej niż jeszcze w 2015.

Ekolodzy są zdania, że to i tak o wiele za mało. 400 milionów w skali całego kraju to zaledwie dwa razy więcej niż koszt odmulenia jednego tylko Jeziora Żywieckiego.

Widowiskowe marnotrawstwo

– Wiele ostatnio mówi się o małej retencji. Pan mówi o mikroretencji – zauważam.

– Mała retencja to sztuczne zbiorniki do 5 mln metrów sześciennych – odpowiada Ulbrich. – Mikroretencja to wykorzystywanie naturalnych metod. Tego, co już mamy. To wykorzystywanie biomasy do spowalniania spływu wody, piętrzenie na torfowiska, które dzięki temu mają szansę się powiększać. Pilnowanie, by woda płynęła pod górę. Drążenie koryt, pogłębianie rzek prowadzi tylko do dalszego obniżania się lustra wody.

– Biomasy?

– W Niemczech popularną formą retencji jest wrzucanie drzew do potoków. Dużo się mówi ostatnio o bobrach. Myślę, że najlepszą lekcją mikroretencji jest obserwacja bobrowego żeremia. Powinniśmy na nie patrzeć, a potem robić to samo. Zacząć bawić się w bobry.

– Co pan sądzi o PPSS?

– Że poprawi samopoczucie społeczne. Wody w torfie ani w lesie nie widać. Duży zbiornik to już co innego. Więc lepiej korzystać z metod widowiskowych niż takich i skutecznych. Pokażę coś panu.

Ulbrich wyciąga dokument „Program odtwarzania retencji naturalnej i mikroretencji w zlewni rzeki Stobrawy”. Stobrawa jest w opolskim, tam gdzie Ulbrich przez lata mieszkał. To pierwszy w Polsce plan renaturyzacji rzeki, powstał w 2013 r. W Europie takie projekty robi się od lat, przykładami mogą być niemiecki Ren czy duńska rzeka Skjern, którą przywrócono naturze. Wody Polskie dopiero w 2020 r. zaczęły pilotaż podobnego rozwiązania. – Wtedy to oczywiście nikogo nie zainteresowało, ale jest tu jeden szczegół. Podając przykłady inwestycji, zestawiam dwie. „Mó” staw Rozalia i zbiornik małej retencji w Kluczborku. Porównałem koszty w przelicze-

niu na metr sześcienny zretencjonowanej wody. W betonowym zbiorniku kluczborskim ten metr kosztował 14,62 zł.

– A w stawie?

– Trzydzieści siedem groszy. I pół.

Jak pokazać wodę

Nie można Wodom Polskim zarzucić, że nie realizują mikroretencji. Tych działań często nie widać, bo są subtelne i punktowe, ale bardzo skuteczne. To bardziej kwestia priorytetów i świadomości, że środowisko wodne nie jest zbiorem odcieranych od siebie elementów. Że wycinka lasów może okazać się nieopłacalna, bo ma kolosalny wpływ na gospodarkę wodną. Że często lepiej utrzymywać stare urządzenia, niż budować nowe. Potrzebni nam są więc fachowcy, inżynierowie melioranci, którzy będą ten system rozumieli. Niestety, Wody Polskie borykają się z problemami kadrowymi. W WP pracuje dzisiaj około 6 tys. ludzi. Dla porównania: Lasy Państwowe zatrudniają prawie pięć razy więcej.

– To jest prawdziwy problem – potwierdza Sergiusz Kieruzel. – Mamy potężną lukę pokoleniową i lata zaniedbań nie tylko w inwestycjach, ale też w edukacji. Dopiero dzisiaj na nowo otwierają się szkoły żeglugi i melioracji. Ale to nie jest rozwiązanie natychmiastowe.

Dlatego Adam Ulbrich chce się zająć problemem u podstaw. W Miłowie zakłada wspólnotę wodną, mieszkańcy razem będą dbać o swoje studnie, dostęp do wody. – To trzeba zacząć od dołu. Czyli w kategoriach rzecznych: od źródła. Od nauki. Chcę zbudować wodny plac zabaw. Nie wie pan, co to? To będzie ostatnie zadanie domowe.

Najpierw każe mi wpisać w wyszukiwarkę internetową po niemiecku: *Wasser Spielplatz*. Wyskakuje rząd obrazków z hydrotechnicznymi placami zabaw. Są pompy, zastawki, małe tamy, gdzie dzieci uczą się, jak płynie woda i jak nią sterować. Sztuczne meandry i bystrza. Najczęściej zrobione z drewna proste mechanizmy.

Później po polsku: wodny plac zabaw. Telefon odpowiada samymi zdjęciami aquaparków, podmiejskich kąpielisk i minizjeżdżalni, fontann, natrysków i plastikowych palemek we wszystkich kolorach tęczy. – Jeśli tak będziemy pokazywać dzieciom wodę, nie możemy się dziwić, że nam jej kiedyś zabraknie.

© KRZYSZTOF STORY



Szpital w Monterrey, w którym dzieci z guzami mózgu otrzymują chemioterapię, luty 2020 r.

Dealerzy nadziei

MAŁGORZATA SOLECKA

Doktor Siller po zabiegu w meksykańskiej klinice powiedział, że chłopiec i tak był na granicy życia i śmierci.

FRANIO. FRANEK. FRANCISZEK POPEK, lat niespełna sześć.

Na początku stycznia 2019 r. zdiagnozowany guz pnia mózgu.

Rok później wyprawa do Monterrey. Nie po zdrowie. Po nadzieję. I po czas.

Powrót do Polski 12 lutego, transportem medycznym, pod respiratorem.

Praktycznie bez życia.

Mógł przeżyć półtora roku

W listopadzie o Franiu mówi pół Warszawy, słyszy – pół Polski. „Śloiki z Wilanowa”, lokalna inicjatywa mieszkańców, kręci wielką zbiórkę na leczenie kilkulatka z DIPG. To najgorszy, rozlany guz pnia mózgu.

– Potwór. Smok – mówią rodzice dzieci, które walczą z tym guzem. Walczą bez nadziei. Pięcioletnie przeżycia stanowią

mniej niż procent rozpoznań. Śmiertelność jest stuprocentowa. Średni czas przeżycia w Polsce to dziewięć miesięcy, choć niektórym udaje się żyć kilka, kilkanaście miesięcy dłużej. W Polsce dzieci z DIPG leczą się radioterapią i chemioterapią. Ewentualnie ponowną, paliatywną radioterapią. Nie po to, by guz zniknął, ale by udało się go zmniejszyć. Spowolnić lub opóźnić progresję choroby.

Frano, według lekarzy w Szwajcarii, mógł przeżyć osiemnaście, dziewiętnaście miesięcy. – Szukaliśmy w tym czasie szans wszędzie. Zurych, Londyn, Stany Zjednoczone. Są badania kliniczne, niektórym dzieciom udaje się do nich dostać – z mamą Frania, Anną Lisowską-Popek, spotykam się na początku marca w kawiarni na warszawskim Mokotowie. – W Zurychu wykonaliśmy biopsję guza,

która pozwala precyzyjnie określić mutację, a więc i to, czy określone leczenie ma szansę zadziałać.

W Polsce guzy diagnozuje się na podstawie badań obrazowych – tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego. Nie dają one jednak pełnej wiedzy o guzie, a więc i o ewentualnym leczeniu. Biopsja nie jest standardem.

„Czy Pan Minister podejmie działania i zrobi wszystko, aby polskie dzieci miały dostęp do biopsji i badań genetycznych guza w Polsce? (...) Jakie szanse mają polskie dzieci na opiekę i leczenie wg standardów europejskich?” – pytała resort zdrowia w złożonej w listopadzie interpelacji Katarzyna Osos, posłanka Koalicji Obywatelskiej z Zielonej Góry, poruszona historią trzynastoletniego Janka Mieszkiewo, który nieco wcześniej przegrał swoją walkę.

Ministerstwo w odpowiedzi wyliczało rodzaje biopsji wykonywanych w naszych szpitalach. „Dodatkowo (...) wszystkie dzieci w Polsce z podejrzeniem choroby nowotworowej mają dostęp do biopsji we wszystkich 18 ośrodkach onkologii dziecięcej. Wszystkie dzieci w Polsce diagnozowane i leczone w tych ośrodkach mają dostęp do badań genetycznych guza w kierunku zaburzeń molekularnych, na które istnieją leki posiadające →

→ rejestrację do terapii. Wszystkie dzieci z chorobami nowotworowymi w tych 18 ośrodkach onkologii dziecięcej są leczone wg programów europejskich” – napisał wiceminister Sławomir Gadomski.

Tyle że „programy europejskie” przewidują dokładnie to, co rodzice słyszą w momencie diagnozy. Leczenie paliatywne, które ma trwać dziewięć miesięcy. Może rok, może kilkanaście miesięcy życia. O wiele za mało, gdy dosłownie chwilę wcześniej myślało się, że dziecko ma przed sobą całe życie.

Rodzice szukają więc na własną rękę: biopsja w Zurychu, immunoterapia w Kolonii, konsultacje w USA. Leki będące w fazie badań klinicznych, za które trzeba płacić bająnskie sumy.

Czy to jest terapia?

Na początek chemia. Jak się później okaże, zbędna.

Radioterapię Franio znosi źle. Dodatkowo owocuje ona skutkami ubocznymi – pojawiają się cysty. Trzeba odbarczać, ale żaden szpital w Warszawie nie chce się tego podjąć. W Zurychu taki zabieg wykonuje pielęgniarz. Płyn uciskający na mózg chłopca odciąga w domowych warunkach jego dziadek, lekarz.

– Kiedy usłyszałam o Monterrey? Słyszałam o nim codziennie, przez rok – mówi mama Franka.

„Sekretna”, „kontrowersyjna”. Tak o tej klinice, prowadzonej przez dwóch lekarzy – Alberta Garcíę i Alberta Sillera – piszą od kilku lat media w Wielkiej Brytanii, USA, Australii i wielu innych krajach. W marcu 2018 r. australijskie portale donosiły, że jedna z najważniejszych w tym kraju fundacji zbierających na badania leków na guzy mózgu wysłała do Meksyku eksperta. Australijczycy chcieli również, by meksykańscy lekarze podzielili się *know-how*. Tak żeby możliwe było prowadzenie analogicznej terapii w Australii. Temat jednak ucichł.

– Terapii? Czy to, co się tam dzieje, w ogóle można nazwać terapią? – zastanawia się Anna Lisowska-Popek.

Julka, Martynka, Marysia, Hania...

„Co oferuje niewielki szpital w Meksyku, czego nie dają najbardziej renomowane kliniki w najbardziej rozwiniętych krajach świata? Z jakiego powodu pacjenci, nie tylko przecież z Polski, pokonują tysiące kilometrów?” – pytaliśmy w stycz-

Klinika to barak, w którym nic się nie dzieje.

Ale wynajmuje sale w mniej lub bardziej specjalistycznych (czytaj – mniej lub bardziej drogich) szpitalach, których w Monterrey nie brakuje.

niu 2019 r. („Gdy życie wisi na pasku”, „TP” 2/2019).

„Ta klinika specjalizuje się w leczeniu guzów DIPG poprzez podawanie kombinacji chemioterapii bezpośrednio do tętnicy zasilającej guza oraz złożonej immunoterapii, która stymuluje organizm do zwalczania komórek nowotworowych” – cytowaliśmy tekst jednej z wielu zbiorów, prowadzonych na portalu Siepomaga.pl. I komentarz amerykańskiego onkologa, monitorującego działalność ośrodka w Monterrey, dr. Davida Gorskiego, który bez ogródek nazywał tamtejszych lekarzy handlarzami fałszywych nadziei.

Dzieci z Polski, którym Meksyk oferuje to, czego nie daje nikt, przez ten czas znacznie przybywa. Po nadziei i czas latają systematycznie Julka, Martynka, Marysia, Hania, Nicola, Marek, Wiktor. I inni. Pokonują tysiące kilometrów, by otrzymać – bezpośrednio do guza lub przez tętnicę udową – koktajl cytostatyków, według receptury stanowiącej największą tajemnicę Monterrey. W ostatnich miesiącach co prawda klinika ujawniła (po wielu latach) skład mieszkanki, jednak proporcje są nadal nieznane. A skład, jak przekonali się rodzice Frania, może ulec modyfikacjom na każdym etapie terapii. A raczej „terapii”.

– Dwa tygodnie przed tym, co się stało z moim dzieckiem, identyczną historię przeżyła dziewczynka z Izraela. Też wróciła transportem medycznym i zmarła.

Inni lekarze tak nie mówią

Co więc stało się w Meksyku?

– W grudniu wysłałam wyniki rezonansu do Zurychu. Usłyszałam od dr Sabine Mueller, że powinniśmy zastanowić się nad powtórnią radioterapią. Ale Franek radioterapię zniósł źle. A ja już miałam w głowie Meksyk – przyznaje mama chłopca.

Bo przecież do Meksyku jeździ „cały świat”. Bo Meksyk „ma wyniki”. „Tylko w Meksyku” najważniejszy jest pacjent, a nie „procedury czy protokoły” – argumenty innych rodziców robią swoje. – Długo się wahałam – wspomina mama Franka.

Anna Lisowska-Popek przyznaje, że były sygnały ostrzegawcze. Pierwszy: jedna z najlepszych specjalistek na świecie w dziedzinie leczenia DIPG konsekwentnie powtarzała, że potrzebna jest powtórna radioterapia. Drugi: historia dziewczynki z Izraela i niepotwierdzone informacje, że podobnych przypadków „niepowodzeń” klinika w ostatnich miesiącach miała więcej. Trzeci: rozmowa z Albertem Sillerem jeszcze przed wyłotem do Meksyku.

– Wysłałam mu wyniki rezonansu. Jednak on mówił przede wszystkim o sobie i o klinice. O tym, że świat medyczny go nienawidzi, bo ma wyniki. Że już jest blisko wynalezienia leku na DIPG. Że w leczeniu guzów mózgu sprawdzają się lekarze, którzy nie boją się łamać reguł. Że on daje szansę rodzicom, bo sam ma dzieci. Inni lekarze tak nie mówią.

Gdy Siller akurat nie mówi o sobie, opowiada np., że w Meksyku jest gorąco i inni rodzice z Polski pomogą rodzicom Franka wynająć dom z basenem. O Franku – że to najlepszy moment na zawalczenie o powrót do normalnego życia.

– Podróż trwała ponad dwadzieścia godzin. Franio był w ogólnie dobrym stanie. Chodził z pomocą, mówił, samodzielnie jadł. Klinika? Raczej barak, w którym nic się nie dzieje. Nikogo nie ma, poza recepcjonistką.

Klinika wynajmuje sale. Czyli, jak mówi Alberto Siller, współpracuje z mniej lub bardziej specjalistycznymi (czytaj – mniej lub bardziej drogimi) szpitalami, których w Monterrey nie brakuje.

Podanie chemii poprzedza pierwsza wizyta w klinice 01.09. – Miałam nadzieję, że wszystkiego się dowiem. Że przede wszystkim zbadają Franka. Że porozmawiamy o wynikach rezonansu.

Ale na spotkanie nie dociera ani Siller, ani Garcia. – Przyszedł młody człowiek, przedstawił się jako lekarz. Poinformował, że merytorycznie nie będzie się wypowiadać. Był zainteresowany głównie tym, byśmy dopełnili formalności, podpisali wszystkie zgody na leczenie.

W trakcie spotkania pani Anna przekazuje, że Franek w przeszłości wyjątkowo

źle zareagował na nivolumab, jeden ze składników koktajlu cytostatyków podawanych do guza. – Prosiłam o przekazanie, by absolutnie tego leku nie włączać.

Kiedy zbadali Franka? – Nie zbadali. Siller spotkał się z nami na krótko przed podaniem chemii. Znów zaczął mówić o sukcesach. Zapytał, czy mam ze sobą płytę z wynikami rezonansu. Miałam, ale przypomniałam mu, że przecież wysyłałam je jeszcze z Polski mailem. „Chcę obejrzeć rezonans” – powiedział.

Gdy mąż pani Anny wchodzi z synem na salę operacyjną, Franek śmieje się i żartuje, widząc tatę ubranego w ochronny strój. – Obiecaliśmy, że po wszystkim pójdziemy na pizzę. Chwilę później został uśpiony do pierwszej chemii.

Tak będzie bezpiecznie

W czasie gdy lekarz ogląda rezonans, Franio jest już w znieczuleniu ogólnym. W pewnej chwili Siller zdenerwowany stwierdza, że „przecież syn ma wodogłowie” i „nie ma zastawki”.

– O tym wszystkim wiedziałby, gdyby zobaczył wcześniej wyniki rezonansu

– mówi pani Anna. – Informowałam go jeszcze z Polski, że zamiast zastawki w mózgu zdecydowaliśmy się, po konsultacjach z lekarzami w Polsce, na wentrykulostomię komory III [zabieg umożliwiający stworzenie zbliżonych do fizjologicznych warunków krążenia płynu mózgowo-rdzeniowego w wodogłowie – red.].

Mama Franka proponuje wybudzenie syna i odłożenie zabiegu. Słyszy: „Nie ma powodu”. Tata Franka prosi o wykonanie tomografii przed podaniem chemii. Dla jasności sytuacji. Odpowiedź? „Nie ma potrzeby, tomografia będzie po zabiegu.

Zrobimy połowę. Tak będzie bezpiecznie”.

„Połowa” to podanie koktajlu przez tętnicę udową.

Rodzice ufają, że lekarze wiedzą, co robią.

Lekarze podają koktajl. W ciemno.

– Próbował się obudzić. Nie mógł złapać oddechu. Reagował na głos, na dotyk – wspomina mama chłopca.

Zaraz po zabiegu jest źle. Z każdą godziną stan Franka się pogarsza. W międzyczasie okazuje się, że dostał lek, któ-

rego miano nie podawać; że potrzebna będzie zmiana szpitala, by operować i wstać z zastawkę; że trzeba operować natychmiast, w szpitalu, w którym na OIOM-ie nie ma dyżurnego lekarza, i w którym personel nie mówi po angielsku; że to wszystko będzie kosztować dodatkowe tysiące dolarów.

Doba w szpitalu: 14 tysięcy złotych

3 lutego. „Franio żyje i walczy. Jesteśmy otoczeni opieką zewsząd. Piszecie, martwicie się, jesteście z nami. Pomagacie, jak możecie. Tu na miejscu Franek ma dobrą opiekę medyczną i duchową również. Otrzymał namaszczenie chorych, w sali odprawiono mszę w jego intencji” – to fragment wpisu w FB „Pomóż Frankowi w walce z glejakiem DIGP”.

– W tym czasie, wiem to teraz prawie na pewno, Franio był już niemal po drugiej stronie. W nocy zobaczyłam, że temperatura spadła do 33 stopni. Zaczęli go dogrzewać. Usłyszeliśmy, że nie ma mowy o odłączeniu od aparatury. Że w Meksyku obowiązują procedury. ➔

REKLAMA

Wierzymy, że warto pomagać

JEDENPROCENT.CARITAS.PL

indywidualnie,
rodzinnie,
zawsze

KRS 0000198645



PRZEKAŻ **1%**
DLA CARITAS

➔ 5 lutego. „Franio jest w innym szpitalu. Hospital Angeles. O niebo lepsze warunki. Stabilny, pojawiły się odruchy neurologiczne w nogach, źrenice lekko reagują”.

– Był pediatra i specjalista intensywnej terapii. Przychodził do Frania codziennie wieczorem. Tyle tylko, że nie chciał mówić o szczegółach stanu zdrowia. Mówił, że lekarzem prowadzącym jest Alberto Siller, że z nim muszę rozmawiać. Siller w tym szpitalu nie jest nawet zatrudniony.

Rodzice na Facebooku piszą wprost, że starają się o zorganizowanie transportu do Polski. Wiedzą, że muszą wrócić – również dlatego, że w Warszawie czeka na nich starsza o dwa lata od Frania siostra, Tosia.

– Miałam wrażenie, że oni nie chcą nas stamtąd wypuścić. Być może po to, byśmy wydali wszystko, co mamy. Doba w szpitalu: 14 tysięcy złotych.

W Monterrey pojawia się z misją ratunkową Dorian Jankowski, ojciec Kuby, również z diagnozą guza. – Gdyby nie on, nie wiem, jak byśmy sobie poradzili – wspomina pani Anna.

Ojciec Kuby daje szpitalowi w zastaw swój paszport. To, razem z interwencją ambasady RP, przynosi efekt: Franio z rodzicami może lecieć do Polski.

Każdy rodzic wybiera drogę

Wieści z Monterrey szokują społeczność bliskich i przyjaciół dzieci z guzami mózgu. W mediach społecznościowych za-

Okazuje się, że Franek dostał lek, którego miano nie podawać;

że trzeba operować natychmiast, w szpitalu, w którym na OIOM-ie nie ma dyżurnego lekarza i w którym personel nie mówi po angielsku.

czynają się dyskusje. Czy w Monterrey doszło do zaniedbań? Czy to, co zdarzyło się Frankowi, to wliczone w ryzyko komplikacje związane z zabiegiem i samą chorobą, czy efekt praktyk meksykańskich lekarzy? I czy nagłośnienie sprawy nie zmniejszy szans innych dzieci na zebranie pieniędzy, liczonych w setkach tysięcy? Większość rodziców, również tych, którzy mają za sobą doświadczenie z Monterrey, staje po stronie kliniki. Piszą:

„To, co się zdarzyło, nie jest powodem, by oczerniać leczenie w Meksyku, jadąc tam bierzemy odpowiedzialność za to, co może się wydarzyć”;

„Monterrey jest i będzie opcją dla dzieci z DIPG. Jeśli przestanie (...), pogorszy się prognozyka dzieci poddawanych wyłącznie protokołom leczenia w Polsce”;

„Przy DIPG każdy rodzic wybiera drogę w swoim odczuciu najlepszą dla dziecka, każdy wybór należy uszanować, w każdym wyborze wspierać”.

Bo – jak głosi hasło grupy skupiającej rodziców dzieci z guzami mózgu – nikt nie powinien walczyć sam.

Możliwość popełnienia przestępstwa

12 lutego. Franio w nocy trafia do Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Warszawie.

14 lutego. „Wykonano komplet badań: stan Frania lekarze określają jako bardzo ciężki, wymaga stałej obserwacji i nie oddycha samodzielnie” – piszą rodzice na FB.

18 lutego na stronie pojawia się informacja o śmierci chłopca.

Cztery dni później na cmentarzu w Wilanowie odbywa się pogrzeb. Lecą kolorowe, w większości białe i niebieskie balony. Na skraj nieba – do Frania i dzieci, które odeszły przed nim.

Ale jeszcze przed pogrzebem Anna Lisowska-Popek i Mateusz Popek składają w prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez meksykańskich lekarzy.

– Doktor Siller po zabiegu miał mi do powiedzenia tylko tyle, że mój syn i tak był na granicy życia i śmierci. Franek leciał do Monterrey w zupełnie dobrym stanie. O jego śmierci zdecydował fakt, że dr Siller i dr Garcia nie mieli czasu zbadać pacjenta ani zapoznać się z wynikami jego badań. © MAŁGORZATA SOLECKA

REKLAMA

Teatr Poezji

1.

15 marca
12:00

Małopolski Ogród Sztuki
w Krakowie, ul. Rajską 12
bilety: 5 pln — w kasach teatru
więcej: www.teatrwwkrakowie.pl

Teatr
w Krakowie

TYGODNIK
POWSZECHNY

Poezja powszechna

Jubileusz 75-lecia „Tygodnika Powszechnego”

Darek Foks Magdalena Kicińska
Agnieszka Wolny-Hamkało Jacek Podsiadło
Bohdan Zadura Rudka Zydel
prowadzenie — Grzegorz Jankowicz

ANNA

Dziewit-Meller:

Adin, dwa, tri



DAWNO, DAWNO TEMU ZA GÓRAMI, ZA lasami, w średniej wielkości mieście aglomeracji śląskiej pobożne starsze kobiety (również z mojej rodziny), a także wielu mężczyzn trapionych chorobami, od czasu do czasu ogarniał amok: do naszej parafii przyjeżdżał uzdrowiciel.

Moja ciotka Agnieszka, szwagierka babci i cała jej rodzina, która specjalnie na tę okoliczność ściagała z Lublińca, pani Róża – znajoma fryzjerka, która przez dekady ścinała włosy wszystkim mężczyznom w moim domu, zwracając się do nich czule „kociku”, okoliczne wdowy z naszej dzielnicy – wszyscy rzucali w kąt swoje sprawy, brali w ręce kule i laski, zakładali kapelusze, kaszkiety i moherowe berety i co sił w nogach gnali do kościoła, gdzie karnie stawali w kolejce do tego, który nakładał na nich swe dłonie, dotykając miejsc, w których gnieździły się choroby, zwyrodnienia i bóle.

Ciotka Agnieszka, przemawiając z niespotykaną pewnością siebie na spotkaniach rodzinnych, twierdziła zawsze, że co jak co, ale jej Clive Harris niezwykle pomaga zdrowieć. Była tak pełna wiary w jego moce, że nikt nie miał odwagi, by jej w końcu powiedzieć, jakie były prawdziwe przyczyny zniknięcia uzdrowiciela z oferty rozrywkowo-leczniczej naszego kościoła pod wezwaniem Ducha Świętego. Możliwe, że gdyby знаła prawdę, od razu by się jej pogorszyło, a tak przeżyła 95 lat w dobrym zdrowiu i samopoczuciu.

Clive Harris zniknął zaś z firmamentu wówczas, gdy okazało się, że – jak sam dość beztrząsowo przyznał – przy seansach leczniczych bardzo wspierają go duchy, które nazwać miał demonami. Dziś egzorcysty i różni boży wojownicy, którzy – jak Robert Tekieli – walczą z wpływem sekt na polską duszę, to m.in. jego działalność winią za otwarcie szeroko drzwi okultyzmowi pod postacią bioenergoterapii. Był on – ów człowiek, który bezkarnie, a leczniczo dotykał moich ciotek – jakoby koniem trojańskim Złego w gościnnych podwojach licznych polskich parafii. Przez ręce Harrisa przewinęło się ponoć dziewięć milionów Polaków. Możliwe, że wielu z nich dziś leczy się u doktora Zięby.

Moja babcia wobec Harrisa pozostawała sceptyczna, nie dała się nigdy zaciągnąć ciotce do uzdrowiciela, poda-

jąc w wątpliwość jego moce. Twardo się trzymała, co generowało spory. Ale nawet ona – co pamiętam doskonale – otwarła się na urok wszechmocny innego człowieka, tego z grzywką, który z telewizora przemawiał do niej: „adin, dwa, tri”.

Przypomniam sobie te wszystkie nadprzyrodzone historie za sprawą znakomitej książki Gabriela Michalika „Kaszipiowski. Sen o wszechmocy”. Anatolij Kaszipiowski pojawił się w Polsce przełomu systemowego i dosłownie oczarował wszystkich. Tak jakby naród nasz, umęczony trudami transformacji, w ramionach szarlatanów znajdował największe ukojenie. „Adin, dwa, tri... Trzeba ludzi przeprowadzić jakby przez tunel tak, żeby przezeń przeszli i nie zginęli po drodze. Cztery, pięć, sześć... I oto kolejny raz biorę was wszystkich za rękę i wiodę znajomą i nieznaną ścieżką. Siem, wosiem, dziewięć...” (z seansu Anatolija Kaszipiowskiego w Sali Kongresowej, 1991).

Gabriel Michalik usiłuje znaleźć odpowiedź na pytanie, co sądzić o narodzie, który oddaje się niemal cały w ręce hipnotyzera „umiejącego indukować potężne sugestie”. Ależ dobrze się to czyta po latach, patrząc na ów dygot początku lat 90., gdy zaważyło się wszystko, co znano, a to, co rosło na gruzach, było nie zawsze zgodne z oczekiwaniami ludzi. Potrzeba było nam remedium na te nieznane wcześniej bolączki. Tak właśnie fenomen „Czerwonego Maga” oceniał badacz – był człowiekiem, który w idealnym momencie odpowiednio zareagował na stosowną społeczną potrzebę. Wykorzystał chwilę i dostępne środki – w tym media publiczne w Polsce, wówczas niemal bezkonkurencyjne. Co jednak zdumiało mnie najbardziej podczas lektury reportażu Gabriela Michalika, to stopień bliskości, by nie rzec – zblatowania radzieckiego cudotwórcy z polskim Kościołem. Kaszipiowski uzdrawiał nie tylko przy pomocy drugiego programu TVP, ale podobnie jak Harris korzystał z przychylności naszych hierarchów, którzy sami chętnie czerpali z jego usług, otwierając podwoje kościołów mocom idącym spod równo ściętej grzywki. Co jeszcze ciekawsze: skonfliktowany z rosyjską prawosławną Cerkwią, na swą obronę Kaszipiowski używał chętnie argumentu o życzliwym przyjęciu w Kościele katolickim w Polsce. „Występował w najważniejszych świątyniach Polski, a jego towarzystwem nie gardzili biskupi i kardynałowie. Ot choćby taki ślad: Anatolij przechowuje kilka fotografii ze spotkań z arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, ówczesnym sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski, postacią numer dwa w Kościele tamtego czasu”. O jego występach na Jasnej Górze nie wspomnę.

Gorąco polecam zatem Państwu lekturę tej książki, która na pewno mgłą specyficznej nostalgii przesłoni Wam na chwilę oczy. Zwłaszcza że chyba mamy teraz jakąś uwerturę do kolejnej epoki wielkiej niepewności i stajemy się coraz bardziej spragnieni cudów. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

NADCHODZI CZAS ŚWIECKICH

Dlaczego nie mieliby uczestniczyć w synodach,
głosić homilii czy zarządzać finansami wspólnot?

SEBASTIAN DUDA



Ostatnia adhortacja Franciszka „Umiłowana Amazonia” dla wielu katolików okazała się zaskoczeniem i rozczarowaniem. Zakończony w październiku ubiegłego roku synod poświęcony ewangelizacji obszaru Amazonii wydawał się swoistym poligonem doświadczalnym. Spodziewano się, że gwałtowne niejednokrotnie dyskusje zaowocują rozwiązaniami, które rozpoczną zmianę oblicza Kościoła nie tylko w dorzeczu największej rzeki Ameryki Południowej, ale i na całym świecie.

Katolicyzm zмага się przecież z ewidentnym kryzysem, którego najjaskrawszym symptorem jest skala ujawnionych skandali seksualnych z udziałem

duchownych. Zdaniem licznych wyznawców łacińskiego chrześcijaństwa (wywodzących się zarówno ze środowisk „tradycjonalistyczno-konserwatywnych”, jak i „progresywno-liberalnych”) Kościół powinien jak najszybciej dać skuteczny odpór samowyniszczającej tendencji, jakiej współcześnie doświadcza (jakkolwiek wymienione środowiska proponują odmienne środki zaradcze).

Franciszek wielokrotnie jako główną przyczynę problemów globalnej wspólnoty, której przewodzi, wskazywał klerykalizm – z gruntu niewłaściwy sposób sprawowania władzy duszpasterskiej przez duchownych. Nie jest to zresztą wyłączna choroba duchowieństwa. Są nią zainfekowani również świeccy. Czy uzdrowienia należy szukać w przekształceniu modelu władzy duchownej, jaki został wypracowany dotąd przez katolicką tradycję? Katolicy konserwatyści ratunku upatrują zwykle w powrocie do rzekomo „zdrowych form”, które wedle nich wystarczająco dobrze i skutecznie działały w Kościele przed Soborem Watykańskim II. Dla innych jest oczywiste, że takiego prostego powrotu być nie może. To również, jak się zdaje, stanowisko Franciszka, który jednak ostatnio ostrożniej wypowiada się na temat ewentualnego szybkiego wprowadzania radykalnych zmian.

W osobie Chrystusa

Synod amazoński po raz kolejny ujawnił wewnątrzkościelne napięcia dotyczące klerykalizmu i podziału władzy w Kościele. Amazonia, choć pod wieloma względami jest w światowym katolicyzmie regionem szczególnym, boryka się z problemami, które dotyczą w dużej mierze także katolików w zlaicyzowanych krajach Zachodu (i wcale nie chodzi tu tylko o Niemcy). W jednym i drugim przypadku nie ma np. wystarczającej liczby powołań kapłańskich, skutkiem czego w wielu parafiach miesiącami nie jest odprawiana Eucharystia – wedle nauczania Vaticanum II „szczyt i źródło” prawdziwie chrześcijańskiego życia. Z konieczności zatem wspólnotom przewodzą świeccy liderzy (często liderki), których status jest w kościelnym systemie władzy mocno problematyczny.

Franciszek docenia wagę działań świeckich liderów w Kościele, gdy pisze

w ostatniej adhortacji: „Świeccy mogą głosić Słowo, uczyć, organizować swoje wspólnoty, sprawować niektóre sakramenty, szukać różnych dróg wyrażania pobożności ludowej i rozwijać mnóstwo darów, które wylewa na nich Duch Święty. Potrzebują jednak sprawowania Eucharystii, ponieważ »tworzy ona Kościół«, i dochodzimy do wniosku, że »nie zbuduje się żadnej wspólnoty chrześcijańskiej, jeśli nie jest ona zakorzeniona w celebracji Najświętszej Eucharystii«. Jeśli naprawdę wierzymy, że tak jest, pilnie trzeba sprawić, aby ludy amazońskie nie były pozbawione tego pokarmu nowego życia i sakramentu przebaczenia” („Umiłowana Amazonia”, 89).

Wedle papieża jest zatem oczywiste, że wspomniane przezeń w powyższym tekście dwa sakramenty nie mogą się obyć bez udziału kapłanów. Wolno jednak mniemać, że Franciszek, który wielokrotnie krytykował klerykalizm, ma jasną świadomość, iż w katolickiej teologii kapłaństwa są pewne aspekty dla wspólnoty Kościoła niebezpieczne. Wielu duchownych i świeckich wierzy przecież, że katolicy kapłani działają *in persona Christi* („w osobie Chrystusa” – tzn. najpełniej reprezentują Zbawiciela) oraz że są oni jak *alter Christus* („drugi Chrystus”). Z tego powodu powinno im przysługiwać to samo, co wedle Apokalipsy św. Jana przysługuje samemu Odkupicielowi: „potęga i bogactwo, i mądrość, i moc, i cześć, i chwała, i błogosławieństwo” (por. Ap 5, 12).

Niestety, wiara ta niejednokrotnie stała się powodem wykorzystywania przez księży tych, którzy nie przystąpili do sakramentu święceń. Ontologiczna niemalże wyjątkowość, jaką liczni katolicy wiążą ze stanem kapłańskim, z całą pewnością przyczyniła się do przestępstw seksualnych (wiadomo, że nawet rodzice często nie wierzyli swoim krzywdzonym przez kapłanów dzieciom, bo przecież „ktoś reprezentujący Chrystusa nie może dopuszczać się takich czynów”) oraz tuszowania ich przez mającą poczucie szczególnego wybrania kościelną hierarchię.

Służba i władza

Z drugiej strony tradycyjna katolicka teologia urzędowego kapłaństwa zakłada (choć w dobie postępującej emancypacji kobiet stanowisko takie zdaje się wielu wiernym co najmniej deprymujące), że →



EZRA ACAYAN / GETTY IMAGES

Obrzędy Środy Popielcowej w Paranaque, Filipiny, 26 lutego 2020 r.

→ w owym kapłaństwie istotnie ma miejsce reprezentowanie Chrystusa. Z tego powodu trzeba brać pod uwagę, że przedwieczny Logos wcielił się w człowieka-mężczyznę.

Czy jednak w dobie obecnego kryzysu nie należałoby przemyśleć takiego rozumienia kapłaństwa na nowo? W „Umiłowanej Amazonii” Franciszek daje odpowiedź następującą: „Sposób ukształtowania życia i wykonywania posługi kapłanów nie jest monolityczny i nabiera odmiennych odcieni w różnych miejscach ziemi. Dlatego ważne jest ustalenie, co jest najbardziej specyficzne dla kapłana, do czego nie można delegować. Odpowiedź znajduje się w sakramencie święceń, który upodabnia go do Chrystusa Kapłana. I pierwszy wniosek jest taki, że ten wyłączny charakter, otrzymany w święceniach, uzdalnia tylko jego do przewodniczenia Eucharystii. Jest to jego funkcja szczególna, główna, do której nie może delegować kogoś innego. Niektórzy uważają, że tym, co wyróżnia kapłana, jest władza, fakt bycia najwyższym autorytetem wspólnoty. Ale św. Jan Paweł II wyjaśnił, że chociaż kapłaństwo jest uważane za „hierarchiczne”, funkcja ta nie oznacza wyższej nad innymi pozycji, ale „całkowicie jest podporządkowana świętości członków Chrystusa” („Umilowana Amazonia”, 87).

Kapłaństwo urzędowe to zatem szczególnie służba, która ma prowadzić do świętości wszystkich wiernych Kościoła. Jednak służba ta wiąże się też z władzą, którą, jak pisze Franciszek, „można otrzymać tylko w sakramencie święceń. Dlatego jedynie kapłan może powiedzieć: »To jest ciało moje«. Są też inne słowa, które tylko on może wypowiedzieć: »Odpuść mi grzechy«. Przebaczenie sakramentalne służy bowiem godnemu sprawowaniu Eucharystii. W tych dwóch sakramentach znajduje się istota jego wyłącznej tożsamości” („Umilowana Amazonia”, 88).

Czy jednak władza kapłańska ogranicza się do szafarstwa Eucharystii i spowiedzi? Z pewnością nie jest to stanowisko prezentowane w Katechizmie Kościoła Katolickiego. Powtórzona w nim bowiem została uświęcona wielowiekową tradycją doktryna o „władzach” (czy też „zadaniach” – łac. *munera*) związanych z sakramentem święceń. Katechizm wymienia trzy takie władze: *munus docendi* (władza nauczania), *munus sanctificandi* (władza

Zdarzało się, że kapłani krzywdzili swe ofiary w pobliżu tabernakulum,

tłumacząc, że w takich chwilach „dobrze być blisko uświęcającej miłości Chrystusa”.

sprawowania sakramentów) i *munus regendi* (władza zarządzania powierzonym kapłanowi ludem). Najpełniej władze urzeczywistniają się w działalności biskupów (bo w godności i posłudze biskupiej – wedle teologii przyjętej ostatecznie na Soborze Watykańskim II – objawia się „pełnia sakramentalnego kapłaństwa”).

Niestety, szokujące świadectwa ofiar wykorzystanych seksualnie przez księży dowodzą niezbicie, że grzech ujawnił się w każdym z owych trzech wymiarów władzy kapłańskiej. W każdym z nich urzeczywistniały się nie tylko moralne, duchowe, ale i teologiczne perwersje.

Władza i grzech

Tak się działo nawet w przypadku *munus sanctificandi*. Wiadomo przecież, że do molestowania penitentów wielokrotnie dochodziło w trakcie spowiedzi. Ministranci bywali gwałceni przez księży tuż przed mszą albo po jej zakończeniu. Zdarzało się, że kapłani krzywdzili swe ofiary w pobliżu tabernakulum, tłumacząc, że w takich chwilach „dobrze być blisko uświęcającej miłości Chrystusa”. To zatem, co w ujęciu Franciszka wydaje się esencją urzędowego kapłaństwa, niejednokrotnie stawało się okazją do grzechu.

Z kolei w przypadku *munus regendi* trudno zaprzeczyć, że władza ta nieraz służyła tuszowaniu przestępstw seksualnych i przenoszeniu sprawców w bezpieczne dla nich miejsca. Jedynie biskup ma bowiem władzę, by zlecać w ramach diecezji transfery księży. Dyskusja o kapłańskiej władzy rządzenia jest zatem w Kościele palącą koniecznością.

Nie inaczej wygląda to w odniesieniu do *munus docendi*. Dawniej księży byli najlepiej wykształconymi teologicznymi członkami Kościoła. Nic dziwnego, że odpowiadali za przekaz wiary. Dziś (choć nie dotyczy to wszystkich regionów świata) dostęp do wiedzy jest sze-

roki: świeccy często lepiej znają się na teologii niż księża (a nawet biskupi). Mimo to Katechizm utrzymuje, że „władza nauczania” związana jest z kapłaństwem urzędowym, jakby to ono samo z siebie było źródłem wiedzy. Ostatecznie (a pogląd taki to element tradycji od chrześcijańskiej starożytności) *munus docendi* najpełniej ma się realizować jako prerogatywa biskupów. Oto dlaczego mają oni wyłączne prawo głosu na soborach i synodach (w zgromadzeniach tych świeccy mogą być co najwyżej „audytorami”).

Czas świeckich

Ów katechizmowy trójpodział władzy w Kościele często nijak się ma do codziennych doświadczeń i pragnień wielu katolików. Ci z nich, którzy żyją w państwach demokratycznych, zastanawiają się, dlaczego Kościół nie próbował zastosować do swego funkcjonowania rozwiązań monteskiuszowskich. Papież, biskupi oraz delegowani przez biskupów prezbiterzy (raczej rzadko wierni spoza „stanu kapłańskiego”) na różnych poziomach dzierżą przecież władzę absolutną: są jednocześnie ustawodawcami, rządzącymi i sędziami. Nie dziwi więc, że samo wspomnianie o „stanie kapłańskim” w epoce, w której znikły monarchie stanowe, wydaje się wielu katolikom raziącym anachronizmem.

Być może nadszedł już czas, by duchowieństwo podzieliło się swoją władzą ze świeckimi. Dlaczego wybijający się liderzy wspólnot czy wybitni teologowie, którzy nie przystąpili do sakramentu święceń, nie mogliby aktywnie i z prawem głosu uczestniczyć wraz z biskupami w soborach i synodach? Taką możliwość przyjęto w obecnie realizowanej w Niemczech Drodze Synodalnej. Można mieć pewność, że doświadczenia niemieckie w ten czy inny sposób znajdą przełożenie w życiu także innych lokalnych Kościołów.

Nie bardzo też czytelny jest już dziś sens zakazywania świeckim głoszenia homilii czy autorskiego (a nie tylko doradczego) udziału w przygotowywaniu oficjalnych kościelnych dokumentów. To, że mogliby oni również sprawować pieczę nad finansami lokalnych wspólnot, a także mieć wpływ na obsadę stanowisk w diecezjach czy nawet w rzymskiej Kurii, również nie wydaje się obecnie zgubnym postulatem. Tuszowanie skandali seksualnych uzmysłowiło wielu wierzącym jeszcze to, że świeccy prawnicy po-

winni uczestniczyć w kościelnych postępowaniach sądowych (i to szczególnie w sprawach dotyczących duchownych właśnie). Sakrament święceń nie wydaje się konieczny potrzebny do sprawowania wymienionych aktywności.

Bez wątpienia taki nowy podział władzy oznaczałby dla katolicyzmu rewolucję. Jej przedsmak dało się odczuć podczas obrad Synodu amazońskiego. Nie przypadkiem przecież niektórzy uczestnicy tego zgromadzenia proponowali jako antidotum na perwersję klerykalizmu dopuszczenie do święceń prezbiteratu „wypróbowanych mężczyzn” (a przynajmniej diakonów stałych), czy nawet kapłaństwo kobiet.

Franciszek w posynodalnej adhortacji konsekwentnie przeciwstawił się tym propozycjom, choć zaznaczył też, że „potrzebni są kapłani, ale to nie wyklucza, aby zwyczajnie diakoni stali – których powinno być znacznie więcej w Amazonii – a także zakonnice, jak i sami świeccy podejmowali ważne odpowiedzialności za rozwój wspólnot oraz aby dojrzewali w wypełnianiu tych funkcji dzięki odpowiedniemu towarzyszeniu. (...) Kościół o twarzach amazońskich wymaga stałej obecności dojrzałych liderów świeckich, obdarzonych autorytetem, znających języki, kultury, doświadczenia duchowe i styl życia we wspólnocie w każdym miejscu, pozostawiając jednocześnie miejsce dla wielości darów, jakie Duch Święty zasiewa we wszystkich. Ponieważ tam, gdzie istnieje szczególna potrzeba, On już zesłał charyzmaty, które pozwalają na nią odpowiedzieć. Wymaga to od

Czy władza kapłańska ogranicza się do szafarstwa Eucharystii i spowiedzi?

Z pewnością nie jest to stanowisko prezentowane w obecnie obowiązującym Katechizmie.

Kościół zdolności otwierania dróg śmiałości Ducha, by powierzyć i konkretnie umożliwić rozwój własnej kultury kościelnej, znacząco świeckiej. Wyzwania Amazonii wymagają od Kościoła szczególnego wysiłku, aby osiągnąć obecność w każdym miejscu, co jest możliwe tylko przy silnym udziale świeckich” („Umiłowana Amazonia” 92, 94).

Klerykalizacja kobiet

Nie ma wątpliwości, że papież nie ogranicza swej wiary w misję świeckich w Kościele wyłącznie do Amazonii. Mimo to wyraźnie wstrzymuje dyskusję na temat obowiązkowego celibatu księży i dopuszczenia kobiet do sakramentu święceń. W tej ostatniej sprawie, podkreślając mocno kobiecy wkład w działanie i rozwój wspólnot katolickich, raz jeszcze – w duchu Jana Pawła II – zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo klerykalizmu wiążące się z ewentualnym ustanowieniem kobiecego kapłaństwa urzędowego. Zdaniem Franciszka trzeba bowiem „uniknąć sprowadzenia naszego rozumienia

Kościół jedynie do struktur funkcjonalnych. Taki redukcjonizm doprowadziłby nas do myślenia, że można by kobietom udzielić statusu i większego udziału w Kościele tylko wtedy, gdyby otrzymały dostęp do sakramentu święceń. Takie jednak spojrzenie faktycznie ograniczyłoby perspektywy, poprowadziłoby nas do klerykalizacji kobiet, pomniejszyłoby wielką wartość tego, co już dały, i w subtelny sposób spowodowałoby zubożenie ich niezbędnego wkładu” („Umiłowana Amazonia”, 100).

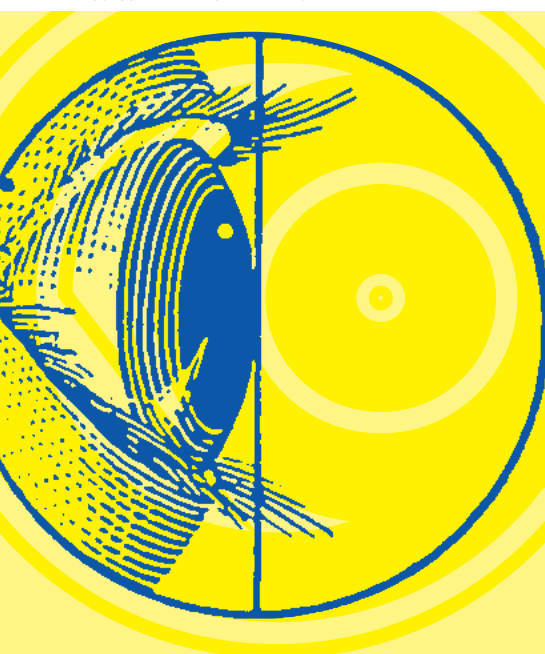
Dlatego, jak mocno konstatuje papież, kobiety „powinny mieć dostęp do funkcji, jak również do posług kościelnych, które nie wymagają sakramentu święceń i pozwalają im lepiej wyrazić ich własną rolę. Należy pamiętać, że takie posługi wiążą się ze stabilnością, publicznym uznaniem i mandatem od biskupa. Powoduje to również, że kobiety miałyby realny i skuteczny wpływ na organizację, najważniejsze decyzje i kierowanie wspólnot, ale nadal czyniłyby to w stylu właściwym dla ich kobiecego charakteru” („Umiłowana Amazonia”, 103).

Czy znaczy to, że możliwe byłoby formalne ustanowienie diakonatu kobiet niezwiązanego z sakramentem święceń? Widać wyraźnie, że Franciszek optuje za dzieleniem się biskupów ich władzą także z kobietami, ale nie przedstawia w tej sprawie konkretnych rozwiązań.

Niezależnie jednak od „kwestii kobiecej” wydaje się, że dążenie do nowego podziału władzy w Kościele nie da się już powstrzymać zbyt długo.

© SEBASTIAN DUDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

TYGODNIK
POWSZECHNY

Dyrektor i pięciu kardynałów

MICHAŁ HELLER

Jan Paweł I rządził Kościołem przez miesiąc i dwa dni. Jak mówi się w Obserwatorium Watykańskim, zdążył dokonać tylko jednego wielkiego dzieła: mianował dyrektorem Obserwatorium jezuitę George'a Coyne'a.

JAKIŚ CZAS PRZED NOMINACJĄ NOWEGO dyrektora Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego (*Specola Vaticana*) członkiem tej instytucji został mój przyjaciel, Bill Stoeger. Zaprosił mnie do wspólnego spędzenia kilku tygodni wakacyjnych w Castel Gandolfo (gdzie mieściło się Obserwatorium). Był rok 1978. Rzeczywiście wakacyjne warunki: papieski pałac, niesamowity widok na jezioro Albano, włoska rozleniwiająca pogoda, ale z pokusą bogatej biblioteki i naukowego zaplecza. W Specoli panowało dosyć sympatyczne – przynajmniej dla mnie – bezkrólewie: poprzedni dyrektor umarł jakiś czas temu, nowy był już zamianowany, ale jeszcze się nie pojawił. Kilku starszych pracowników odnosiło się do mnie przyjaźnie, ale byli zajęci własnymi sprawami. Czułem, że nikomu nie przeszkadzam.

Któregoś dnia Bill oświadczył mi, że za dwa dni przyjeżdża nowy dyrektor. Poczulem coś w rodzaju tremy – dyrektorzy zawsze budzą respekt. Wprawdzie Bill mnie zapewnił, że George (mówił o nim po imieniu!) jest wyjątkowo „miękkim człowiekiem”, ale to niewiele we mnie zmieniło. Pierwsze spotkanie było nieformalne. Prawie przelotem, jeszcze się nie rozpakował. Po kilku minutach wydawało mi się, że znam go od dawna. Oczywiście, George! A nie żaden wielki dyrektor.

Ale był on jednak sprawnym administratorem. Od początku zabrał się do roboty. Obserwatoria astronomiczne są przede wszystkim po to, aby obserwować niebo, prowadzić badania naukowe. Wszystko, co można zbadać przy pomocy niewielkich teleskopów, zostało już dawno zbadane. Nowoczesna astronomia

wymaga nowoczesnych instrumentów. W ogrodach papieskich w Castel Gandolfo stały dwa wysłużone teleskopy: teleskop Schmidta o średnicy lustra 98 cm, który od 1957 r. przez 20 lat wykonywał spektroskopowe obserwacje gwiazd, i 33-centymetrowy astrograf, który zasłużył się tym, że na przełomie XIX i XX w. brał udział w międzynarodowym programie sporządzania gwiazdowej mapy nieba („Carte du Ciel”). Schmidt miał jeszcze całkiem niezłą optykę, ale coraz jaśniej świecące światła Rzymu wykluczały jakiegokolwiek poważniejsze obserwacje.

Konieczność zbudowania nowoczesnego instrumentu i problem jego lokalizacji to było wielkie wyzwanie: techniczne, naukowe i finansowe. Przygotowanie projektu musza poprzedzić żmudne badania. Technika idzie naprzód w ogromnym tempie, trzeba więc planować z dużym wyprzedzeniem. Wybór lokalizacji oznacza rozeznanie klimatologiczne. No i zawsze problem kluczowy – finanse. Watykan był w stanie pokryć tylko niewielką część kosztów.

To robota na kilka lat, a życie toczy się na bieżąco. Pod rządami George'a Specola zaczęła się zmieniać z dnia na dzień. Drobne przemeblowania ułatwiające życie, zaprenumerowanie niezbędnych czasopism, uaktualnienie zasobów bibliotecznych. Zatrudnienie sekretarki, która przejęła na siebie biurokratyczne i niektóre organizacyjne zadania, jakimi przedtem po trosze wszyscy musieli się zajmować. Dopóki to wszystko działo się wewnątrz Specoli, nie było problemu, ale z chwilą gdy efekty działalności George'a wychodziły poza jej ramy, zaczynało iskrzyć. Pamiętam taki incydent. Kiedyś George kazał wyłożyć suk-

nem śliskie schody pomiędzy piętrami zajmowanymi przez Specolę. Tego już było za wiele. Administracja pałacu złożyła protest: przecież tu zawsze był goły kamień. George wiedział, kiedy ustąpić... Były ważniejsze sprawy.

Nowy teleskop

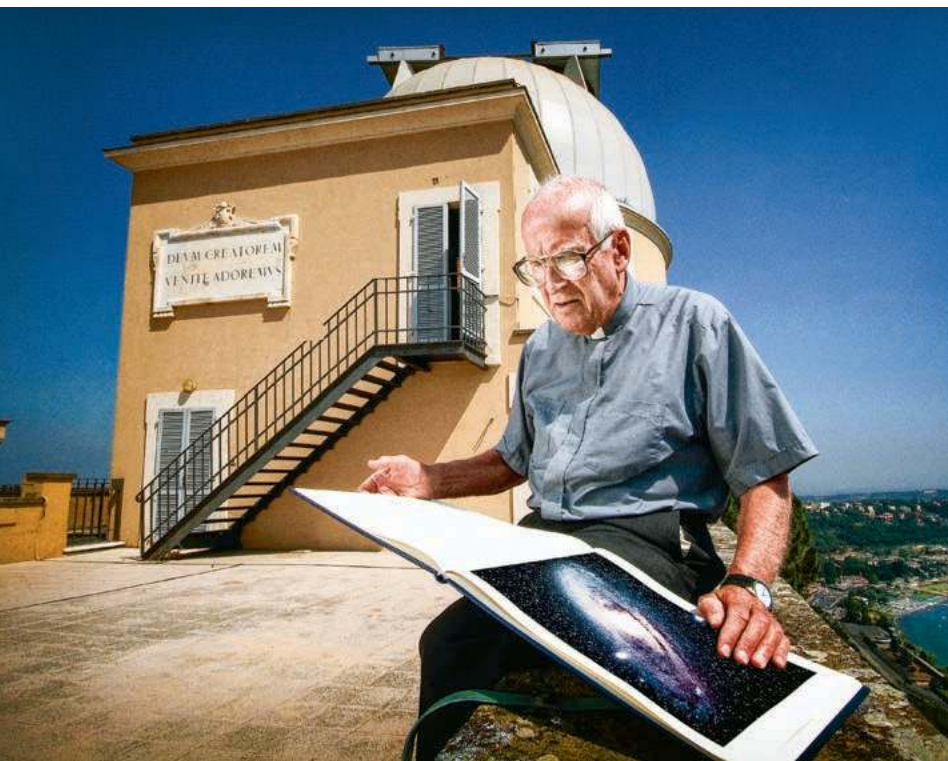
Głębsze zmiany stały się widoczne nieco później. Ale trzeba pamiętać, że w każdej reformie powierzchniowe i głębokie zmiany są zawsze sprzężone, a jeżeli nie są, to i jedno, i drugie są tylko pozorne. Wkrótce w Specoli zaczęli pojawiać się znani uczeni (nie tylko astronomowie) jako odwiedzający goście lub *visiting professors* na dłuższe pobyty. Papieski pałac i niezwykle otoczenie z jeziorem Albano stały się dodatkowym atutem. Z czasem letnie szkoły astronomiczne dla studentów z różnych stron świata (inicjatywa trwająca do dziś) przyniosły wręcz rozgłos Watykańskiemu Obserwatorium.

Proces budowania nowego teleskopu trwał kilka lat. Konstrukcja teleskopów zawsze była kosztowna i pracochłonna. Teleskop nowej generacji stanowił dodatkowe wyzwanie, gdyż był przedsięwzięciem pionierskim. Trzeba wyważyć koszty i możliwości technologiczne, dostosować je do celów naukowych, jakim mają służyć. Tak duża inwestycja musi być w pełni wykorzystana, a więc nowy instrument winien być zlokalizowany w miejscu gwarantującym dobre warunki obserwacyjne. Brano pod uwagę Wyspy Kanaryjskie, ale ostatecznie wybór padł na Mount Graham w Arizonie (3200 m n.p.m.). Zadecydował o tym fakt, że Obserwatorium Stewarda w Arizonie doskonale opanowało produkcję luster do teleskopów.

Teleskop rozpoczął pracę w 1993 r.

Sprawa Galileusza

Jak wiadomo, Janowi Pawłowi II sprawa relacji między nauką a religią leżała na sercu. W Watykanie sprawa ta nieodmiennie kojarzy się z aferą Galileusza. W 1979 r., z okazji setnej rocznicy urodzin Einsteina, papież wyraził życzenie, by powstała specjalna komisja, która zajęłaby się „sprawą Galileusza”. Wbrew medialnemu szumowi, nie miała to być rewizja procesu Galileusza, lecz stworzenie platformy do naukowych badań (historycznych, astronomicznych, prawnych), dotyczących wszystkich okoliczności sprawy. Oficjalnym przewodniczącym



NICOLA ALLEGRI

o. George Coyne

Komisji został kard. Paul Poupard, ale faktycznie jej pracami kierował George Coyne.

Wiadomo, jak działają komisje; zbierają się, dyskutują, piszą sprawozdania... Ta była inna. Przede wszystkim do współpracy zostali zaproszeni wybitni historycy i filozofowie nauki, i to niekoniecznie związani z Kościołem. Robocze seminaria w mniejszych i większych grupach w różnych miejscach na świecie. W Specoli coraz częściej można było spotkać jakiegoś uczonego wertującego stare dokumenty. Zaczęły się ukazywać kolejne publikacje. Wyjście poza ograniczony krąg autorów o apologetycznych skłonnościach sprawiło, że „sprawa Galileusza” stała się na nowo obecna w światowej społeczności historyków nauki. Nawet gdy w 1992 r. nastąpiło oficjalne zamknięcie i podsumowanie prac Komisji, wielu autorów, biorących dotychczas udział w jej pracach, nadal kontynuowało i publikowało swoje badania.

Nie dla uczczenia

W 1987 r. naukowy świat obchodził trzecieścieć rocznicę ukazania się „Principiów” Newtona – symboliczna data narodzin nowożytnej nauki. Jan Paweł II zwrócił się do George’a Coyne’a z życzeniem, by Obserwatorium Watykańskie w jakiś sposób zaznaczyło tę rocznicę. Ale

nie ma to być – wedle życzenia papieża – nic „dla uczczenia”, lecz coś, co byłoby trwałym wkładem do ułożenia poprawnych relacji między nauką a religią. Niełatwe zadanie. Jak zwykle w takich sytuacjach, najpierw odbyła się burza mózgów. George umiał słuchać innych i spośród różnych pomysłów wybierać najlepsze.

We wrześniu 1987 r. odbył się w Castel Gandolfo Tydzień Studyjny (*Study Week*). Dwudziestu jeden uczonych – fizyków, filozofów i teologów z różnych państw i kontynentów – dyskutowało na tematy związane z nauką i teologią. Było zupełnie inaczej niż podczas innych analogicznych spotkań, w jakich kiedykolwiek przedtem brałem udział. Uczestniczenie nie sprowadzało się do wygłaszania i słuchania referatów – dominował autentyczny dialog. Efektem spotkania stał się obszerny tom zatytułowany „Physics, Philosophy and Theology. A Common Quest for Understanding” (potem ten tom określało się skrótem Pi-Pi-Ti). Tytuł oddawał istotę rzeczy – staraliśmy się coś wspólnie zrozumieć. Innym, jeszcze bardziej istotnym skutkiem tego wydarzenia był słynny list Jana Pawła II „do czcigodnego George’a Coyne’a, dyrektora Watykańskiego Obserwatorium” – zdaniem wielu ekspertów najważniejszy dokument, jaki kiedykolwiek w sprawie

nauki został wydany przez Stolicę Apostolską.

Pod koniec Tygodnia Studyjnego padła propozycja, żeby tego typu spotkania kontynuować w najbliższych latach, ale żeby każde kolejne spotkanie podejmowało jakieś konkretne zagadnienie z zakresu „nauka a teologia” i żeby uczestnicy byli dobierani stosownie do tematyki (oprócz stałego wąskiego grona). Organizacją mieli się zająć George Coyne i Robert Russell, dyrektor The Center for Theology and the Natural Sciences w Berkeley.

I rzeczywiście, w latach 1991–2000 odbyło się pięć takich Tygodni, poświęconych kolejno: kosmologii kwantowej i prawom natury, chaosowi i złożoności, ewolucji i biologii molekularnej, neurobiologii i naukom o mózgu, fizyce kwantowej. Wszystko oczywiście w relacji do teologii. Spotkania odbywały się w Castel Gandolfo i w Berkeley oraz jedno w Pasierbcu koło Limanowej. Niektóre były poprzedzone „spotkaniami regionalnymi” o charakterze przygotowawczym, oddzielnie dla uczestników z Europy i innych kontynentów. Owocem spotkań jest pięć opasłych tomów. Teksty w nich zamieszczone jeszcze przed opublikowaniem krążyły wśród uczestników i każdy autor mógł uwzględnić głosy dyskutantów. Publikacje te odbiły się echem w świecie nauki. Pojawiły się recenzje w naukowych czasopismach (m.in. w „Nature”), które zwykle nie interesują się tego typu problematyką, a także książki inspirowane całym cyklem.

Mała, ale dobra

Pracując w Obserwatorium Watykańskim nie da się uniknąć tematyki „nauka a religia”. Samo miejsce zmusza do stawiania pytań z tej dziedziny. Ale nie można zapominać, że celem i głównym zadaniem Specoli jest uprawianie nauki, konkretnie – astronomii. Obserwatorium Watykańskie jest niewielką instytucją badawczą. *Piccola ma buona* – często się w niej powtarza. W astronomii – bardziej niż w wielu innych gałęziach nauki – badania organizuje się w skali międzynarodowej. Dzieje się tak dlatego, że coraz więcej programów badawczych opiera się na ogromnej ilości danych, które muszą być gromadzone przez wiele różnych, współpracujących ze sobą obserwatoriów. Nagromadzone dane obserwacyjne często wykraczają poza możliwości →

→ opracowania przez jedną instytucję. Nie bez znaczenia jest też czynnik kosztów, które niekiedy bywają trudne do udźwignięcia nawet przez pojedyncze państwo.

Obserwatorium Watykańskie dawniej też współpracowało z innymi ośrodkami, ale większość obserwacji wykonywano tu, na miejscu. Z nostalgią wspomina się czasy, kiedy to wielkie teleskopy, umieszczone na dachu papieskiego pałacu, wpatrywały się w nocne niebo (teraz służą już tylko do demonstracji dla szkolnych wycieczek). Czasy się zmieniają, ale fakt pozostaje faktem – to pod rządami George’a Specola Vaticana stała się częścią organizmu światowej astronomii.

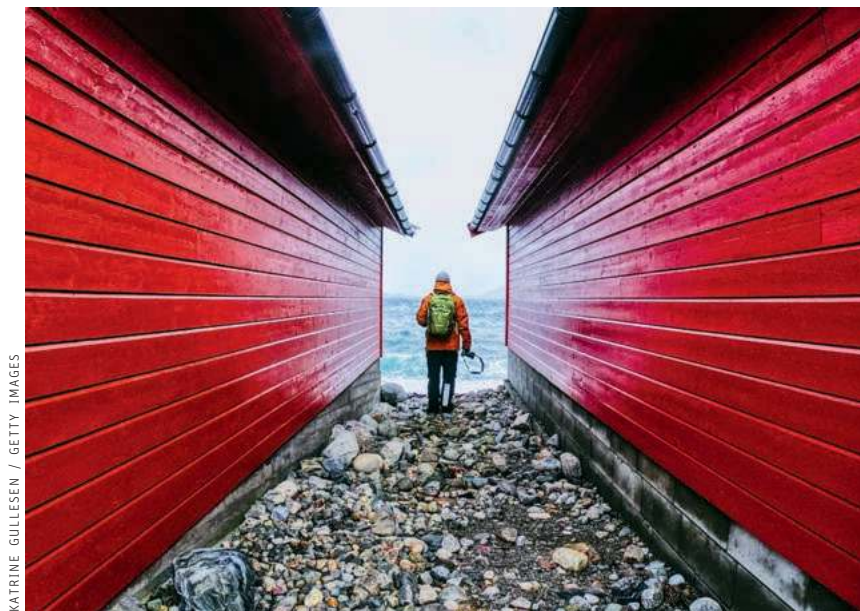
Pożegnanie

Guy Consolmagno, obecny dyrektor Obserwatorium Watykańskiego, z okazji śmierci swego poprzednika powiedział, że George działał „jako zaporę ognia między nami a dziwnymi działaniami (*vagaries*) Watykanu”, dzięki czemu „zapewniał nam przestrzeń, w której mogliśmy swobodnie uprawiać naukę” (wypowiedź dla „Catholic News Service”). Specola jest małą instytucją naukową, ale równocześnie częścią wielkiej struktury administracyjnej Watykanu. Inna jest mentalność i inne cele działania prałata-urzędnika kurialnego, a inna mentalność i sposób działania naukowca zaangażowanego w pracę naukową. George Coyne potrafił poruszać się pomiędzy tymi odmiennymi światami. Miał w urzędach watykańskich wielu przyjaciół. George’a trudno było nie lubić, ale z drugiej strony jest również rzeczą zrozumiałą, że są ludzie, którzy swoje sympatie określają tylko zgodnością ich poglądów ze swoimi. George’owi na pewno sprzyjał fakt, że Jan Paweł II był żywo zainteresowany dialogiem nauka–wiera i cenił go osobiście.

Rok po śmierci papieża George Coyne przeszedł na emeryturę i powrócił do swojej zakonnej prowincji w Stanach Zjednoczonych. Zmarł 11 lutego przegrywając walkę z rakiem. Miał 87 lat.

Papież Franciszek przeprowadziłby wszystkie swoje reformy, gdyby znalazł pięciu George’ów Coyne’ów i mianował ich kardynałami.

© MICHAŁ HELLER



KATRINE GULLESEN / GETTY IMAGES

Katolik na psychologicznych skalach

JACEK PRUSAK SJ

By móc pogłębiać wiarę, warto zdać sobie sprawę, na ile jest ona kształtowana przez naszą konstrukcję psychiczną i genetyczne ograniczenia.

WIEKSZOŚĆ OSÓB UWAŻAJĄCYCH SIĘ za religijne zgodziłaby się z tezą, że istnieje niewidzialny porządek i że dobro wynika z życia zgodnie z nim. Ich religijność z jednej strony wynika z poczucia transcendencji („istnieje coś więcej”), z drugiej – z przynależności do tradycji, nadawania światu sensu poprzez określone rytuały, będące tej tradycji wyrazem – oraz moralności.

Zgadzam się z filozofem Timem Crane’em, który twierdzi, że „impuls religijny stanowi sedno religii jako zjawiska, a religijny temperament – atrybut psychiczny – występuje u wierzących w różnym stopniu” („Sens wiary. Religia z punktu widzenia ateisty”). Osoby religijne charakteryzuje więc skłonność do postrzegania świata jako przepelnionego sensem. Nie jest to tylko przekonanie, ale coś bardziej złożonego, związanego z nadzieją lub aspiracją i emocjonalnym zjednoczeniem z owym niewi-

dzialnym porządkiem, który reprezentuje w teizmie Bóg.

Nie oznacza to jednak, że wszyscy ludzie religijni będą głęboko wierzący. Z badań psychologicznych wiemy, że w każdej religii istnieje niemała grupa osób, dla których jest ona tylko środkiem do celu. Traktują ją jako coś użytecznego, co zaspokaja potrzebę pocieszenia i zbawienia, dając też możliwość podtrzymania więzi społecznych. Dla osób o takiej motywacji ważne są przede wszystkim zinstytucjonalizowane i towarzyskie aspekty religii. W psychologicznej typologii ludzi religijnych określa się ich mianem osób o zewnętrznej motywacji (*extrinsic*). W języku potocznym powiedzielibyśmy, że to katolicy „niedzielni”, „letni” albo „kulturowi”.

Są jednak osoby, które wiarę odczuwają jako wewnętrzną potrzebę, a za motto przyjmują słowa św. Augustyna: „Jeśli Bóg jest na pierwszym miejscu,

wszystko inne jest na swoim miejscu”. W centrum ich religijności znajdują się więc nie tyle korzyści osobiste, ile wartości religijne i dawanie im wyrazu we wszystkich możliwych sytuacjach, nawet wtedy, kiedy z tego powodu trzeba ponieść konsekwencje. To o nich mówimy, że są „głęboko wierzący”. W psychologicznej typologii określa się ich mianem osób o wewnętrznej motywacji (*intrinsic*).

Fundamentalіści i święci

Pierwsze doniesienia z badań psychologicznych społecznych Gordona W. Allporta i Michaela Rossa dawały nadzieję, że ten podział ludzi religijnych jest wyczerpujący. Skłonni do uprzedzeń wobec obcych, dogmatyczni, ufający autorytetom i etnocentryczni są przede wszystkim ci, których religijność jest motywowana zewnątrz. Osoby o wewnętrznej motywacji religijnej cechują się większą otwartością, tolerancyjnością i gotowością do niesienia pomocy.

Niestety inne badania zachwiały tym prostym podziałem, okazało się bowiem, że korelacje przybierały przeciwny kierunek: wierzący „wewnętrznie” bywali wysoce podatni na wpływ autorytetów, gotowi im się podporządkować czy też kierować się uprzedzeniami. W niektórych badaniach z kolei najwięcej wspólnych cech występowało akurat w grupach ekstremalnie różnych: „u niewierzących” i „wysoce religijnych”. Obie zaś wyraźnie się odróżniały od wielkiej masy mniej wierzących, a więc tych o „zewewnętrznej motywacji” – dotyczyło to zwłaszcza tolerancyjności i uprzedzeń wobec inaczej myślących. Na przykład uczestniczący we mszy tylko raz lub dwa razy w miesiącu żywili wiele uprzedzeń. Natomiast osoby, które w tym samym przedziale czasu były w kościele częściej niż osiem do dziesięciu razy (a także osoby niewierzące z grupy porównawczej) okazały się otwarte i odporne na uprzedzenia. Natomiast osoby uznane za „wysoce religijne”, czyli te biorące udział we mszy jedenaście razy lub częściej, poddawały się uprzedzeniom w najmniejszym stopniu.

Dzięki tym badaniom psychologom udało się zaobserwować istnienie zależności krzywoliniowej: początkowo wraz z religijnością rośnie skłonność do ulegania uprzedzeniom, później tendencja ta się odwraca, bowiem ta skłonność maleje u osób „wysoce religijnych”. Badania pokazują jednak, że zależności krzywo-

liniowe nie występują w każdym przypadku. Niektóre korelacje są jak najbardziej linearne, co oznacza, że im bardziej osoby biorące udział w badaniu są pobożne (lub religijne), tym wyraźniej ukazuje się określona ich właściwość. Dotyczy to zwłaszcza tych cech charakteru, które psycholodzy określają zbiorczym terminem „osobowości autorytarne”. Bardzo często należą do nich osoby „ortodoksyjnie religijne” – a więc takie, które przyjmują określony i z reguły zamknięty system wiary, i bezwzględnie potępiają wszelkie od niego odstępstwa. Wiemy jednak, że wśród ludzi wierzących pojawiają się także inne postawy radykalne, takie wzorce jak Matka Teresa czy Martin Luther King.

Poszukujący

Na podstawie eksperymentu „Dobrego Samarytanina” amerykański psycholog i teolog Daniel Batson zaproponował trzecią kategorię ludzi religijnych, których motywację określił jako „poszukującą” (*quest*). Według niego religijność takich osób nie jest w pierwszym rzędzie ukształtowana przez odniesienie do treści wiary (dogmatów) lub obiektów religijnych (Boga), czy instytucji/wspólnoty (Kościoła), lecz przez ich stosunek do konfliktów, „które stawiają pod znakiem zapytania sedno ich własnej egzystencji”.

Sześciopunktowa skala *quest*, którą stworzył, zawiera m.in. takie stwierdzenia: „Bóg był dla mnie bardzo ważny aż do chwili, kiedy zacząłem zastanawiać się nad sensem mojego życia”; „Można powiedzieć, że podchodzę z szacunkiem do moich wątpliwości i niepewności religijnych”; „Dla mojego doświadczenia religijnego pytania są ważniejsze od odpowiedzi”; „Istnieje wiele tematów religijnych, co do których nadal zmieniam zapatrywania”.

Zdaniem Batsona osoby identyfikujące się z motywacją „poszukującą”, a więc uzyskujące na tej skali wysokie wyniki, zamiast do dogmatyzmu i postawy ortodoksyjnej, skłaniają się raczej ku samokrytycznej analizie i nieustannym wątpliwościom w sprawie odpowiedzi ostatecznych, a ich religijność jest w dużym stopniu – albo nawet całkowicie – niezależna od przekazywanych przez tradycję dogmatów wiary oraz specyfiki wyznaniowej. Wielu z nich określa siebie jako „wierzących, ale niepraktykujących” albo „uduchowionych, ale niereligijnych”.

Jak widać, skala *quest* tworzy wyraźny przeciwstawny biegun wobec ortodoksyjnej postawy religijnej. Badania zaś pokazują, że osoby, które silnie się identyfikują z typem „poszukującym”, z reguły okazują się bardziej tolerancyjne w kwestiach społecznych i politycznych; są mniej skłonne niż inni wierzący poddać się dominacji autorytetów, odrzucając różne formy dyskryminacji. W mniejszym również stopniu uzależniają swoją gotowość do pomagania innym od uznania społecznego i lepiej dostosowują ją do rzeczywistych potrzeb osób cierpiących.

Dla Batsona ten typ religijności jest sednem chrześcijaństwa i wzorcem prawdziwej religii. Można zapytać, czy w takim razie dysponujemy psychologicznym modelem wzorowego katolika, i czy mógłby nim być „katolik sokratejski” opisany przez Piotra Sikorę w tekście „Trucizna i antidotum” („TP” nr 7)? Obaj przedstawili jego sylwetkę w zbliżony sposób: to osoba, która wyrobiła w sobie wolne od dogmatyzmu przekonania, dążyła do stałości wiary obywatelskiej się bez jakichkolwiek uprzedzeń oraz żyła w religijnej pokorze wobec Tajemnicy – bez poddawania się słabości w postaci podporządkowywania się autorytetom.

Czy istnieje katolik sokratejski

Z teologicznego punktu widzenia albo ma się łaskę (dar) wiary, albo nie. Tego nie można wybrać, bo wiary nie można stworzyć siłą woli. Prawie wszystkie religie zawierają element poszukiwania, na który tak dużą wagę kładą Batson i Sikora, ale – jak pokazują badania psychologów – on sam nie jest wystarczający do odnalezienia głębokiej wiary. Ponadto pewność co do własnej wiary oddziałuje często silniej niż wiara sama w sobie.

Aby osiągnąć „głęboką wiarę”, w pewnym momencie trzeba przezwyciężyć wątpliwości. Jest to konieczny warunek, aby móc poczuć siłę wiary oraz przekonać się do niej. Badania pokazują, że osoby, które nieustannie wszystko podają w wątpliwość i samokrytycznie odnoszą się do tego, w co już wierzą, nie osiągają tego stadium. Owszem, są tolerancyjne, mają intelektualnie pogłębioną treść wiary, ale nie mają „spokoju ducha”, jaki odczuwa głęboko wierzący człowiek o wewnętrznej motywacji religijnej.

Ów paradoks wiary ukazują również badania nad konwertytami. Każde wyznanie, bez względu na to, jak dobrze →

⇒ człowiek by je sprawdzał i uzasadniał intelektualnie, wymaga, by poddać mu się w sposób absolutny, nie mając żadnej co do niego pewności – inaczej nie byłaby to wiara. Jeśli się pojawi poczucie bezpieczeństwa, mogące być „nagrodą” za taki akt zaufania niewidzialnemu porządkowi – to nie pochodzi ono z głowy, tylko z serca. Nie oznacza to „zawieszenia rozumu”, tylko dopuszczenia do głosu głębszej warstwy naszej świadomości, nad którą mamy tylko ograniczoną kontrolę. Nie wszystkie sposoby poznawczego pojmowania świata są bowiem przekonania.

Ponieważ poszukiwanie sensu różni się zasadniczo od poszukiwania wiedzy naukowej, religijny sposób objaśniania świata podąża logiką św. Anzelma: *credo ut intelligam* – wierzę, żeby zrozumieć. A więc: „X się wydarzyło. Zaakceptuj to. Spróbuj zrozumieć”. Jak podkreśla Crane, hipotezy nie są bowiem sednem wiary religijnej, jest nim natomiast dążenie do nadania światu sensu. Postulat Sikory, aby w religii „porzucać aktualne przekonania i formuły dogmatyczne, a poszukiwać więcej i głębiej” mówi jednak więcej o osobowościowych inklinacjach preferowania typu religijności poszukującej niż o „logice” samej wiary.

Poza tym, badania nad skutkami oddziaływania różnego rodzaju nabożeństw pokazały, że najlepiej w ocenie wiernych wypadały te odwołujące się do intensywnych uczuć oraz nastrojowej muzyki. Najgorzej natomiast te, w centrum których stawiano abstrakcyjne rozważania nad kwestiami moralnymi lub naturą uniwersum – a więc typowe przejawy religijności poszukującej. Uogólniając, można powiedzieć, że osoby „wewnętrznie religijne” preferują duchowość katefaticzną (opartą na słowach i obrazach), natomiast osoby poszukujące – duchowość apofaticzną (wskazującą na ograniczoność ludzkich pojęć w odniesieniu do Boga).

„Sokratejski katolik” musiałby więc w sobie połączyć w jedno wątpliwości oraz poszukiwania z pewnością wiary, które współgrałyby dodatkowo z poczuciem przynależności do Kościoła. Mówiąc inaczej, jego istnienie byłoby możliwe pod warunkiem połączenia w spójną całość tego, co najlepsze w religijności motywowanej wewnętrznie z religijnością poszukującą. Wygląda jednak na to, że jest to dążenie do ideału, a nie rzeczywistość – pomijając w chrześcijaństwie Jezusa, i być

Większość osób
chodzących do kościoła
utożsamia wiarę w Boga
z moralną triadą wartości:

**autorytaryzm,
konserwatyzm i religijność.**

może niektórych świętych (niekoniecznie kanonizowanych). Nie tylko bowiem paradoks wiary nie pozwala na takie bezproblemowe „zaślubiny” pewności z poszukiwaniami, ale do głosu dochodzi również złożoność naszej psychiki – mówiąc w skrócie: geny i osobowość.

Kościelne geny

Z badań wiemy, że w przypadku religijności współczynnik odziedziczalności jest dość wysoki, bo wynosi 0,4-0,5, co oznacza, że za ponad 40 proc. zmienności stopnia religijności w danym społeczeństwie odpowiadają czynniki genetyczne.

Pamiętając, że ów współczynnik nie dotyczy jednostki, lecz populacji, i że może być nie tylko różny w poszczególnych społeczeństwach, ale również może się zmienić w czasie, wygląda na to, że cechą osobowości najsilniej genetycznie skorelowaną z religijnością jest konserwatyzm. Jako cecha osobowości wyraża się on poprzez „moralną triadę wartości”: autorytaryzm, konserwatyzm i religijność. A więc osoby, które mają tendencję do podporządkowania się pewnym regułom społecznym znanym od dawna (konserwatyzm), które mają silną potrzebę słuchania autorytetów oraz wiarę w hierarchię (autorytaryzm), najczęściej będą wierzyły w Boga, bowiem u nich religijność jest najwyższym poziomem kontroli. Ich religijność z definicji będzie zinstytucjonalizowana, bo dla nich wierzenie jest równocześnie formą przynależności. „Sokratejski model” religijności jest im obcy, niezrozumiały.

Czy nam się to podoba, czy nie, większość osób chodzących do kościoła, jak i samych duchownych wiarę w Boga utożsamia z tymi trzema moralnymi wartościami. Te wspólnoty, które są dzisiaj prężne, przyciągają właśnie takich wyznawców. Większość fundamentalistów religijnych, jak i osób „ponownie narodzonych” nosi w sobie takie geny.

Niewykluczone jednak, że „sokratejscy katolicy”, należący do mniejszości kościelnej, mają swój własny genetyczny odciś. W religijności, jeśli się z nią identyfikują, główny akcent kładą na duchowość, która jest często dla nich wiarą poszukiującą. Badania pokazują, że za zainteresowaniami duchowością może stać taka cecha osobowości jak absorbcja, a więc tendencja do zajmowania się, mówiąc najogólniej, „życiem wewnętrznym”. Przejawia się ona poszukiwaniem doświadczeń anomalnych, zainteresowaniem mistycyzmem oraz indywidualnymi drogami do Absolutu. Takie osoby nie czują się dobrze w strukturach i określonych z góry rytuałach. Wolą kontakt z naturą niż chodzenie do kościoła, a jeśli do niego przychodzą, wolą ciszę niż wspólne modlitwy. Ich religijność może być nastawiona silniej albo słabiej na przeżycia bądź dociekania – ale to jest ich „dopamina” i pożywka ich wiary. Upraszczając, można jednak powiedzieć, że nie noszą w sobie „geny konserwatyzmu” albo on u nich nie dominuje, stąd ich religijna wrażliwość z definicji będzie odmienna.

Zamiast manifestu

Z badań psychologicznych wynika, że religijności nie można pojmować jako jednolitej cechy osobowości, lecz jako zmienną złożoną. Nie można więc postrzegać jednolicie wszystkich wyznawców tej samej religii. Żaden system religijny nie może sobie rościć prawa do bycia całkowicie wolnym od ciemnych stron dogmatyzmu, nietolerancji i autorytaryzmu. Kościół jest wspólnotą, a nie sektą czy partią, i z definicji odzwierciedla ową różnorodność „religijnych genów i osobowości”.

Wiara to ścieżka równowagi między przeciwnościami, a nie sprzecznościami w wierze. Owe przeciwności wynikają z różnych „wrażliwości” i będą prowadziły do napięć. Dwie tradycje duchowości, katefaticzna i apofaticzna, nie mogą przybierać form wyznaniowych w Kościele. Drogą do Boga jest ta, po której On nas prowadzi. Wtedy Bóg pozostanie „podstawą naszego ostatecznego bezpieczeństwa”, a nasza wiara będzie mogła dojrzewać, i będzie to wiara przeżywana w Kościele.

Aby to wszystko się udało, nie można z własnej osobowości uczynić kryterium wiary i jej ortodoksyjności, bo nie istnieje „psychologiczny święty”.

© JACEK PRUSAK SJ



ADAM LACH / NAPO IMAGES

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Kiedy Jezusa nie widać z powodu tłumu

CZASEM ZWYKŁY JEZUS NAM NIE WYSTARCZA – lepszy (albo bardziej potrzebny) wydaje się Jezus na Stadionie Narodowym. No i mamy rekordową liczbę uczestników! Nie wystarczy pokuta zwykła – musi być zaraz Wielka Pokuta. Różaniec też musi być aż do granic, żeby można było mówić, że cała Polska się modli. I pomnik Pana Jezusa najlepiej, żeby był najwyższy. I droga krzyżowa ekstremalna.

Pokusa wielkich liczb. Chodzi tu o nastawienie polskiego duszpasterstwa wciąż zbyt na zbiorowość – żeby można było pochwalić się tłumami w kościele. W tym zatroskaniu o ilość może gubić się jakość i człowiek z jego problemami. Nieco inne oblicze tej pokusy to akcyjność – koncentracja na działaniu i organizowaniu. Pobożne zabieganie na wzór ewangelicznej Marty, w którym gubi się to, że „jednego potrzeba”.

Rzecz jasna nic złego nie ma w wielkich liczbach jako takich, w masowości, w akcjach, w organizowaniu. Atrakcyjność pokusy wielkich liczb bierze się zresztą właśnie z – cennego doświadczenia, że wiara wspólnoty niesie wiarę osobistą, bo nikt nie jest samotną wyspą, a do Boga mówimy przecież „Ojcze nasz”, nie „Ojcze mój”. Że gdy samemu jest ciężko, to dobrze móc zobaczyć, iż siostr i braci w wierze jest więcej, nawet dużo, nawet bardzo dużo – a wtedy własne kłopoty jakoś

maleją. Że w historii naszego Kościoła masowość polskiego katolicyzmu okazywała się elementem bardzo przydatnym, niekiedy wręcz ocalającym.

Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy wielkie liczby stają się podstawowym kryterium duszpasterskim. Pokusie wielkich liczb ulegamy, gdy zaczynamy w duszpasterstwie robić coś po to, żeby było nas dużo. Gdy najbardziej zaczyna się liczyć efekt skali, a nie tworzenie przestrzeni dla Ducha. Gdy celem staje się wymierny, obliczalny sukces duszpasterski, a nie człowiek.

Jan Paweł II uczył, że „człowiek jest drogą Kościoła”. Człowiek w liczbie pojedynczej – a nie zbiorowość. Bo w tłumie człowiek może się zgubić. Może być tak jak z Zacheuszem, zwierzchnikiem celników w Jerychu. Ewangelista Łukasz pisze o nim, że nie mógł ujrzyć Jezusa „z powodu tłumu”, jaki Go otaczał. Ale Jezus wypatrzył go siedzącego na sykomorze i odezwał się do niego osobiście, po imieniu: „Zacheuszu, zejść”, „dziś muszę zatrzymać się w twoim domu” (Łk 19, 1-10).

Historia Zacheusza przypomina, że wiara to przede wszystkim osobista relacja z Bogiem, a duszpasterstwo to wypatrywanie człowieka w tłumie. Gdy Jezus mówi: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy” – chodzi nie o wielu, lecz o każdego. Zaraz potem pojawiają się inni wierzący – ale jako wspólnota, a nie tłum.

A może pokusie wielkich liczb ulegamy wówczas, gdy porzucamy troskę o wspólnotę na rzecz zabiegów o tłumy? Może czasem w naszych kościołach za dużo jest właśnie tłumu, a za mało wspólnoty? Religijny tłum naprawdę może przesłaniać Jezusa. Wtedy wszystko niby jest w porządku: są celebracje, obrzędy, sakramenty, ale Jego nie widać.

Wspólnotowe doświadczenie religijne nie musi być przeciwne doświadczeniu osobistemu. Także udział w wielkim modlącym się tłumie może stać się okazją do osobistego nawrócenia. Dlatego masowe wydarzenia modlitewne winny być świadomie tak planowane, żeby stworzyć przestrzeń dla wymiaru osobistego, żeby nie przytłoczyć jednostki przez tłum. Również nowa ewangelizacja nie powinna być przyciąganiem wielkich mas, lecz zapraszaniem osób do wejścia w intymną relację z Bogiem.

Powie ktoś, że to, co piszę, to pięknoduchostwo intelektualisty. Bo przecież liczby robią wrażenie, oddziałują... Tylko że ja wrażliwości na pokusę wielkich liczb nauczyłem się nie z książek, lecz we wspólnotach skupionych wokół osób z niepełnosprawnością intelektualną. Tam natychmiast okazuje się, że najważniejszy jest konkretny człowiek, a nie tłumy; że troszczyć się trzeba przede wszystkim o jakość relacji, wyrażającą się w drobniaczkach; że Bóg zasadniczo przychodzi w łagodnym powiewie, a tylko czasem w gwałtownej wichurze i w trzęsieniu ziemi. ©

POKUSA WIELKICH LICZB

Nic złego w masowości. Problem pojawia się wtedy, gdy wielkie liczby stają się podstawowym kryterium duszpasterskim.

POWYŻEJ:
Budowa pomnika Jezusa w Świebodzinie, listopad 2010 r.



SUPERWYŚCIG

Cztery lata temu partyjny establishment Republikanów panicznie reagował na perspektywę nominacji Trumpa. Władze Demokratów równie histerycznie reagują na Berniego Sandersa. Czy na pewno wyciągnęły wnioski z tamtej lekcji?

PIOTR TARCZYŃSKI

JEDNO TRZEBA PRYZNAĆ: TEN SEZON WYBORczy nie jest nudny, obfituje w zaskakujące zwroty akcji, zwycięzcy jednego dnia następnego okazują się przegrany, a ci, na których już postawiono krzyżyk, nagle wracają na czele stawki. Superwtorek, czyli kumula-

cja 14 prawyborów i konwentykli, wrócił wszystko do góry nogami. Jeszcze w ostatniej debacie, dwa tygodnie temu, brało udział siedmioro kandydatów – dziś jest to już pojedynek między byłym wiceprezydentem Joem Bidenem a senatorem Berniem Sander-

sem. Najbardziej zróżnicowana w historii plejada kandydatów – o demokratyczną nominację ubiegały się kobiety, Afroamerykanie, Latynosi i geje – skończyła się dwoma starzami, białymi mężczyznami, którzy ostatnie trzy dekady spędzili w Waszyngtonie.

*Kandydat na kandydata Demokratów
Bernie Sanders wraz z żoną Jane O'Mearą
Sanders na wiecu wyborczym. 3 marca 2020 r.*



MATT ROURKE / AP / EAST NEWS

Różnią się jednak od siebie zasadniczo, reprezentują bowiem dwa wojujące ze sobą skrzydła Partii Demokratycznej: centrowe, chcące powrotu do *status quo ante Trumpum*, czyli starych dobrych czasów Baracka Obamy; oraz progresywne, domagające się zasadniczej korekty paradygmatu gospodarczego, na czele z wprowadzeniem tzw. Medicare dla wszystkich, powszechnej opieki zdrowotnej. Sanders, który po pierwszych prawyborach – w Iowa, New Hampshire i Nevadzie – szedł do przodu jak burza, był zdecydowanym faworytem superwtorku, bo głosy centryistów rozproszone były między czwórkę kandydatów.

„Burmistrz Pete” Buttigieg i senatorka Amy Klobuchar świetnie wypadli w stanach północnych, ale już w stanach bardziej zróżnicowanych etnicznie czarni i latynoscy wyborcy pokazali im czerwoną

kartkę. Z kolei kampania Bidena, po rozczarowujących wynikach w pierwszych stanach, goniła już resztkami sił i komentatorzy zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób szacowny nestor partii mógłby bez większego uszczerbku na honorze wycofać się z prezydenckiego wyścigu. Tymczasem Afroamerykanie z Karoliny Południowej dali Bidenowi tak zdecydowane zwycięstwo, że odmieniło ono cały wyścig.

Na łonie partii

Nie jest żadną tajemnicą, że szefostwo Partii Demokratycznej, choć oficjalnie neutralne, nie pała miłością do Sandersa. Jeszcze na kilka dni przed superwtorkiem sytuacja przypominała tę, z jaką w 2016 r. mierzyły się władze Partii Republikańskiej: po zwycięstwo szedł kandydat antyestablishmentowy, szermujący hasłami rewolucji, a pozostali pretendenci – choć łącznie dysponujący większym poparciem wyborców – nie byli w stanie się przeciw niemu zjednoczyć.

Dziś, patrząc na służalczość Republikańców wobec Trumpa, trudno w to może uwierzyć, ale cztery lata temu partyjny *establishment* reagował panicznie na perspektywę Donalda Trumpa w roli nominata i robił, co mógł, żeby obecny prezydent nie zdobył nominacji – na próżno. Władze Demokratów równie histerycznie reagują na Sandersa, więc jeszcze przed superwtorkiem namówiły do złożenia broni Buttigiega i Klobuchar, którzy – choć palają do siebie szczerą nienawiścią – zgodnie poparli Bidena. Szanse na zablokowanie Sandersowi drogi do nominacji znacznie wzrosły, ale czy na pewno z tamtej republikańskiej lekcji wyciągnięto właściwe wnioski? W końcu cztery lata temu, ku zaskoczeniu prawie wszystkich, wybory prezydenckie wygrał właśnie ten antyestablishmentowy rewolucjonista, którego nominacji nie udało się zapobiec.

Wzmocniony spektakularnym sukcesem w Karolinie Południowej i wsparciem przez wczorajszych rywali, Biden wygrał z Sandersem w dziesięciu stanach, w tym w kilku zdecydowanie: w Wirginii o 30 procent, w Alabamie prawie o 40.

Co więcej: zdobył nie tylko południe, lecz także Minnesotę (stan Amy Klobuchar) i Massachusetts, w którym to stanie nawet nie prowadził kampanii. Podczas gdy centryści błyskawicznie zjednoczyli się wokół byłego wiceprezydenta, głosy progresistów podzieliły się między Sandersa i Elizabeth Warren, choć – jak się wydaje – senatorka z Massachusetts w sumie odebrała Sandersowi mniej głosów niż Bloomberg Bidenowi. Ostatecznie Sanders wygrał w Kolorado, Utah, swoim rodzinnym Vermont, a przede wszystkim w największym stanie, Kalifornii.

Na aucie

Warren, której znakiem rozpoznawczym był „plan” na każdy możliwy problem, jeszcze jesienią prowadziła w sondażach, ale jako liderka musiała bronić się z obu stron – centryści atakowali ją jako zbyt radykalną, zwolennicy Sandersa jako nie dość lewicową. Popęniała więc błędy i zaczęła powoli, lecz nieubłaganie tracić poparcie. Lekkie przesunięcie do centrum i próba przedstawienia się jako kandydatki partyjnej jedności, mogącej pogodzić zwaśnione skrzydła, nie zdały się na nic – Warren nie zdołała odwrócić niekorzystnego dla siebie trendu. Nie wygrała w żadnym stanie, w żadnym nie była nawet druga, a w swoim własnym Massachusetts zajęła dopiero upokarzające trzecie miejsce.

Jej niewątpliwym sukcesem było jednak zatopienie kandydatury Michaela Bloomberg, eksburmistrza Nowego Jorku, który wkroczył do gry ledwie sto dni wcześniej, w nadziei, że zastąpi słabującego Bidena w roli kandydata obozu antysandersowskiego. W przeciwieństwie do wszystkich pozostałych kandydatów Bloomberg – dziewiąty najbogatszy człowiek na świecie – nie musiał zbierać środków na kampanię: finansował się sam i wydawał, ile tylko dusza zapagnie. Przez jakiś czas rośł w siłę, osiągając nawet trzecią pozycję w sondażach, dopóki nie trafiła na Elizabeth Warren.

Senatorka, startująca pod hasłem walki z korupcją i wpływem oligarchów na politykę, w dwóch debatach zmasakrowała miliardera, bezwzględnie, ale zarazem merytorycznie wypominając mu dawne winy – seksizm, rasizm, wspieranie Republikańców itd. Okazało się, że nawet nieograniczone możliwości finansowe nie pomagają na brak charyzmy i liczne →

→ trupy w szafie. Zainwestowawszy w kampanię ponad 600 milionów dolarów (najwięcej w historii), Bloomberg skończył z 60 delegatami (czyli – jak łatwo policzyć – każdy kosztował go jakieś 10 milionów) oraz osobliwą nagrodą pocieszenia w postaci wygranego konwentu na Samoa.

Dzień po superwtorku Bloomberg zrezygnował z wyścigu i poparł Bidena. Następnego dnia swoją kampanię zawiesiła Warren, choć (stan na 6 marca) nie ogłosiła jeszcze, któremu kandydatowi udzieli wsparcia. Ideologicznie bliżej jej do Sandersa – łączy ich choćby wsparcie dla powszechnej opieki zdrowotnej, podwyższenia podatków dla najbogatszych, wzmocnienia związków zawodowych czy likwidacji długów studenckich. Jeśli jednak dojdzie do wniosku, że Sanders, nawet mimo jej wsparcia, nie ma szans na nominację (albo prezydenturę), to może uznać, że bardziej opłaca się jej poprzeć Bidena – w zamian za solidną lewicową korektę w jego programie wyborczym.

Co wygra: idealizm czy pragmatyzm? Nie zapominajmy też, że kandydat, który rezygnuje, może wprowadzić zasugerować swoim zwolennikom, kogo poprzeć, ale oni i tak zrobią to, co sami postanowią.

Nadzieje Berniego

Część zwolenników Berniego Sandersa lubi przedstawiać wyścig wyborczy w manichejski sposób: Sandersa mają wspierać „ludzie”, a Bidena „establishment”. To oczywiście prawda, że media (nawet wrogie Trumpowi, jak stacja telewizyjna MSNBC) nie przepadają za lewicą; można się też domyślać, że Nancy Pelosi wolałaby prezydenta Bidena niż prezydenta Sandersa, ale tak jak pieniądze to nie wszystko (o czym boleśnie przekonał się Bloomberg), tak i wsparcie partyjne nie da wygranej temu, na kogo ludzie nie chcą głosować.

Sanders szedł do prawyborów przekonując, że kluczem do zwycięstwa (i w prawyborach, i w listopadzie) będzie zwiększenie frekwencji: zmobilizowanie elektoratu, także takiego, który wcześniej nie głosował, na czele z młodymi, wśród których cieszy się rekordowym poparciem (60 proc. wśród Amerykanów poniżej trzydziestki). To miała być jego broń, która zapewni mu nominację, a potem prezydenturę. Tyle że w porównaniu z prawyborami cztery lata temu – kiedy walczył zażarcie z Hillary Clinton – frekwencja rzeczywiście zauważalnie

Zwolennicy Sandersa chcą widzieć jego rywalizację z Bidenem w kategoriach manichejskich:

**Sandersa
popierają „ludzie”.
Bidena – „establishment”.**

wzrosła, ale nie tak, jak się tego spodziewał. Zdobył mniej głosów niż cztery lata temu, zarówno procentowo, jak i w liczbach bezwzględnych. Młodzi, na których liczył, zawiedli i zostali w domu – dwie trzecie głosujących w prawyborach miało więcej niż 45 lat, a ci w przeważającej większości poparli Bidena.

Zwycięstwo dali wiceprezydentowi nie tylko starsi wyborcy – głosowały na niego też kobiety, Afroamerykanie oraz mieszkańcy przedmieść, czyli te grupy demograficzne, dzięki którym dwa lata temu Demokraci zdołali odbić Republikanom Izbę Reprezentantów. Centryści od dawna powtarzają, że to właśnie tu leży klucz do pokonania Donalda Trumpa, i superwtorkowy sukces Bidena z pewnością doda siły temu argumentowi. Nie znaczy to, że strategia Sandersa jest nie-realna – po prostu na razie się nie sprawdziła, ale w tak nieprzewidywalnym roku wyborczym wszystko jest jeszcze możliwe.

Bezpieczny Joe?

Antysandersowscy Demokraci skupili się wokół byłego wiceprezydenta trochę w akcie desperacji. Centryści długo szukali dla niego alternatywy – najpierw olśnił ich intelekt Buttigiega, potem zafascynowały pieniądze Bloomburga, tymczasem „wujek Joe” czekał, aż zrozumieją, że nie bez powodu utrzymuje się na szczycie sondaży. Spośród wszystkich kandydatów wydaje się bowiem najbezpieczniejszym wyborem – może i nie budzi wielkiego entuzjazmu, może i nie jest mistrzem słowa, strzela gafy jedną za drugą, ale jest doświadczony, solidny, kojarzy się ze starymi, dobrymi czasami Demokracji w Białym Domu.

Sęk w tym, że takim „bezpiecznym wyborem” była też Hillary Clinton, a wiemy, jak to się skończyło. Biden przypomina Clinton także pod innym

względem – wieloletnie doświadczenie oznacza również spory bagaż: nie tylko kontrowersyjne decyzje z przeszłości, jak popieranie tego, czego nie trzeba było popierać (kłania się wojna w Iraku), lecz także masę innych spraw, do których można się przyklepić, mniejsza o to, czy prawdziwych.

„Afera ukraińska”, która zapoczątkowała nieudany *impeachment* Trumpa, dotyczyła przecież interesów wiceprezydenckiego syna, Huntera Bidena, w ukraińskiej spółce gazowej. I choć nie ma żadnych dowodów na to, że Biden pomagał synowi albo łamał prawo, to jednak zostanie rozdmuchana ponad miarę – tak jak cztery lata temu słynne „maile Hillary”. Nikt wprawdzie nie wiedział, o co dokładnie z tymi mailami chodzi, ale wałkowanie tematu na okrągło przez media (wszystkie, nie tylko sympatyzujące z Trumpem Fox News) zrobiło swoje i przyczyniło się do klęski Clinton. Kiedy Biden tracił w sondażach, Republikanie stracili zainteresowanie ukraińskimi interesami jego syna – zupełnym przypadkiem ledwie dzień po superwtorkowych prawyborach republikańscy senatorowie ogłosili, że wkrótce opublikują raport w sprawie „afery”.

Bo wygra Trump

Do rozstrzygnięcia wyścigu jeszcze daleko: po superwtorku Sanders miał raptem kilkudziesięciu delegatów mniej od Bidena, a do zapewnienia sobie partyjnej nominacji potrzeba ich prawie dwa tysiące. Zarówno Obama w roku 2008, jak i Clinton w 2016 przekroczyli magiczną liczbę dopiero w czerwcu, więc w tym roku będzie pewnie podobnie. Obaj kandydaci wciąż mają szansę na wygraną – problem w tym, co dalej i czy nominatowi uda się przekonać do siebie zwolenników swojego konkurenta.

Partia Demokratyczna jest podzielona na dwie części, niekoniecznie równej wielkości, ale jedna bez drugiej nie ma szans w starciu z Republikanami: ani w wyborach prezydenckich, ani w wyborach do Kongresu. Jeśli centryści odmówią głosowania na „demokratycznego socjalistę”, a lewicowcy na „kandydata establishmentu”, to Trump ma wygraną w kieszeni. Zapewne lepszy byłby kandydat (lub kandydatka) potrafiący zbudować pomost między obiema frakcjami, ale to już pieśń przeszłości.

© PIOTR TARCZYŃSKI

W rytmie ignamu

KAROLINA KANIA Z WYSPY SOSEN (NOWA KALEDONIA, PACYFIK)

Wielkie, ponad stukilogramowe, leżą u brzegu morza jeden obok drugiego, pancerz obok pancerza. Choć oczy mają otwarte, nieruchoma głowa i kończyny zdają się tracić nadzieję na powrót do wody.

WTO SOBOTNIE, MARCOWE POPOŁUDNIU Zatoka Świętego Maurycego na kaledońskiej Île des Pins (Wyspie Sosen) jest wyjątkowo zatłoczona. Tym razem to nie australijscy turyści, tylko miejscowi gromadzą się w okolicach pomnika upamiętniającego przybycie na wyspę katolickich misjonarzy.

Pierwszą mszą, 12 sierpnia 1848 r., maryści rozpoczęli ewangelizację Kanaków, która przeplatała się z kolonizacją francuską. Zadanie nie było łatwe, bowiem duchowy świat autochtonów był niezwykle rozbudowany. Pomimo starań europejskich duchownych wiara Kanaków w duchy przodków, a także stosowane przez nich magiczne praktyki i rytuały nie zostały porzucone.

Na Nowej Kaledonii chrześcijańskie wartości przeniknęły do tradycyjnych kultów i praktyk – takich jak Święto

Ignamu. To z tej okazji w dniu świętego Józefa w zatoce zgromadzili się wyspiarze. Ceremonia podziału żółwi była zwieńczeniem dorocznych uroczystości.

Kultura ignamu

Życiu Melanezyjczyków rytm nadaje kultura ignamu. To coś więcej niż pożywna bulwa, będąca jednym z podstawowych składników pożywienia na wyspach Pacyfiku. To symbol człowieka, fallusa, honoru, siły klanu. Stanowi jeden z najważniejszych przedmiotów wymian zwyczajowych. Jest nierozdzielnie związany z tożsamością Kanaków. Każdy ma choć kawałek pola, na którym uprawia ignamy. „Jeśli nie masz pola, nie jesteś Kunié” – tłumaczą mi wyspiarze. Kalendarzowi upraw podporządkowane są różne działania i ważne wydarzenia w melanezyjskiej społeczności, na przy-

kład wesela. Święto Nowego Ignamu, na Wyspie Sosen obchodzone 18 i 19 marca, otwiera czas konsumpcji i zbiorów.

Na Île des Pins przylatuję z początkiem marca. To mój drugi pobyt na wyspie i cieszę się, że mogę przyjrzeć się przygotowaniom do uroczystości. Zawieszono zostają rejsy australijskich statków wycieczkowych, dzięki czemu Kunié mogą poświęcić czas na wykopanie ignamów. Proces wydobywania bulw z glebi pomarańczowej ziemi nie jest zmechanizowany. Cała praca jest wykonywana ręcznie, z dodatkową pomocą łopatk i kija. Istotne jest, aby nie złamać warzyw, bo gdyby zostało uszkodzone, nie mogłoby zostać wykorzystane w ceremonii zwyczajowej.

Zgodnie z hierarchią

Każdego roku, 18 marca, członkowie ośmiu plemion zamieszkujących wyspę przebywają tę samą ścieżkę zwyczajową. Poszczególne rodziny w obrębie klanów z zebranych ignamów wykonują gest zwyczajowy. Ta rytualna wymiana słów i darów stanowi nieodwracalną część *la coutume*, czyli zwyczaju mającego ogromne znaczenie dla życia Kanaków. *La coutume* („kastom” w melanezyjskich językach pidżyn) jest zbiorem reguł i rytuałów przestrzeganych przez klany skupione wokół autorytetu wodza. Zwyczaj to sposób życia, który odnosi się do codzienności Kanaków, a także do najważniejszych momentów w ich życiu, takich jak narodziny, śluby, pogrzeby czy właśnie Święto Ignamu. To okazja do wygłoszenia długich przemów, wspomniania przodków i ich historii, przypomnienia plemiennej hierarchii. Jest ciepło i duszno, szefowie plemion w strugach deszczu prowadzą swych poddanych do Grande Chefferie – siedziby Wielkiego Wodza. W tym spotkaniu nie mogą uczestniczyć obcokrajowcy, z niecierpliwością wyczekują więc następnego dnia i podziału ignamów.

W dzień św. Józefa wyspiarze spotykają się w kościele we wsi Vao. Podczas mszy prowadzonej przez chór śpiewający w lokalnym języku kwenyii francuski ksiądz błogosławi ignamy złożone na liściach bananowca na olbrzymim stosie przed ołtarzem. Jednak koniec nabożeństwa nie jest końcem ceremonii. ➔



Zebrane ignamy, Wyspa Sosen, Nowa Kaledonia, marzec 2016 r.



EDWARD AUGUSTYN

Francuska kolonia na południowym Pacyfiku

NOWA KALEDONIA to francuskie terytorium zamorskie położone w regionie Melanezji na Południowym Pacyfiku. Wyspy archipelagu wielkości województwa pomorskiego, skolonizowane w 1853 r., początkowo służyły jako kolonia karna, do której deportowano około 20 tys. więźniów, m.in. uczestników Komuny Paryskiej oraz buntowników biorących udział w zrywach niepodległościowych w innej francuskiej kolonii – Algierii.

Kiedy Europejczycy dotarli na Nową Kaledonię, wyspy zamieszkiwane były przez rdzennych Kanaków. Na przełomie XIX i XX w. zaczęli oni stawać się mniejszością na terytorium zdominowanym przez przybyszów z drugiego końca świata.

Francuzi, których celem było zbudowanie nowej kolonii w strategicznym dla mocarstwa miejscu, sprzeniewierzyli się swoim demokratycznym ideałom, traktując autochtonów jak obywateli gorszej kategorii. Przez ponad pół wieku Kanakowie podlegali kodeksowi tubylczemu, żyli na terenach rezerwatów,

podporządkowani administracji kolonialnej. Europejczycy nie tylko przywieźli ze sobą „egzotyczne” z punktu widzenia autochtonów choroby czy zasady, ale przede wszystkim zaczęli zabierać Melanezyjczykom to, co było dla nich najcenniejsze – ziemię. Kanakowie dopiero po II wojnie światowej odzyskali prawa cywilne, możliwość edukacji czy udziału w wyborach.

W 1986 r., w wyniku trwającej na wyspach wojny domowej pomiędzy przeciwnikami i zwolennikami niepodległości, Zgromadzenie Ogólne ONZ wpisało Nową Kaledonię na listę terytoriów niesamodzielnych, które powinny podlegać dekolonizacji.

Porozumienia pomiędzy stronami konfliktu, podpisane w 1988 i 1998 r., przygasiły spory, wprowadzając Nową Kaledonię na długą i pełną zakrętów drogę postępującej dekolonizacji. W przeciwieństwie do innych francuskich departamentów i zbiorowości zamorskich, Nowa Kaledonia

ma obecnie specjalny status wspólnoty „sui generis”. Jest on przejściowy i być może zmieni się już w tym roku, bowiem na 6 września zaplanowane jest kolejne referendum niepodległościowe. W poprzednim głosowaniu, w listopadzie 2018 r., zwyciężyli zwolennicy pozostania przy Francji (57 proc.), jednak ich wynik z pewnością nie był tak wysoki, jak przewidywano.

Kwestie przynależności etnicznej i narodowej są w kaledońskiej, wielokulturowej społeczności niezwykle złożone i skomplikowane. Kolonizacja, kolonialna opresja, a także migracje z Azji czy z innych wysp Oceanii doprowadziły do zmiany struktury etnicznej Nowej Kaledonii.

Kanakowie stanowią około 40 proc. z 280 tys. osób zamieszkujących wyspy. Pozostałe grupy etniczne to Europejczycy – zarówno współcześni migranci z Francji, jak i potomkowie kolonizatorów, Arabowie, Indonezyjczycy, Wietnamczycy, Polinezyjczycy czy mieszkańcy Wallis i Futuny. Chociaż głównym językiem łączącym te społeczności jest francuski, Kanakowie posługują się 28 językami i 11 dialektami. Głównym filarem nowokaledońskiej gospodarki jest przemysł wydobywczy, gdyż bogactwem terytorium jest 25 proc. światowych złóż niklu, jednak w wielu wyspiarskich gminach to turystyka odgrywa bardzo ważną rolę, zarówno ekonomiczną, jak i społeczną. Dziś Nowa Kaledonia to jedyny melanezyjski archipelag, który wciąż nie uzyskał niepodległości. Czy status terytorium zmieni się 6 września 2020 r.? © KK



KAROLINA KANIA

⇒ Udajemy się do siedziby Wielkiego Wodza, każdy zabiera kilka ignamów, które w Chefferie zostają rozdzielone na mniejsze zbiory. Mężczyźni przez ponad godzinę krzątają się, przenosząc bulwy z wielkiego stosu na mniejsze stosiki, obliczają, układają. Każdy ma swoje miejsce. Kobiety, ubrane w długie, luźne suknie *robes de mission*, siedzą na trawie, czekając na uroczyste rozpoczęcie podziału.

Wielki Wódz Hilarion Vendegou po francusku ogłasza początek sezonu i tym samym zezwala na konsumpcję nowych ignamów. Następnie dwóch rzeczników Wielkiego Wodza w kwenyii rozdziela nowe ignamy. Każdy klan, każde plemię otrzymuje swój przydział. Nie brakuje również bulw dla Europejczyków mieszkających na wyspie: policjantów, nauczycieli, pielęgniarek, lekarzy czy pracowników hoteli. Wódz zatrzymuje się przy każ-



Plaża Saint-Maurice z najstarszym pomnikiem Chrystusa. Wokół palisada z tradycyjnych, drewnianych rzeźb, przedstawiających miejscowe, pogańskie bóstwa. Wyspa Sosen, Nowa Kaledonia, marzec 2016 r.

dym stosie, opowiada, dla kogo są przeznaczone ignamy oraz jaka jest rola tych ludzi na wyspie, a także za co im dziękuje.

Po ofiarowaniu ignamów dwóm europejskim parom, które żyją tam od ponad 40 lat, Wielki Wódz zaczyna mówić o studentce z Polski, która przebywa na wyspie, przygotowując pracę na temat rozwoju turystyki. Na początku nie wierzę, że ignam przeznaczony jest dla mnie, ale kiedy Wielki Wódz wyjaśnia wszystkim zgromadzonym, kim jestem i co robię, dziękując im, że mnie goszczą, zdaję sobie sprawę, że ignam trafi w moje ręce. „*Ku ya Karolina Koteureu*” (Ten ignam jest dla Karoliny Koteureu) – ogłaszają rzecznicy Wielkiego Wodza, nadając mi nazwisko mojej rodziny goszczącej. Kilka osób wybucha śmiechem.

W ten sposób mieszkańcy Île des Pins nie tylko dowiadują się, kim jestem, ale także kto mnie gości. Otrzymanie

ignamu w czasie ceremonii jest wielkim zaszczytem i wyrazem akceptacji mojej obecności na Wyspie Sosen.

Świętowanie

Ostatnim punktem obchodów jest podział żółwi w Zatoce Świętego Maurycego. Choć w 2008 r., wraz z wpisaniem raf Nowej Kaledonii na listę światowego dziedzictwa UNESCO, połów żółwi został zakazany, istnieją wyjątkowe sytuacje, w których ograniczenie zostaje zniesione. Osiem żółwi symbolizuje osiem plemion. Przedstawiciele każdego z nich przenoszą ciężkie zwierzęta na paki samochodów terenowych. Tego dnia przysmaki z gadów wylądają na niejednym stole.

Ceremonia dobiega końca, jednak świętowanie trwa dalej. Razem z rodziną Koteureu udaję się do kuzynów, aby razem spędzić ten uroczysty dzień jedząc, pijąc, dyskutując, grając w bingo i pétan-

que. Drewniane stoły uginają się od lokalnych pyszności. Moją uwagę przyciągają czarne stworzenia o wystających cienkich kościach i wytrzeszczonych oczach. To *roussettes* – kaledońskie nietoperze, po zmroku żywiące się soczystymi owocami. Etnologiczna ciekawość wygrywa i próbuję tej przedziwnej potrawy. Smak *roussette* można pokochać albo zniechęcić. Zaliczam się do tej drugiej grupy, a tę kaledońską specjalność do najdziwniejszej rzeczy, jakie zjadłam w życiu (*ex aequo* z mięsem żółwia). Feta do późnej nocy zamyka najważniejsze doroczne święto zwyczajowe Kanaków z Wyspy Sosen.

© KAROLINA KANIA

Autorka jest antropolożką, prowadzi badania etnograficzne na Nowej Kaledonii i pisze doktorat o konfliktach związanych z rozwojem turystyki na Île des Pins i w Bourail. Na Nowej Kaledonii spędziła łącznie 14 miesięcy.

Kilka Słowacji

ANDREJ BÁN, DZIENNIKARZ I FOTOREPORTER:

Słowaccy konserwatyści i liberałowie są sobie bliżsi, niż myślą, a ich prawdziwym przeciwnikiem są neofaszyści. To ich się najbardziej boję.

PATRYCJA BUKALSKA: W ubiegłym roku, kiedy wybory prezydenckie wygrała Zuzana Čaputová, światowe media zachłysnęły się wizją Słowacji zmierzającej w progresywnym, liberalnym kierunku. Wybory parlamentarne miały to potwierdzić. Tymczasem Postępowa Słowacja, partia Čaputovej, nie dostała się do parlamentu. W swojej książce, „Stoła na Zemplinie. Opowieści ze Słowacji”, Pan również kreśli portret kraju w nieco ciemniejszych barwach.

ANDREJ BÁN: Przede wszystkim muszę podkreślić, że jestem krytyczny wobec Słowacji nie dlatego, że jej nie lubię, ale właśnie dlatego, że ją lubię. Jako fotoreporter wojenny przez 30 lat relacjonowałem wojny i konflikty na Bałkanach, w Pakistanie, Afganistanie czy Iraku. To, co się tam działo, mogę porównać do mojego kraju.

Moja matka urodziła się w małej wsi w środkowej Słowacji, Čierny Balog – w czasie wojny wybuchło tu powstanie przeciwko nazistom, a teraz ludzie głosują na neonazistowską partię Mariana Kotleby. To pewien paradoks, że część społeczeństwa głosuje na ekstremistów i neofaszystów, a część na Zuzanę Čaputová. Mogę opisać, co widzę jako reporter. Przez ostatnich 30 lat zjeździłem Słowację wzdłuż i wszerz, niejednokrotnie wracałem do pewnych miejsc po latach. Dlatego to nie tylko „książka drogi”, podróż od wschodniej do zachodniej granicy kraju, ale i podróż w czasie. Patrząc na Słowację krytycznie, lecz bywa też ona dla mnie jak Bałkany z filmów Kusturicy – mieszaną smutku, absurdu i ironii.

A jednak ten osobisty obraz pokrywa się z naukowymi analizami po wyborach, z których płynnie wniosek, że o wyniku zadecydowała prowincja, a nie „bratysławska bańka”. W swojej książce pisze Pan zresztą,

że „nie istnieje jedna Słowacja, ale dwie, trzy, a może nawet cztery”.

Jest wschodnia część kraju, gdzie ludzie żyją w kiepskich warunkach, nie ma też autostrady łączącej ją ze stolicą. W 2018 r. po śmierci Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej pojechałem do Michalovców. W swoim ostatnim, niedokończonym artykule Kuciak opisywał działającą na wschodzie włoską mafię i jej bliskie związki z partią Smer. Przyjechałem tydzień po morderstwie. Poprosiłem przyjaciół, by zorganizowali mi kilka spotkań z ludźmi stamtąd. Miałem na myśli małe, dyskretne spotkania. Przyjaciele zaś zorganizowali spotkanie ze mną, na które przyszło mnóstwo ludzi.

Wyjaśnili mi jednak, że to nie Włosi są problemem. Tak, mają ferrari, palą cygara, ale nie zabijają. Okazało się, że najsilniejsza jest „Grófká” [„Hrabina” – red.], czyli Ľubica Rošková, była posłanka Smeru. Nigdy o niej nie słyszałem, a okazało się, że to ona rządzi na wschodzie. Jeden jej krewny jest prokuratorem, drugi ma wysokie stanowisko w policji, trzeci jest sędzią. W takich rejonach jak Michalovce Smer w poprzednich wyborach miał ponad 40 proc. poparcia.

A teraz? W wyborach w lutym?

Ciągłe sporo – powyżej 30 proc. To, co napisałem o wschodniej Słowacji w książce, było dla wielu ludzi szokiem. Nikt nie opisywał wcześniej np. konfliktów z rolnikami [chodzi o nieprawidłowości w korzystaniu z dotacji unijnych i przemoc wobec rolników – red.].

Dlaczego o tym nie pisano?

Nie wiem. Może miejscowi dziennikarze po prostu się bali. Bali się, bo Ľubica Rošková i inni byli bardzo wpływowymi ludźmi.

Śmierć Jána Kuciaka i jego narzeczonej, sprzeciw wobec korupcji

i niejasnych powiązań polityki, biznesu i świata przestępczego – spodziewano się, że właśnie te kwestie zadecydują o wyniku wyborów. I może tak się stało, bo wygrała partia OĽaNO, która postuluje właśnie walkę z korupcją. Jednak w pewnym momencie kampanii na pierwszy plan wysunął się problem rosnącego poparcia dla neofaszystów.

Wcześniej pytała pani o kilka Słowacji... Tak. Istnieją trzy Słowacje. Jedną z nich to właśnie ta neofaszystowska.

A pierwsza to Bratysława? Ta postępową „bańkę”?

Nie tylko, także inne większe miasta to Słowacja liberalna i prozachodnia. Druga to miasteczka i wsie, Słowacja raczej konserwatywna. Trzecia to właśnie ta neofaszystowska.

Przed poprzednimi wyborami w 2016 r. byłem zaskoczony, jak wielu mężczyzn deklaroowało poparcie dla Kotleby. Przeczuwałem, że choć w sondażach mieli 2–3 proc., mogą wejść do parlamentu. Napisałem artykuł o tym, że w powyborczy poranek obudzimy się z faszystami w parlamencie.

I miał Pan rację.

Ważne, żeby zrozumieć, skąd bierze się to poparcie, kto na nich głosował. Kotleba nie jest jak skinheadzi w latach 90., zwraca się do ludzi rozczarowanych, złych na system. To ten sam trend, który wyniósł do władzy Trumpa w USA. Dziennikarze mogą być tym zaskoczeni, ale to dlatego, że nie rozmawiają z ludźmi w terenie.

A Pan rozmawia. I nawet więcej – założył Pan organizację Zapomniana Słowacja, której zadaniem są debaty w miejscach, gdzie neofaszyści mają poparcie,

Po tym, jak w 2016 r. napisałem artykuł o faszystach w parlamencie, odezwał się do mnie architekt Michal Karako. „Trzeba coś zrobić” – napisał. Postanowiliśmy po prostu pojechać tam, gdzie Kotleba miał poparcie powyżej 10 proc., i rozmawiać. To było ponad 20 miejscowości. Na spotkania przychodzili też oczywiście zwolennicy Kotleby.

Pamiętam szczególnie jedno – w Kiežmarku. Przyszło na nie kilkudziesięciu kotlebowców, w zielonych podkoszul-

kach z logo partii. Usiedli w pierwszych rzędach. Powiedziałem, że wszyscy mogą dyskutować, ale są zasady: możemy się nie zgadzać, ale nie ma tu miejsca na agresję. Wyjaśniłem też, dlaczego uważam ich za faszystów – to mogło wywołać konflikt, ale nie wywołało. Spotkanie było jednak ważne z innego powodu. Wśród obecnych znalazł się chłopak, który kiedyś był przyjacielem ważnej postaci ruchu Kotleby – Milana Mazurka, również obecnego na spotkaniu. Ten chłopak powiedział do niego: „Popatrz mi w oczy. Jako chłopcy razem hajlowaliśmy. Ja myślę, że to było głupie i przepraszam za to. A ty?”.

Mazurek się zdenerwował, ale ja byłem pozytywnie zaskoczony – oto ktoś potrafił skonfrontować się z neofaszyzmem, powiedzieć: byliśmy przyjaciółmi, teraz wstydzę się tego, co robiliśmy. To był punkt zwrotny tych spotkań.

Po tych bezpośrednich rozmowach, jak Pan sądzi – kim są zwolennicy Kotleby i jego Partii Ludowej Nasza Słowacja (L’SNS)?

Główną grupą – od 8 do 12 proc. – są neofaszyści, nie mam co do tego wątpliwości. Druga grupa to ludzie w wieku 20–25 lat, którym Kotleba daje poczucie przynależności. Partia to dla nich wspólnota, kwestia tożsamości. Mają te same koszule, flagi. Żadna inna partia na Słowacji nie oferuje młodym mężczyznom tego rodzaju wspólnoty. W tej grupie wiekowej aż jedna czwarta deklaruje poparcie dla Kotleby.

Trzecia grupa zwolenników to ludzie po trzydziestce, często dobrze wykształceni. L’SNS stała się akceptowaną partią mainstreamową. Największym błędem, jaki popełniono, było dopuszczenie do tego, że w ogóle powstała.

O neofaszystach pisano w kontekście wyborów sporo, tymczasem inna kwestia przeszła niemal niezauważona. W tym parlamencie po raz pierwszy nie będzie reprezentacji mniejszości węgierskiej. Jak to się stało?

Kilkanaście lat temu mniejszość węgierska na Słowacji stanowiła 10 proc. populacji. Teraz jest to już mniej, a powodem jest postępująca asymilacja. Po drugie, partia Most-Híd Béli Bugára była częścią koalicji rządzącej ze Smerem i straciła w ten sposób wiarygodność. Po trzecie, istnieje pozaparlamentarna Partia Wę-



BORIS NEMETH

ANDREJ BÁN jest reporterem, fotografem i publicystą. Autor korespondencji z Bałkanów, Izraela, Afganistanu i Gruzji. Współzałożyciel organizacji charytatywnej Človek v ohrození (Człowiek w niebezpieczeństwie). W Polsce nakładem wydawnictwa Książkowe Klimaty ukazała się jego książka „Stoń na Zemplinie. Opowieści ze Słowacji”.

Krajobraz po wyborach

NOWY RZĄD NA SŁOWACJI utworzy koalicja partii konserwatywnych i liberalnych. Rozmowy w tej sprawie prowadzi Igor Matovič, przyszły premier i przewodniczący zwycięskiego ugrupowania OĽaNO (Zwykli Ludzie i Niezależne Osobistości). Władzę straciła partia Smer-Sociaľna Demokracia – będzie ona teraz najsłabszą partią opozycji (38 posłów w 150-mandatowym parlamencie). Faszyzująca Partia Ludowa – Nasza Słowacja (L’SNS) Mariana Kotleby nie zyskała tak dużego poparcia, jakie dawały jej niektóre sondaże, ale ponownie zasiądzie w parlamencie. Ma 17 posłów. Wymaganego progu nie przekroczyła natomiast koalicja PS/Spolu (Postępowa Słowacja/Razem). To największa niespodzianka tych wyborów.

gierskiej Koalicji (SMK), która konkuruje z Most-Híd o węgierskiego wyborcę. Jeśli Węgrzy to dziś ok. 8 proc. populacji, a ich głosy się podzielią na dwie partie, to żadna nie wejdzie do parlamentu. Wielka szkoda, bo w ciągu ostatnich 30 lat Węgrzy na Słowacji zawsze byli siłą prozachodnią, demokratyczną.

Ale w latach 90., za niestawnego premiera Vladimíra Mečiara, byli „wrogiem numer jeden”. Teraz nie ma już tych napięć.

To zmieniło się w 2015 r., w czasie kryzysu uchodźczego. Węgry zamknęły wtedy granicę z Serbią, a Viktor Orbán przyjął pozycję obrońcy cywilizacji chrześcijańskiej. Miał poparcie innych państw wyszehradzkich. Tak Orbán został bohaterem dla wielu słowackich polityków, a relacje słowacko-węgierskie są znacznie lepsze niż kiedyś.

Wtedy kryzys uchodźczy został też wykorzystany politycznie – by wzbudzić wśród obywateli strach przed „obcym”. Kiedy dziś podróżuje Pan po słowackich peryferiach, jakie lęki Pan widzi?

Na pewno nie przed migracją. Teraz istotny jest konflikt między konserwatywną a liberalną częścią społeczeństwa, koncentrujący się wokół takich spraw jak konwencja stambulska [Konwencja o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – red.], prawa mniejszości, w tym osób LGBT. To teraz najsilniejszy konflikt na Słowacji. W mojej opinii konserwatyści i liberałowie są sobie bliżsi, niż sądzą, a prawdziwym przeciwnikiem są neofaszyści.

W przyszłym rządzie zasiądą zapewne razem właśnie konserwatyści i liberałowie. To nie wróży dobrze jego stabilności.

Nawet zwycięska partia OĽaNO to w zasadzie ruch zrzeszający ludzi o bardzo różnych poglądach z jedną wspólną agendą – walką z korupcją. Pytanie, czy to wystarczy. Mam nadzieję, że nowy rząd powstanie już niedługo. Że odniesie sukces, a Igor Matovič okaże się jednak odpowiedzialnym premierem. Staram się być optymistą. W tyle głowy mam jednak myśl, że Kotleba rośnie w siłę. Że zdobył 20 tys. głosów więcej niż przed czterema laty. Tego się boję. ©

Dane, dane i jeszcze raz dane

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nie wiadomo, czy nowe unijne przepisy o sztucznej inteligencji zdołają powstrzymać manipulowanie opinią publiczną. Ale na pewno mocno je utrudnią.

PO TYM, GDY KILKANAŚCIE DNI TEMU Komisja Europejska ogłosiła tzw. białą księgę w sprawie sztucznej inteligencji i pozyskiwania danych, podniosły się kpiące głosy, że wprowadzie Europa nie ma własnego technologicznego giganta na miarę amerykańskiego Google'a czy chińskiego Tencenta, ale w jednym jest niezrównana – w utrudnianiu życia sobie samej.

Przez wiele lat w cyfrowo-technologicznej grze Unia w zasadzie się nie liczyła. Ursula von der Leyen, nowa przewodnicząca KE, zapowiada, że to się zmieni. Jej propozycje mogą świadczyć o tym, że Bruksela po latach zwlekania wreszcie zamierza stanąć do wyścigu, a największym atutem planu ma się stać to, co dotąd uważano za główny hamulec, a w czym Unia się specjalizuje – regulacje.

Certyfikat i jeden rynek

Uwagę mediów przykuły przede wszystkim propozycje dotyczące sztucznej inteligencji (SI). Unia miałaby wystawiać jej certyfikaty na podobnej zasadzie, jak wydaje się je kosmetykom, samochodom czy zabawkom. W szczególności ścisłej kontroli miałyby podlegać tzw. algorytmy wysokiego ryzyka, których zastosowanie może się wiązać – czytamy w białej księdze – „z uszczerbkiem na zdrowiu, śmiercią bądź istotnymi zniszczeniami materialnymi lub niematerialnymi”. Regulacje miałyby dotyczyć zwłaszcza ochrony zdrowia, bezpieczeństwa i transportu.



JULIAN STRATENSCHULTE / DPA / PAP

Kamery w metrze, Hanower, Niemcy, luty 2020 r.

Uwzględniałyby unijne pryncypia, z poszanowaniem prawa do prywatności na czele. Na zarzut, że Amerykanie czy Chińczycy nie stawiają sobie takich ograniczeń, Ursula von der Leyen odpowiedziała krótko: „Chcemy to zrobić po swojemu”.

Przedstawiciele Google'a, Apple'a i Facebooka, którzy ostatnio pielgrzymowali do Brukseli, przekonywali zgodnie, że to nie jest przepis na sukces, bo nadmiar regulacji sparaliżuje rozwój europejskich innowacji. Tym, co może ich bardziej martwić, jest jednak drugi, rzadziej komentowany dokument – „Europejska strategia dla danych”.

„Jednym z powodów, że nie mamy Facebooka czy Tencenta, jest to, iż nigdy europejskie firmy nie miały jednolitego rynku. Teraz dostajemy drugą szansę” – mówiła przed publikacją dokumentu wiceprzewodnicząca KE Margrethe Vestager. Tym, co napędza sztuczną inteligencję, są dane, tzw. *big data*. Unia zamierza wystartować do technologicznego wyścigu, tworząc jednolity rynek danych przemysłowych. Dziś generują je niemal wszystkie przedsiębiorstwa, ale nie wykorzystują dostatecznie ani się nimi między sobą nie dzielą. Stąd w centrum pomysłu komisji jest plan stworzenia potężnej infrastruktury do przetwarzania danych w tzw. chmurze.

Gdyby to się udało, mógłby to być impuls dla rozwoju nowych technologii, w tym sztucznej inteligencji.

Na początek KE chce zainwestować w projekt co najmniej 6 mld euro pochodzących od państw członkowskich i firm. Przez kolejną dekadę – 20 mld euro. „Jesteśmy tym, co jemy, i nie inaczej jest w przypadku sztucznej inteligencji. Jeżeli dostarcza się jej śmieci, to nie ma szans, by algorytmy były zdrowe” – mówiła Vestager.

Ursula von der Leyen dodawała: „Dane, dane i jeszcze raz dane. Im więcej danych, tym inteligentniejsze algorytmy. To proste równanie. Dlatego tak ważny jest dostęp do danych. I dlatego chcemy zapewnić naszym firmom, ale także badaczom i służbom publicznym, lepszy do nich dostęp”. To, zdaniem przewodniczącej, przełoży się na inne korzyści: od lepszej i wcześniejszej diagnostyki nowotworów, przez osiągnięcie neutralności klimatycznej, aż po efektywniejsze rolnictwo czy transport. KE wyliczyła, że sama kontrola opóźnień w transporcie kolejowym w czasie rzeczywistym umożliwiłaby oszczędności ok. 740 mln euro rocznie.

Przykład z Europy

Teoretycznie Facebook czy Google nie muszą się przejmować unijnymi regulacjami. Podczas gdy Bruksela rozważa ograniczenie używania algorytmów rozpoznawania twarzy, Chińczycy rozwijają ogólnokrajową sieć monitorowania obywateli na skalę, przy której działania orwellowskiego Wielkiego Brata wyglądają jak igraszki przedszkolaka. Sposób, w jaki np. Amazon pozyskuje i wykorzystuje dane Amerykanów, w Europie jest po prostu nielegalny.

Tyle że Unia swoimi regulacjami już wyznacza trendy. Przepisy dotyczące ochrony danych obywateli mamy najbardziej restrykcyjne na świecie. Oczywiście nie ma mowy, by Pekin choćby rozważył wprowadzenie podobnych, a w Waszyngtonie debata nad takimi regulacjami na poziomie federalnym od dawna tkwi w martwym punkcie. Tyle że już na poziomie stanowym sprawy przedstawiają się inaczej. W styczniu własne przepisy wprowadziła Kalifornia, a prace nad podobnymi prowadzą m.in. stany Massachusetts i Nowy Jork. Jednocześnie Japonia i Brazylia też zaczęły chronić dane obywateli, wzorując się na europejskich przepisach. Wiele wskazuje, że kolejne kraje pójdą tą samą drogą.

O regulowaniu (czy też certyfikowaniu) sztucznej inteligencji debata trwa od lat, lecz dotąd nie szły za tym konkrety. Jeśli chodzi o jednolity rynek cyfrowy, na którym będzie możliwa legalna wymiana ogromnych ilości w pełni chronionych danych użytkowników, Unia jest pionierem. To żadne zaskoczenie, że technologiczni giganci spoza Europy będą przeciwko temu protestować – podobnie jak protestowali przeciwko podatkom od usług cyfrowych, dyrektywie o prawach autorskich czy RODO. Znów: chodzi głównie o pieniądze.

Stawka jest wysoka. W 2018 r. wartość tzw. gospodarki danych w Unii szacowano na 301 mld euro. W 2025 r. ma to być, wedle wyliczeń KE, 829 mld euro. Jednocześnie szacuje się, że samo tylko dostosowanie się do RODO kosztowało firmy amerykańskie 100 mln dolarów. Trzy lata temu Unia nałożyła na Google'a 2,4 mld euro kary za faworyzowanie swojej porównywarki cenowej. W 2018 r. koncern ukarano grzywną 4,34 mld euro za praktyki monopolistyczne dotyczące systemu Android, a w minionym roku – 1,49 mld euro za wykorzystywanie dominującej pozycji na rynku reklamy wyszukiwarek internetowych.

Reklama jak my

Co z tego będą mieli obywatele Unii? Geoffrey Hinton, badacz sztucznej inteligencji Google'a i profesor Uniwersytetu w Toronto, napisał na Twitterze: „Powiedzmy, że masz raka, i musisz wybrać między chirurgiem-SI, który nie potrafi wytłumaczyć, jak działa, ale ma 90 proc. skuteczności w leczeniu, a ludzkim chirurgiem o skuteczności 80 proc. Czy chirurg-SI powinien być nielegalny?”. Nick Cammarata, badacz sztucznej inteligencji z organizacji OpenAI, odpisał: „Wezmę te 90 proc. tylko jeśli będę miał pewność, że grupa osób, na której szkolono algorytm, była bardzo podobna do mnie, co często nie ma miejsca. Te 80 proc. dawałoby mi większą pewność, że zastosuje się także do mnie”.

Inny przykład to skandal związany z firmą Cambridge Analytica. Kiedy pod koniec 2015 r. okazało się, że firma wykorzystywała na masową skalę dane z Facebooka, pytano, jak zdołała uzyskać do nich dostęp. Mało kto zastanawiał się, w jaki sposób ich używała. Janosch Delcker z portalu Politico dowiedział się

tego od b. dyrektora firmy, Brittany Kaiser, która w ostatnich miesiącach stała się jedną z najaktywniejszych sygnalistek ujawniających kulisy jej działania. Mówiła: „Algorytmy i sztuczna inteligencja były nie tylko kluczem do prowadzenia udanych kampanii, ale i wykorzystania w nich mikrotargetowania, i to w sposób, którego nie widziałam nigdzie indziej”.

Mikrotargetowanie pozwala wysyłać użytkownikom spersonalizowane, perswazyjne przekazy. Ideałem jego twórców byłoby tworzenie indywidualnych reklam dla każdego odbiorcy, wykorzystujących zbudowany na bazie jego zwyczajów profil psychologiczny. Cambridge Analytica miała doprowadzić ten proces do niespotykanego wcześniej poziomu. Pracowała na stworzonym przez siebie systemie sztucznej inteligencji, dobierającym i testującym najdrobniejsze nawet detale przekazu (kolory przycisków, różne obrazy czy podkłady muzyczne w wideo). „Potem system automatycznie inwestował pieniądze w jego rozpowszechnianie” – tłumaczyła Kaiser dziennikarzowi Politico.

Takie wykorzystanie sztucznej inteligencji wydaje się spełniać definicję zastosowania „wysokiego ryzyka”, zwłaszcza jeśli chodzi o możliwość wyrządzenia „istotnych zniszczeń niematerialnych” (cytaty z dokumentu Unii). Cambridge Analytica już nie istnieje, ale ma następców, którzy używają algorytmów do manipulowania opinią publiczną. Nie jest pewne, czy oparte na nowej strategii przepisy zdołają ich powstrzymać, ale z pewnością i one, i funkcjonujące już RODO utrudnią im działanie.

Wolniej, ale lepiej

W 2018 r. Kai-fu Lee, ekspert sztucznej inteligencji, b. dyrektor w Apple'u, Microsoftzie i Google'u, stwierdził, że w dziedzinie sztucznej inteligencji i danych Unia „nie walczy nawet o brązowy medal”. Przytakiwał mu chór komentatorów, zdaniem których Europa pogrzebała swoje szanse przez nadmierne regulacje. Niewątpliwym sukcesem RODO (o którym też początkowo mówiono, że sparaliżuje europejski sektor wysokich technologii) pokazuje, że droga Unii – chociaż wolniejsza – nie musi być gorsza.

Bruksela chce do połowy maja konsultować swoje pomysły z krajami członkowskimi i biznesem. Propozycje przepisów mają być znane pod koniec roku. ©

WOJCIECH

Bonowicz: Wiedeń, już prawie wiosna



WODA W KANALE PŁYNIE SZYBKO. JEST ZIELONKAWO sina, jak twarz chorego, jak napój z kiwi. Niebo jest bezchmurne, słońce zdecydowane, a wiatr chłodny, ale wieje tylko górą. Nad samym kanałem jest ciepło i cicho. W ciszy przemykają rowerzy-

ści, przebiegają dziewczyny w dresach, a psy przeglądają to, co porzucone w trawie. Mury osłaniające kolejkę miejską upstrzone są nakładającymi się na siebie graffiti. W oddali cienką strużkę dymu wypuszcza spalarnia śmieci pokryta przez Hundertwassera kolorowymi motywami. „Jest coś niepokojącego w spokoju”, napisał niedawno na jednym ze swoich rysunków Filip Zawada.

Na stacji Friedensbrücke ten sam ciemnoskóry mężczyzna codziennie rano próbuje zainteresować przechodniów trzymanymi w ręce gazetami. „Bitte! Nein? OK”, powtarza niezrażony. W przejściu pod Karlsplatz napotykam zakłopotany wzrok bezdomnego, który trzyma pod pachą futerał na skrzypce. Pod ścianą klęczy z twarzą przy ziemi młody człowiek, wysuwając przed siebie brudny kaszkiet. „Scheisse! Scheisse!”, złosci się mężczyzna z futerałem, a ja domyślam się, że młody zajął jego miejsce. Ponieważ zima jest ciepła, ludzi takich jak oni spotykam niewielu. „Nie chcesz gazety – zagaduje po angielsku rudowłosa sprzedawca na stacji Rennweg – to daj mi chociaż dwa euro na kawę”.

Nie jest prawdą, że sztuka niosąca wyraźne moralne przesłanie nie może być dobra. Na wystawie grafik w Albertinie niemal każda prezentowana praca zawiera jakąś naukę – a wszystkie, doprawdy wszystkie są znakomite. Słynne „Polowanie na zające”, jedyna grafika Pietera Bruegla Starszego, którą wykonał własnoręcznie, to przecież czytelne ostrzeżenie: na myśliwego, celującego z kuszy do niczego nieprzeczuwających zajęcy, czyha za drzewem napastnik

z włócznią. W gęsto wypełnionej postaciami „Alegorii ludzkich ambicji”, będącej rezultatem współpracy dwóch innych niderlandzkich artystów, tłum próbujący przedostać się na drugą stronę wąskiej kładki co rusz spycha kogoś w dół. Tajemniczo uśmiechająca się kurtyzana, sportretowana przez Daniela Hopfera, nosi na szyi łańcuszek liter, które można odczytać jako: „Nic za nic” – co otwiera pole do rozmaitych, także moralizujących, interpretacji. Nawet delikatną akwaforę Albrechta Altdorfera, przedstawiającą samotny świerk na tle symbolicznego krajobrazu, da się interpretować alegorycznie: na wpół uschłe drzewo wpija się korzeniami w skałę, ale nie jest już w stanie wykarmić wszystkich pędów. Na jednej z ulamanych gałęzi wisi tabliczka z literą A – monogram artysty.

Zresztą podobnie jest w części poświęconej sztuce współczesnej. Na monochromatycznym obrazie Gottfrieda Helnweina, zatytułowanym „Objawienie I (Adoracja magów 3)”, piękną, jasnowłosą Madonnę prezentującą Dzieciątko otaczają mężczyźni w hitlerowskich mundurach. Jeden z nich wyciąga jakieś dokumenty, drugi uważnie przygląda się nagiemu ciału chłopczyka, jakby sprawdzając, czy nie jest obrzezany. Obok wisi obraz tego samego artysty z cyklu „Demony wojny”: dziesięcio-, może dwunastolatek (lub dwunastolatka, bo twarz jest zasłonięta) celuje w coś z pistoletu maszynowego. Postać jest skąpana w jasnym, spokojnym świetle, odbijanym przez biały podkoszulek, i mocno odcina się od ciemnego, jednolitego tła. Inaczej niż w pozostałych pracach z tego cyklu, nie ma tu krwi, ran ani innych śladów walki. Obraz zdaje się emanować spokojem, choć może przedstawiać na przykład jednego z młodocianych zabójców, wkraczających do szkoły, żeby otworzyć do rówieśników ogień.

Świat zmienia się nieodwołalnie, jeśli i w lutym, i w marcu zdarzają się dni, kiedy jest po kilkanaście stopni ciepła. Wracając wzdłuż kanału, szukam ściany, którą jeszcze dwa tygodnie temu ozdabiał pan Supertruskawka w otoczeniu cyjanowej kobry i wielkiego chrząszcza. Niestety, ktoś zamalował ten intrygujący obraz na czarno i czerwonymi literami wypisał w tym miejscu „Kaputtalizm”. Litery wychodzą z tła niczym gniewny chłopiec z bronią. Środkowe „t” wystaje odrobinę ponad pozostałe. Wygląda trochę jak młot, trochę jak szubienica, ale najbardziej przypomina krzyżyk umieszczony na klepsydrach. ©



Jak ulepić Wszechświat z czystej geometrii

a także:

- czy jedna teoria fizyczna może wytłumaczyć wszystko
- jakie wizje Kosmosu powstały w trakcie ostatnich stu lat
- czy we Wszechświecie musiał powstać człowiek
- rozmowa Michała Hellera, Jerzego Stelmacha i Bartosza Brożka o granicach rozumienia

W dodatku „Wielkie Pytania na nowo: Teorie wszystkiego” – już od środy 18 marca razem z następnym wydaniem „Tygodnika Powszechnego”!

★ KONCERT ★ MUZYKI FILMOWEJ

Wojciech Kilar

★ PAN TADEUSZ ★

★ PIANISTA ★ ZIEMIA OBIECANA ★

★ PRZYGODY PANA MICHAŁA ★ DRACULA ★

★ DZIEWIĄTE WROTA ★ KRÓL OSTATNICH DNI ★

21.03.2020

TAURON ARENA KRAKÓW

WWW.KONCERTFILMOWY.PL



KADR FILMOWY © HERITAGE FILMS

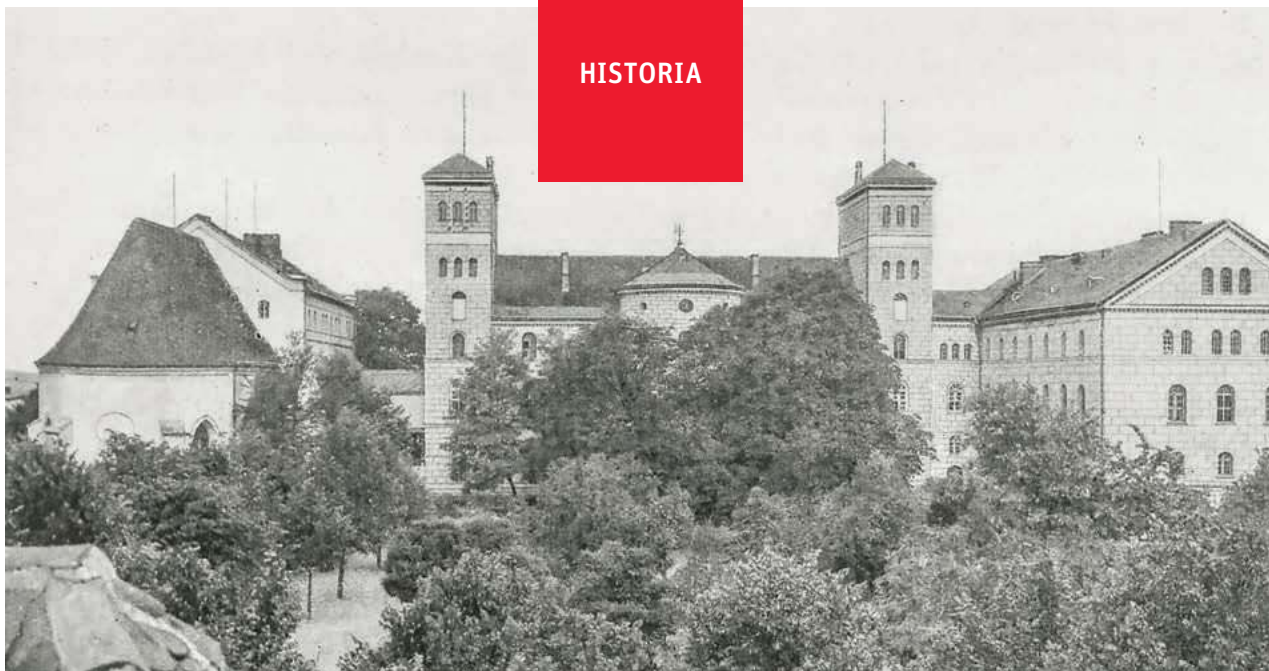
Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek zaprasza do udziału:

KONKURS NA STANOWISKO DYREKTORA MUZEUM MIASTA GDYNI

zgłoszenia prosimy przysyłać do 3 kwietnia 2020 r.
szczegóły oferty: bip.um.gdynia.pl

GDYNIA
moje miasto





Poklasztorne budynki zaadaptowane na szpital psychiatryczny, Kościan, 1910 r.

ELIMINACJA

„Nie stało naszych ofiar, przywozili swoich chorych z Niemiec” – 80 lat temu w szpitalu psychiatrycznym w wielkopolskim Kościanie trwała „Aktion T4”.

STANISŁAW ZASADA

OFICJALNE PRZYCZYNY TO: OSTRY KATAR żołądka, jelit, słabość mięśnia sercowego, zapalenie płuc, nerek. U starszych: ogólne osłabienie organizmu, uwiąd starczy, udar. Czasami: śmierć na miejscu na skutek ataku epilepsji. Tablica przy obecnym Wojewódzkim Szpitalu Neuropsychiatrycznym w Kościanie mówi więcej: „Stąd wyruszyło ku śmierci 3300 psychicznie chorych Polaków, Niemców, Żydów”.

Zeznania

Wkrótce po wojnie zeznawali świadkowie: Polacy, którzy przed 1939 r. pracowali w szpitalu w Kościanie i zostali w nim po tym, jak miasto – wraz z Wielkopolską – anektowano do III Rzeszy.

Tomasz Leiszner, pielęgniarz: „W roku 1940 w miesiącu styczniu przystąpił okupant do likwidowania Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie. Likwidacja trwała przez styczeń, luty i początek marca”.

Monika Gajewska, pielęgniarka: „Pewnego dnia otrzymaliśmy rozkaz przygotowania pacjentek na wyjazd”.

Gwidon Łukaszeński, lekarz: „Dzień przed rozpoczęciem wywożenia chorych wręczył dyrektor Lemberger pielęgniarzowi Heydnowi butelkę z mieszkanką morfiny ze skopolaminą z poleceniem wstrzyknięcia jej na godzinę przed wywożeniem. Na moją uwagę, że trzeba będzie przygotować większą liczbę igieł, Haydn odpowiedział, że wystarczy jedna igła, którą zaszczepi się pacjentów”.

Leiszner: „Chorych wywozili gestapowcy, którzy obchodzili się z nimi w bardzo niehumanitarny sposób”.

Łukaszeński: „Miałem okazję zajrzeć na salę przed wywiezieniem. Widziałem naszych chorych półśpiących, bezładnie porozkładanych na łóżkach i na podłodze. Część była zanieczyszczona kałem i moczem. Później rozkazano lekarzom nie pokazywać się na oddziałach”.

Leiszner: „Do samochodu ludzi prowadzono, większość wrzucano, bo byli zupełnie oszołomieni. W samochodzie były ławki, na których chorych usadzano, lecz – będąc nieprzytomnymi – nie mogli się

na nich utrzymać. Kładziono ich potem jeden na drugim jak worki z żytem”.

Gajewska: „Gdzie nas wiozą, dlaczego pielęgniarki nie jadą z nami? – pytały co rozsądniejsze pacjentki”.

Franciszek Adamczak, pielęgniarz: „Jedno auto wracało po trzech-czterech godzinach z powrotem. Często były ślady krwi w aucie albo były jeszcze zielone gałuszki przy wozach”.

Leiszner: „Po pewnym czasie dowiedziałem się, że chorych wywożono do lasów koło Jarogniewic”.

Gajewska: „Nie stało naszych ofiar, przywozili swoich chorych z Niemiec. Kilka takich transportów prowadziłyśmy z dworca do Zakładu. Mężczyźni, kobiety i dzieci niedorozwinięte. Przebywali u nas kilka dni, aż zwieziono wszystkich i znowu rozpoczynało się to samo, co z naszymi”.

Adamczak: „Później zgłaszały się rodziny niemieckie do Zakładu celem odwiezienia, to im powiedziano, że już pomarli i leżą na zakładowym cmentarzu”.

Łukaszewski: „Rodzinom Polaków nie udzielano żadnych odpowiedzi”.

Badacz

Najwięcej było przypadków schizofrenii: 253 na 534 pacjentów. Z niedorozwojem (jak to wówczas nazywano) były 64 osoby. Sporo chorowało na kiłę (43). Epilepsja to 27 osób, melancholia – 10, otępienie – 15, parafrenia – 12, zaburzenia maniako-depresyjne – 12, nerwica – 2, alkoholizm – 3 osoby.

Jerzy Zielonka, kościański dziennikarz i regionalista: – Gdyby ci ludzie żyli 10 lat dłużej, dzięki rozwojowi medycyny większość z nich doszłaby do zdrowia.

Gdy w 1943 r. Jerzy Zielonka przychodzi na świat, jest już po wszystkim. Gdy dorasta, dowiaduje się o zbrodni. Mówi się o niej w Kościanie, znane są relacje personelu. Trochę później nurtują go pytania: tylu ludzi wywieziono stąd na śmierć i nikt wtedy nie wiedział? A może ludzie wiedzieli i milczeli?

Wytłumaczenie ma jedno: – Publiczne egzekucje, więzienie, wywózki na roboty: to mieściło się w głowach, bo wszyscy to widzieli. Ale zabijanie chorych i niedołączonych nawet wtedy przekraczało wyobraźnię.

Zielonka zaczyna szukać dowodów zbrodni. Zbiera kolejne relacje, jeździ do Niemiec (są jeszcze dwa niemieckie państwa: w obu unika się tematu, niemieccy lekarze ruszą sprawę później). Chce wydać o tym książkę.

Zakład

Najpierw byli tu bernardyni – przybyli do Kościana w połowie XV w., zbudowali murowany klasztor. Gdy nastąpiły zmiany, wypędzili ich Prusacy (pamiątką po zakonnikach jest dziś kaplica), a klasztorne budynki wykorzystali na poprawczak, potem zaś na szpital wojskowy. Wreszcie w 1893 r. pruskie władze otworzyły tu Prowincjonalny Zakład dla Obłąkanych i Idiotów (takim językiem nazywano wówczas chorych psychicznie).

W niepodległej Polsce nazwę zmieniło na Krajowy Zakład Psychiatryczny, ale poza tym niewiele się zmieniło. W Zakładzie przebywało 300 pacjentów, w tym 40 osób w izolatkach: leżeli na słomie, jedzenie dostawali przez otwór w dole drzwi. W Kościanie mówiono na szpital: „parszywy zakład”. Aż przybył doktor Oskar Bielawski, który mawiał, że „tym lepiej ma chory, im gorzej śpi jego



Polskie pielęgniarki z pacjentką. Zdjęcie wykonano na początku stycznia 1940 r., na krótko przed transportami śmierci.

lekarz”. Dla jego nowych podwładnych nie była to dobra wieść: musieli się odtąd bardziej starać.

Patron dzisiejszego szpitala w Kościanie został dyrektorem w 1929 r. Miał 38 lat i pasję: wierzył, że chory potrzebuje zrozumienia i empatii, a nie przemocy. Dyrektorowanie zaczął od sporu z podwładnymi. Pielęgniarki nie chcieli słyszeć o rewolucji, której chciał nowy szef, spierano się zwłaszcza o tych w izolatkach.

Reporter Maciej Zaremba Bielawski, syn doktora, tak wspominał metody ojca: „Któregoś dnia jesienią 1929 roku otwierają wszystkie czterdzieści cel, dopilnowują, żeby ci nieszczęśnicy zostali wykąpani, dostali ubranie, kolację na talerzu i ciepłe łóżko na oddziale”.

Oczywiście, parę oddziałów pozostało zamkniętych. Ale personel miał nie obnosić się z kluczami. Obok szpitalu „Szpital dla umysłowo chorych” pojawił się nowy: „Sanatorium dla nerwowo chorych” – w części zakładu Bielawski otworzył leczenie sanatoryjne.

Akcja

Tymczasem w sąsiednich Niemczech do władzy doszli ludzie owładnięci ideą „czystej rasy”. Uważali, że aby zachować „czystość niemieckiej krwi”, trzeba wyeliminować Żydów, Romów, homoseksualistów, a także osoby niepełnosprawne. Związany z nimi demograf George Schmidt ostrzegał, że „wszyscy mniej wartościowi i nieudolni” (ma na myśli upośledzonych umysłowo) „wysysają najlepsze siły żywotne narodu”. Wyliczał, że w ciągu ostatnich 70 lat liczba chorych umysłowo wzrosła w Niemczech o prawie 500 proc., podczas gdy „dziedzicznie zdrowa część naszego narodu” zwięks-

zyła się zaledwie o połowę. „Prosty rachunek dowodzi, że doszliśmy do takiego stanu reprodukcji, że za jakieś 60 lat większość narodu będzie już dziedzicznie bezwartościowa” – demograf rozwijał przed Niemcami ponurą wizję. „Więcej palców dla umysłowo chorych, to więcej nor dla robotników” – urabiał rodaków Goebbels.

„Eliminacja życia niewartego życia”: tak w III Rzeszy nazwano mordowanie chorych psychicznie i inwalidów. Akcja ma kryptonim „T4” – od adresu biura, gdzie ją nadzorowano (przy Tiergartenstrasse 4 w Berlinie).

Adolfowi Hitlerowi zależało, by śmierć była „łaskawa”: chorych zabijano zastrzykami. Jednak było to mało wydajne. Aby rzecz usprawnić i obniżyć koszty, przeznaczonych do eutanazji zaczęto zamykać w szczelnych pomieszczeniach i truć. Było to pierwsze zbiorowe mordowanie ludzi w państwie niemieckim, potem doskonalone.

Taki los miał spotkać również pacjentów szpitali psychiatrycznych i zakładów opieki w podbitej Polsce. Rozkaz wydał Hitler. Brzmiał lakonicznie: Führer zezwolił na „rozszerzenie kompetencji lekarzy”, „żeby osobom według wszelkiego prawdopodobieństwa nieuleczalnie chorym wobec zupełnie krytycznej oceny stanu ich zdrowia można było zapewnić łaskawą śmierć”. Do zapewnienia „łaskawej śmierci” używano często mobilnych komór gazowych: ciężarówkę przypominającą wozy do transportu mebli, do których wpuszczano tlenek węgla. W ten sposób w Rzeszy i na ziemiach okupowanych zginęło ok. 70 tys. ludzi.

Kosten

24 sierpnia 1939 r. – Polsce został tydzień pokoju – kapitan rezerwy Oskar Bielawski został powołany do armii. Część jego pacjentów wypisano do domów; w powietrzu czuło się wojnę (Bielawski zostanie ranny, resztę wojny spędzi w obozie jenieckim dla oficerów).

W Kościanie niemieccy żołnierze zjawiają się 7 września, w zakładzie urządzają szpital polowy. Miesiąc później Kościan nazywa się Kosten i wraz z Wielkopolską staje się częścią III Rzeszy. W szpitalu wciąż są chorzy. Przed Bożym Narodzeniem dyrektorem zostaje doktor Fritz Lemberger, zdeklarowany nazista, a jego prawą ręką nadpielegniarz Wilhelm Hayden. Zmniejsza się racje żywnościowe →

→ chorych, przestaje podawać leki. W ciągu czterech miesięcy umrze prawie 70 pacjentów. Ale najgorsze dopiero przyjdzie.

Kariera

– Był dla Wielkopolski tym, czym Eichmann dla Żydów – Jerzy Zielonka tak mówi o Sturmbannführerze Herbercie Langem z SS. Ten pomorzanin z urodzenia studiował prawo, ale nie zdał końcowych egzaminów. Zamiast kariery prawniczej, wstąpił do NSDAP i SS, aby szybko awansować. Jako 26-latek został podkomisarzem.

Miał 30 lat, żonę i dzieci, gdy w 1939 r. przełożeni wysłali go do okupowanej Polski. Lange rozstrzeliwał w wielkopolskich lasach i miasteczkach Polaków, tworzył obóz w Forcie VII w Poznaniu. W październiku 1939 r. przewiózł tam ciężarówkami pacjentów ze szpitala psychiatrycznego w podpoznańskich Owińskach: esesmani wprowadzili ich do uszczelnionego gliną bunkra, puścili gaz. Tak rozpoczęła się tutaj „Aktion T4”.

Lange miał specjalny oddział: kilkunastu ludzi, których zwerbował spośród takich jak on sadystów w mundurach. Do pomocy (kopanie i zasypywanie grobów) dobrał czterech polskich więźniów (jednym z nich był Henryk Mania, nastolatek z Wolsztyna; będzie o nim jeszcze mowa).

Szpital psychiatryczny w Owińskach, Dziekanka koło Gniezna, Kościan, Warta, dom starców w Śremie, szpital psychiatryczny w Działdowie – razem 10 tys.

pacjentów. Tyłu wymordowali w Kraju Warty i Prusach Wschodnich esesmani Langego.

W 1941 r. Lange trafił do Kulmhof (Chełmna nad Nerem), gdzie zakładał obóz śmierci. Niemcy zamordowali w nim ćwierć miliona wielkopolskich i łódzkich Żydów. W 1942 r. awansował do berlińskiej centrali, w 1944 r. tropił spiskowców, którzy chcieli zabić Hitlera. Zginął w bitwie o Berlin w 1945 r.

Wielu młodych esesmanów szło wtedy podobną drogą kariery: od „Aktion T4” do obozów śmierci.

Zdjęcia

Cofnijmy się do pierwszej wojennej zimy.

Przed Bożym Narodzeniem 1939 r. ludzie Langego przybywają do Kościana, czynią przygotowania. Czas goni: budynki nadają się na koszary i zapadła decyzja, że 20 kwietnia 1940 r. wprowadzi się tu Wehrmacht. Data nieprzypadkowa: 20 kwietnia to urodziny Hitlera.

Roboty dużo. Trzeba sporządzić listy transportów, znaleźć miejsce na zbiorowe groby. Akcja ma się zacząć 15 stycznia i potrwać tydzień.

Ale na razie nic się nie dzieje. Tyle można wyczytać z czarno-białych zdjęć.

Na jednym: dwie pielęgniarki w fartuchach i czepkach. Między nimi kilkunastoletnia zapewne dziewczynka w płaszczu i wełnianej czapce uśmiecha się do obiektywu. Na innym: cztery pielęgniarki pozują z pacjentką na wózku.

Zdjęcia robił kościański fotograf Cielieński. Pielęgniarka, którą widać na obu, to jego żona. Jerzy Zielonka dostał je od ich syna. – Niemcy robili listy wysyłkowe pacjentów i pielęgniarki chciały mieć pamiątkowe zdjęcia, bo były pewne, że chorych gdzieś wywieżą – mówi dziennikarz.

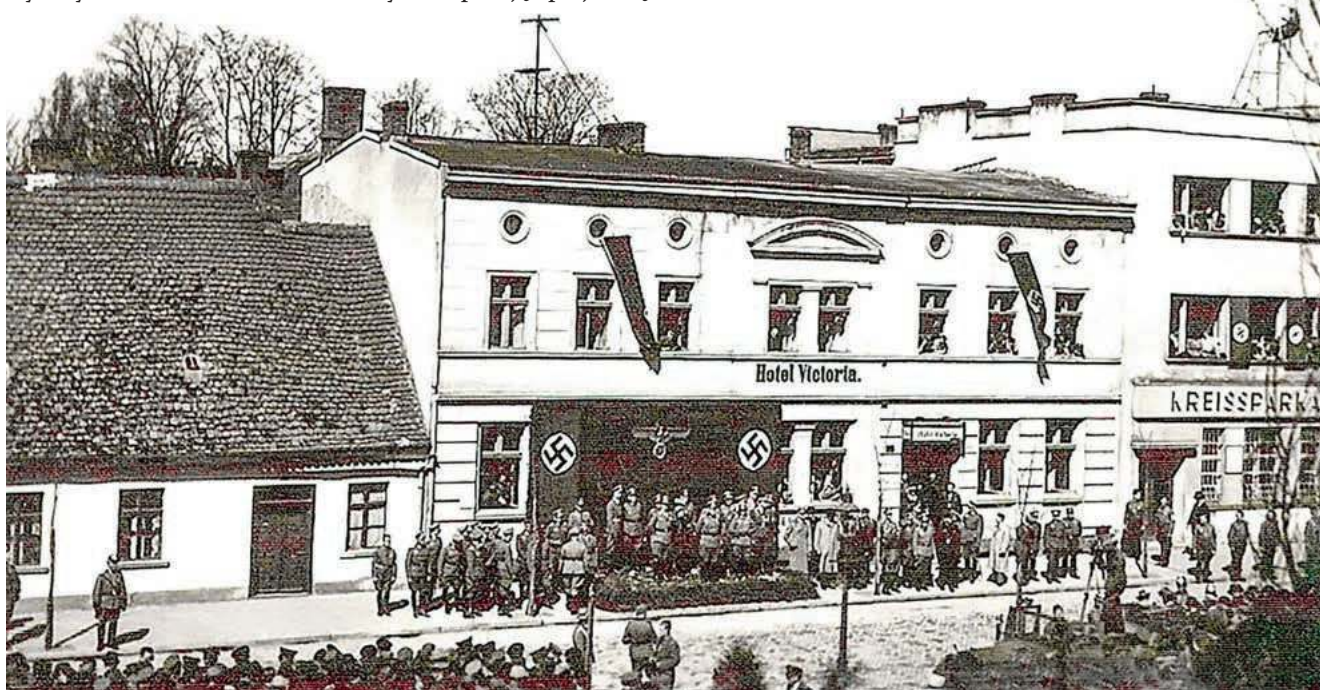
Sesja zdjęciowa odbyła się w grudniu 1939 r., widać śnieg. Atmosfera jest sielankowa.

Relacja

Procedura była taka: pacjentów odurzano zastrzykami morfiny ze skopolaminą, otumanionych umieszczano w ładowni ciężarówki, która jechała do lasu w Jarogniewiczach. O tym, co działo się w lesie, 60 lat później relacjonował Henryk Mania: „Więźniowie przynosili butlę, którą należało położyć koło wozu, po czym butlę przyłączano do węża (względnie dwóch wężów), którego ujście znajdowało się wewnątrz wozu pod ławką. Butlę obsługiwał jeden z esesmanów, który otwierał kurek. Po upływie około pół godziny ten sam esesman otwierał tylne drzwi i z wozu kazano nam wyrzucać zwłoki zagazowanych”.

Za współudział w ludobójstwie (pomagał też Niemcom w Kulmhof) Mania dostał w 2001 r. osiem lat więzienia. Scho-

*Wehrmacht przejmuje obiekty
po byłym zakładzie psychiatrycznym,
Kościan, 20 kwietnia 1940 r.*



rowany, po kilku miesiącach wyszedł na wolność.

– Uśmiercanie odbywało się gazami spalinowymi w czasie jazdy ciężarówką do Jarogniewic – Jerzy Zielonka prostuje zeznanie Mani. – Wiadomo o tym z innych relacji, składanych zaraz po wojnie.

Dziennikarz zgromadził ponad 20 teczek na temat zagłady chorych z Kościana. Znalazł w archiwach nazwiska pacjentów, którzy zginęli w ciągu ośmiu dni stycznia 1940 r., razem 534 osoby.

Ale to nie były wszystkie ofiary.

Transporty

W lutym 1940 r. w Kosten pojawili się nowi pacjenci, z niemieckimi nazwiskami. To „mężczyźni, kobiety i dzieci niedorozwinięte”, których z dworca musiała prowadzić pielęgniarka Gajewska. Z dokumentów wiadomo, że byli to Niemcy i Żydzi ze szpitali w Niemczech: z Lauenburga, Szczecina, Treptow, Ucker-munde – razem 2750 osób. Zabito ich tak samo jak wcześniej Polaków.

Czemu Kościan wybrano na miejsce zagłady niemieckich obywateli?

– Bo tu byli odcięci od rodzin i łatwiej było ukryć zbrodnię – mówi Jerzy Zielonka. – Kościan to jedno z najważniejszych miejsc w Europie, gdzie likwidowano chorych umysłowo – dodaje (choć nie największe, na zamku Sonnenstein koło Drezna zginęło kilkanaście tysięcy chorych).

20 kwietnia 1940 r. do szpitalnych budynków wprowadził się planowo Wehrmacht.

Maskowanie

Anneliese Erna Kubitz miała 4 lata i 8 miesięcy, gdy o godzinie 7.35 zmarła na zapalenie płuc. 50 minut później na to samo mieli umrzeć jednocześnie Hermann Carl Wilhelm Paul Lewerenz (lat 38) i Ottilie Luise Selma Köbke (lat 39). Łącznie tego dnia w Kosten miało umrzeć 15 osób. W inne dni podobnie, jakby w zakładzie wybuchła epidemia.

Niekompletne listy niemieckich pacjentów Jerzy Zielonka znalazł wraz z kolegą w piwnicy kościańskiego urzędu miasta. – Prawie 300 fałszywych aktów zgonów. To był zwrot w poszukiwaniach – opowiada.

Na pozółkłych kartkach dostrzegł, że ktoś je ponumerował ołówkiem. Nazwiska zaczynające się na pierwsze litery alfabetu miały mniejsze liczby, a te zaczy-



Odnalezienie zbiorowych mogił ofiar egzekucji, las w Jarogniewicach-Głuchowie, lato 1945 r.

nające się na dalsze litery większe. – Czyli akty zgonów wystawiano alfabetycznie – mówi dziennikarz.

Na podstawie tych liczb Zielonka doszedł do jeszcze jednego wniosku: – To dowód, że w Kościanie zgładzono nie tyśiąć czy półtora tyśiąca, ale ok. 2750 niemieckich i żydowskich chorych z innych szpitali.

Fabrykowaniem aktów zgonu zajmowało się specjalne biuro w Berlinie (*Zentrale für Krankenverlegung* – Centrala ds. Przenoszenia Chorych), jego filia była też w Kosten.

Zielonka: – Po to, żeby zamaskować zbrodnię, która była tajemnicą państwową.

Maskowanie wyglądało tak: rodziny, jeśli chciały, mogły przyjechać do Kosten, odebrać akt zgonu i pójść na cmentarzyk koło zakładu, by na grobie dziadka czy dziecka zapalić znicz. Mogły odjechać z poczuciem, że oddali ostatnią przysługę. Czasem dostawali urnę. Jednak akty zgonów były fałszywe, w grobach nikt nie leżał, a w urnie nie było prochów bliskiej osoby.

W sierpniu 1941 r. „Aktion T4” została oficjalnie wstrzymana przez władze III Rzeszy, a przyczyniły się do tego protesty duchownych katolickich i ewangelickich. Ale tylko oficjalnie: „eliminacja życia niewartego życia” trwała, tylko zamiast gazowania pacjenci byli zabijani lekami i głodzeni. Szacuje się, że w latach 1939-45 zginęło łącznie od 100 do 200 tys. upośledzonych umysłowo i niepełnosprawnych.

Paciorki

Różańce porozwieszał na sosnach i brzoźkach. Były wykonane z białych paciorków.

Kończyła się pierwsza wojenna zima, gdy leśniczy Stefan Janasik odkrył trzy miejsca, trzy polany. Prowadziły do nich rozjeżdżone ślady samochodów. Śnieg

wokół był brudny, zadeptany. Na środku widać było podwyższoną ziemię, jakby ktoś ją świeżo usypał.

Gdy śnieg odtajał, na ziemi leśnik znajdował guziki, książeczki do nabożeństwa, kawałki chleba – a także te różańce. Czy były własnością np. pacjentów z jakiejś kliniki prowadzonej przez Kościół katolicki i zlikwidowanej? O tym można tylko spekulować.

Janasik musiał uważać, Niemcy patrolowali okolicę.

W czerwcu 1940 r. w las wjechała znów ciężarówka, może 20 cywili i kilku esesmanów. Cywile wzięli łopaty, równali ziemię, która zapadła się po zimie.

W lutym 1944 r. Janasik znów był świadkiem obecności Niemców, widział dym. Po wojnie zeznał: „Po jakichś dwóch tygodniach byłem w lesie na trzech grobach i zauważyłem, że wszystkie groby są »odświeżone« i zalesione”. Powiedział też śledczym, że drzewa były opalone po wierzchołki.

Później ustalono, że esesmani wydobyli szczątki zagazowanych cztery lata wcześniej ludzi i spalili w przewoźnym krematorium, a prochy rozsypali po lesie.

Gdy po wojnie doktor Bielawski wrócił do Kościana, na cmentarzu i w jarogniewickim lesie nakazał upamiętnić ofiary, w tym swoich dawnych pacjentów.

ŚRODEK OKUPACJI. Anna Gołąbek z Rawicza pisze do zarządu cmentarzy w Kosten: chce ekshumować zwłoki brata Stefana Kudlińskiego i pochować w grobie rodziców na rawickim cmentarzu. Dostaje odpowiedź, że „w czasie wojny zezwolenia się nie udziela”. Oraz zapewnienie, że „po zakończeniu wojny wniosek będzie ponownie rozpatrzony”.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z prywatnego archiwum Jerzego Zielonki.

SKĄD SIĘ BIORĄ RYTUAŁY

Dzięki dekadom badań antropologów dysponujemy opisem setek rytuałów występujących w rozmaitych kulturach.

Nie dostarczyły one jednak spójnej teorii, która wyjaśniałaby ich pochodzenie.

KASPER KALINOWSKI

WYOBRAŻ SOBIE, ŻE Z WŁASNEJ WOLI skaczesz w miejscu jak najwyżej. Nawet przez kilka dni, do utraty sił. Skakanie to jedyny sposób, aby uznano cię za pełnowartościowego mężczyznę i zezwolono na założenie rodziny. W trakcie takiej „skaczącej ceremonii” dowiadujesz się również, jak dbać o zwierzynę, chronić rodzinę i być dobrym wojownikiem.

To jeden z rytuałów praktykowanych do dziś przez lud Masajów, nazywany *adamu*. Przypomina obecny w wielu kulturach rytuał przejścia. Ich ogólny schemat jest podobny: dokonujesz wielu wyrzeczeń – czasem są to samookaleczenia, czasem odosobnienie – aby coś zyskać i zacząć pełnić nową rolę w społeczności.

Choć dla Europejczyka XXI wieku tego rodzaju zachowania mogą wydawać się egzotyczne, antropolodzy twierdzą, że takie zjawisko jak rytuały występuje we wszystkich kręgach kulturowych. Tylko dlaczego?

Narodziny bungee

Wydaje się, że Masajowie i tak mają więcej szczęścia niż młodzi mężczyźni z wioski Bunlap na południowo-wschodnim Pacyfiku. Muszą wziąć udział w rytuale nazywanym *gkol*. Należy obwiązać sobie kostki lianą i skoczyć w dół – z kilkunastu metrów. Na prowizorycznej drewnianej konstrukcji.

Znamy nawet początki tego rytuału. Według legendy zawdzięczamy go kłótni mężczyzny o imieniu Tamalie z żoną, która po sprzeczce wspięła się na drzewo – figowiec bengalski – i nie mogła zejść, bo zaplątała się w lianę. Tamalie wdrapał się za nią, po czym obydwójce wykonali romantyczny skok w dół. Przeżyła – dzięki lianom – tylko kobieta. Opowieść o tej małżeńskiej kłótni utrwaliła się wśród miejscowych i przyjęła formę rytuału. Gdy studenci z Uniwersytetu w Oksfordzie w 1979 r. obserwowali te dziwaczne skoki, postanowili stworzyć ich bezpieczną, zachodnią wersję. Tak powstało *bungee*.

Gdyby fenomen rytuałów dotyczył tylko młodych mężczyzn, sprawa byłaby o wiele prostsza. W ich przypadku brutalność rytuałów można by tłumaczyć doborem płciowym. Tą bezlitosną grą, w którą gramy wszyscy, a kto przegrywa – sypia

ERIC LAFFORGUE / ART IN ALL OF US / GETTY IMAGES



Członkowie plemienia Masajów biorą udział w „skaczącej ceremonii”. Tanzania 2015 r.

sam. Psycholodzy ewolucyjni twierdzą, że zachowania ryzykowne mężczyzn są – w pewnych okolicznościach – cenione przez kobiety. W jednym z badań Susan Kelly i Robin Dunbar wykazali, że takie cechy mężczyzn jak odwaga czy skłonność do podejmowania ryzyka oceniane są przez kobiety jako bardziej atrakcyjne niż altruizm i awersja do zachowań ryzykownych – przynajmniej w przypadku krótkotrwałych związków.

Prawdopodobnie odległym echem tej preferencji jest to, że młodzi mężczyźni rzadziej zapinają pasy w samochodzie i dominują na szpitalnych oddziałach ratunkowych. Deklarują także większy poziom zadowolenia z podejmowania takich zachowań – co może być ewolucyjną odpowiedzią na preferencje kobiet.

Rytuały to jednak nie tylko domena młodych mężczyzn. Uczestniczą w nich także kobiety, osoby młode i stare. Występują w grupach religijnych, na uniwersytetach i w korporacjach. W szkołach i na stadionach. W społecznościach zbieracko-łowickich i tajnych organizacjach. Towarzyszą takim wydarzeniom jak śmierć, narodziny, zmiana statusu społecznego czy dołączanie do grupy. Nie wszystkie wymagają wielkich wyrzeczeń lub są bolesne, jednak nawet takie zdarzają się w nowoczesnych kulturach. Pomyślmy choćby o „chrzcinach” na koloniach dla dzieci albo w organizacjach studenckich czy fali w wojsku, którą tak trudno wyeliminować.

Koszty i korzyści

Z ewolucyjnego punktu widzenia najciekawsze są te rytuały, które wiążą się z ponoszeniem przez uczestników istotnych kosztów – np. z bólem czy narażaniem własnego zdrowia. Przypominają pod tym względem tzw. kosztowne sygnały obecne w świecie przyrody. Jednym z nich jest pawie ogon, który pełni ważną funkcję w przyciąganiu samic. Jest jak reklama stanu zdrowia osobnika, który potrafi przeżyć, pomimo utrudniającego poruszanie i przyciągającego drapieżniki ozdobnego ogona. Tęgo rodzaju zjawiska analizował izraelski biolog Amotz Zahavi. Jego ustalenia określa się mianem teorii kosztownych sygnałów (lub handicapu). Jak wynika z modelu, aby kosztowny sygnał mógł wyewoluować, musi być „uczciwy” – czyli musi prawdziwie świadczyć o jakości genetycznej danego osobnika (nieuczciwe sygnały – np.

piękne ogony marnej jakości samców – nie przetrwają konfrontacji z brutalną ekologiczną rzeczywistością).

W takich ramach pojęciowych można analizować także rytuały. Również one wiążą się z kosztownymi dla jednostki zachowaniami – jak głodówka czy okaleczanie własnego ciała. Korzyści wynikające z posiadania przez pawia atrakcyjnego ogona są oczywiste. A o jakich zyskach z uczestnictwa w rytuałach można mówić?

Problem jest złożony, a odpowiedź zależy od specyfiki danego rytuału, ale możemy zwrócić uwagę na kilka kwestii. Po pierwsze, psycholodzy społeczni zauważyli, że wysokie koszty przystąpienia do danej grupy (związane z uczestnictwem w trudnym czy bolesnym rytuale) przekładają się na większą motywację jednostki, by w niej pozostać.

Po drugie, rytuały zawierają w sobie element naśladowania i synchronizacji zachowań. Te dwa zjawiska wywierają zaś pozytywny wpływ na spójność grupy i współpracę między jednostkami. Także inne elementy rytuałów mogą pełnić podobną rolę. Martin Lang z Uniwersytetu Harvarda zaobserwował np., że rytm ma potencjał do wzmacniania relacji społecznych i może służyć jako mechanizm zwiększający pozytywne postawy społeczne. W jego eksperymencie pary osób słuchały dźwięku rytmicznego, nierytmicznego oraz białego szumu, a następnie uczestniczyły w różnego rodzaju wzajemnych interakcjach. Tylko w przypadku par słuchających rytmicznych dźwięków zaobserwowano zwiększenie współpracy.

Zwracano również uwagę na to, że udział w wyczerpującym rytuale rozładowuje stres – podobnie jak wielokrotnie powtarzane czynności w zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych (traktowane zresztą często jako pewien rodzaj rytuału).

Rytuały ułatwiają także identyfikację członków własnej grupy. Pozwalają na odróżnianie „swoich” od „obcych”. Jak się okazuje, nawet niemowlęta oczekują, że członkowie grupy własnej będą zachowywać się podobnie do nich, i są bardziej skłonne naśladować ich niż członków innych grup. W eksperymencie przeprowadzonym przez zespół Naiqi G. Xiao, gdy osoba dorosła była tej samej rasy co niemowlę (około 7. miesiąca życia), dziecko chętniej podążało za jej oczami – samo spoglądało na obiekt, na który patrzyła osoba dorosła (oczywiście niekoniecznie

świadczy to o wrodzonych preferencjach rasowych – małe dzieci mogą po prostu częściej mieć styczność z przedstawicielami własnej rasy).

Mityczny rodowód

Jeszcze w latach 60. XX w. wielu antropologów uważało, że rytuały wywodzą się wprost z mitów obecnych we wszystkich kulturach. W słynnym wykładzie wygłoszonym w 1971 r. na Uniwersytecie w Soundbite antropolog Claude Lévi-Strauss zauważył jednak, że ludzie tworzą rytuały po to, by skompensować luki i niedopowiedzenia występujące w mitologii. Jego zdaniem rytuał wcale nie wspomaga myślenia mitycznego, a wręcz je odwraca. Między mitem a rytuałem panuje taki sam kontrast jak między życiem a myślą. Przekazywanym ustnie mitom brakuje logicznej i empirycznej wierności.

Takie braki mogą mieć jednak sens. Według Ary Norenzayana niewielki stopień kontrintuicyjności mitów może sprzyjać ich zapamiętywaniu. W naszej pamięci łatwiej zapisują się opowieści, które wykraczają poza prawa fizyki – jak przemiana wody w wino. Jednocześnie w kulturach, które nie wynalazły pisma, mity są jednym z nielicznych sposobów na gromadzenie i przekazywanie wiedzy.

Dotyczy to także samych rytuałów. Antropolog Harvey Whitehouse dzieli je na dwa rodzaje. Pierwsze określane są jako „imaginacyjne” – skupiają się na wywołaniu silnych przeżyć emocjonalnych. Wysoki poziom pobudzenia ma przekładać się na transfer informacji do pamięci epizodycznej – w ten sposób zapamiętuje się dużą liczbę detali z danego wydarzenia.

Jeśli rytuał przerodzi się w czynność rutynową, Whitehouse określa go jako „doktrynalny”. Uczestnicy takiego rytuału wykonują pewne działania niemal automatycznie, a ich treść oraz szczegóły nie są zapamiętywane. Rytuały doktrynalne kodowane są w pamięci semantycznej (czyli zbiorze wiedzy o świecie).

Rytuały „doktrynalne” odnoszą się do praktyk religijnych – stanowią one, obok opowieści mitycznych, rdzeń wszystkich wierzeń religijnych. Dlatego nie sposób analizować ewolucji zjawiska rytuałów w oderwaniu od religijności i mitów – nawet mimo tego, że dzisiejsze rytuały występujące w kulturach nowoczesnych mogą wymykać się ze sfery *sacrum*.

Współczesne wyjaśnienia powszechności mitów i wierzeń religijnych w ludzkich →

→ kulturach odwołują się do kilku przyczyn – m.in. do ich pozytywnego wpływu na funkcjonowanie grupy (oraz jej szanse w rywalizacji z innymi grupami). Wniośki takie płyną m.in. z badań Richarda Sosisa i Erica R. Breslera, którzy analizowali dane historyczne ze społeczności XIX-wiecznych zamieszkujących USA.

Zwraca się także uwagę na specyficzną konstrukcję ludzkiego umysłu, który zdaje się być z natury skłonny np. do doszukiwania się ciągów przyczynowo-skutkowych pomiędzy rozmaitymi zjawiskami, także tam, gdzie one nie występują.

Doskonale obrazuje to słynny eksperyment przeprowadzony przez Fritza Heidera i Marianne Simmel w 1944 r. Osobom badanym wyświetlano na ekranie koła oraz trójkąty, które poruszały się w sposób przypominający przepychanki i wzajemną walkę o miejsce. Większość ludzi (wyjątkiem są osoby autystyczne) automatycznie przypisuje kształtom geometrycznym cechy typowo ludzkie – emocje, jak np. złość, oraz motywacje, jak chęć zajęcia miejsca.

Nasz umysł wydaje się więc dobrze przygotowany na wchłonięcie mitów i fascynację uczestnictwem w rytuałach.

Małpy i gęsi

Niektórzy antropolodzy poszukują ewolucyjnych korzeni rytuałów znacznie głębiej. Zdaniem Scotta Atrana, antropologa z Uniwersytetu w Oksfordzie, rytuały, których struktura opiera się na powtórzeniach i rytmicznej synchronizacji czynności, obecne są w całym króle-

Szympansy wrzucają kamienie do wydrążonych drzew i wydają okrzyki.

Zdaniem niektórych badaczy mamy do czynienia z rytuałem.

stwie zwierząt. Przywołuje on opisy pionierów etologii, takich jak Konrad Lorenz i Niko Tinbergen. Traktowali oni rytuały w świecie przyrody jako instynktowne wzorce motoryczne, które zaczynały pełnić funkcję komunikacyjną i odgrywać ważną rolę społeczną.

Do takich „wzorców motorycznych” możemy np. zaliczyć zachowania pojedynkowe czy godowe – jak tańce rozmaitych ptaków albo niebezpieczne pojedynki jeleni. Jednym z najciekawszych zjawisk opisanych przez Lorenza był tzw. ceremoniał „triumfalnego krzyku” obecny u wielu gatunków ptaków. U gęsi gęgawej rytuał ten rozpoczyna silniejszy osobnik w parze czy grupie – zwykle samiec – który wykonuje prawdziwy lub pozorowany atak na prawdziwego lub „wymagowanego” wroga (jego rolę może odgrywać np. leżąca w trawie gałązka). Następnie, po prawdziwym lub pozorowanym triumfie, osobnik wydaje okrzyk służący jako powitanie z partnerem lub członkami rodziny, który łączy się do krzyku. Zdaniem Lorenza ry-

tuał ten odgrywa istotną rolę, ponieważ pozwala dać upust agresji (zapobiegając jej wewnątrz „wspólnoty triumfalnego krzyku”) i cementuje więzi między osobnikami.

Bardziej tajemniczych obserwacji dokonała grupa badaczy pod kierownictwem Hjalmara S. Kühla z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej Maxa Plancka. W 2016 r. udokumentowali nieznane wcześniej wśród szympansov zachowanie. Małpy wrzucały kamienie do wydrążonych drzew, wydając przy tym okrzyki. Zjawisko to nie doczekało się jeszcze satysfakcjonującego wyjaśnienia. Zdaniem niektórych badaczy otwiera nawet dyskusję o możliwości występowania złożonych rytuałów wśród naszych najbliższych krewnych.

Historyczne odseparowanie antropologii od psychologii skutkowało głównie tym, że antropolodzy zgromadzili olbrzymią ilość danych opisujących różnicowanie rytuałów, wśród których brakowało jednak prób naukowego wyjaśnienia istnienia tego fenomenu. Za obszernymi opisami nie stoi jedna, spójna teoria. Wydaje się, że nowe światło na zjawisko rytuałów może rzucić paradygmat ewolucyjny.

Aby w pełni zrozumieć ich znaczenie, należy uwzględnić ich różnorodność, rodowód, ewolucję kulturową, informację, jakie niosą, oraz rolę, jaką odgrywają w cementowaniu ludzkich społeczeństw. To długa i ciekawa droga, a wiele pytań wciąż pozostaje otwartych.

© KASPER KALINOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



LONDYN

W minioną sobotę 7 marca MICHAŁ OLSZEWSKI poprowadził w Londynie spotkanie z uczniami klas ósmych i licealnych wokół „Domu dziennego, domu nocnego” Olgi Tokarczuk i „Zimy” Andrzeja Stasiuka. Lekcja odbyła się na zaproszenie Szkoły Polskiej przy Ambasadzie RP.

KRAKÓW

W środę 11 marca GRZEGORZ JANKOWICZ będzie rozmawiał o poezji Bolesława Leśmiana z licealistami z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Mieczysława Karłowicza w Krakowie.

BOCHNIA

Tego samego dnia w Bochni odbędą się spotkania z uczniami z Zespołu Szkół nr 1 im. Stanisława Staszica. MATEUSZ HOHOL poprowadzi lekcję o „Pułapkach myślenia” Daniela Kahnemana, ŁUKASZ KWIATEK – warsztat wokół „Wieku empatii” Fransa de Waala, a TOMASZ MILLER – dyskusję o książce „Interstellar i nauka” Kipa Thorne’a.

Bocheńskie „Lekcje...” odbywają się w ramach cyklu warsztatów popularnonaukowych dla szkół średnich „Wielkie Pytania dla Polski”. Spotkania prowadzone są przez naukowców z Centrum Kopernika UJ.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Geniusz bez doktoratu

TOMASZ MILLER

W wieku 96 lat zmarł Freeman Dyson, wymykający się schematom i klasyfikacjom wszechstronny uczony, którego naukowe wizjonerstwo graniczyło z fantastyką.



Freeman Dyson

GDY KILKA LAT TEMU POPROSZONO DYSONA o podsumowanie jego kariery naukowej, odpowiedział z typową dla siebie skromnością: „Studiowałem matematykę (...) i po prostu stosowałem ją do najróżniejszych zagadnień, co doprowadziło mnie najpierw do fizyki, a potem także do innych dziedzin, takich jak inżynieria, a nawet trochę biologii, czasem odrobina chemii”.

Urodził się w 1923 r. w zamożnej brytyjskiej rodzinie. Ponoć już jako cztero-latek usiłował obliczyć liczbę atomów w Słońcu. W wieku 15 lat samodzielnie nauczył się rosyjskiego, aby móc czytać najlepszy ówczesny podręcznik z zaawansowanej teorii liczb. Już wtedy słuchał wykładów na Uniwersytecie w Cambridge.

Gdy miał 19 lat, przydzielono go do cywilnej pracy w RAF-ie, gdzie zajmował się optymalizacją nalotów bombowych – czyli, jak stwierdził po latach, „obliczaniem najekonomiczniejszych sposobów mordowania”. Po wojnie został zagorzałym pacyfistą.

Po obronie licencjatu z matematyki zmienił dziedzinę i kontynent, rozpoczynając studia doktoranckie z fizyki na Uniwersytecie Cornella w USA. Poznał tam Richarda Feynmana, ledwie pięć lat starszego geniusza, który właśnie wymyślił, jak stworzyć w pełni kwantową teorię światła i materii. Nad sformułowaną tej tzw. elektrodynamiki kwantowej (QED) uczeni łamali sobie głowę od 20 lat. Poza Feynmanem, niezależne podejścia do QED rozwinęli Ameryka-

nin Julian Schwinger oraz Japończyk Shin'ichirō Tomonaga. Niestety pomysł Feynmana, oparty na dziwnych diagramach, cierpiał na poważne problemy matematyczne, choć jednocześnie pozwalał uzyskiwać wyniki znacznie szybciej niż zawiły formalizm Schwingera-Tomonagi.

Była to zagadka w sam raz dla Dysona. Po kilkunastu miesiącach intensywnej pracy 25-letni doktorant nie tylko matematycznie „uzdrowił” i usystematyzował diagramy Feynmana, ale także wykazał, iż podejścia Schwingera, Tomonagi i Feynmana są w istocie jedną i tą samą teorią wyrażoną na trzy różne sposoby. W ten sposób utorował tym trzem fizykom drogę do Nagrody Nobla. Dyson, jako czwarty współtwórca QED, na Nobla już się „nie załapał”.

W 1952 r. otrzymał stanowisko profesora fizyki w prestiżowym Instytucie Studiów Zaawansowanych w Princeton, gdzie pracował do końca życia. Nigdy nie ukończył studiów doktoranckich. Żartował, że jest „wiecznym doktorantem”.

W pogoni za fascynującymi problemami nie bał się wkraczać w coraz to nowe dziedziny. W latach 50. był współtwórcą superbezpiecznego reaktora atomowego małej mocy zwanego TRIGA. Reaktory tego typu stosuje się do dziś m.in. do produkcji izotopów medycznych. Równolegle zaangażował się w tajny rządowy projekt Orion, którego celem było stworzenie statków kosmicznych napędzanych eksplozjami bomb atomowych. Choć brzmi to jak czyste sza-

leństwo, obliczenia i wczesne testy z użyciem ładunków konwencjonalnych były całkiem obiecujące. Dyson, który sam chciał być członkiem załogi statku, kreślił już plany lotów międzyplanetarnych (Mars w roku 1965, Saturn w 1970), ale projekt upadł z chwilą przyjęcia w 1963 r. zakazu detonowania bomb jądrowych w atmosferze i przestrzeni kosmicznej. Co ciekawe, Dyson był gorącym zwolennikiem tego traktatu.

Anulowanie projektu Orion nie przeszkodziło mu snuć dalekosiężnych wizji kosmiczno-inżynierskich. Rozważane przez niego hipotetyczne ogromne konstrukcje okalające gwiazdy i przechwytyjące ich energię – nazwane potem „sferami Dysona” – na stałe zagościły w literaturze *science fiction*. Do dziś przeczesuje się niebo w poszukiwaniu tego typu sfer zbudowanych przez obce cywilizacje.

Wiele uwagi poświęcał relacjom między rozwojem techniki a etyką i sprawiedliwością społeczną. Wiązał wielkie nadzieje z transformacją energetyczną, polegającą na odejściu od „szarej” technologii opartej na paliwach kopalnych do „zielonej” wykorzystującej źródła odnawialne, racjonalnym użytkowaniu gruntów i inżynierii genetycznej. W upowszechnieniu biotechnologii upatrywał szansy na bardziej sprawiedliwy podział światowych bogactw.

Znany był ze sceptycyzmu wobec modeli klimatycznych i tego, czy obserwowane zmiany klimatu faktycznie są „katastrofą”. Jak sam mówił, uważał się za „naukowego heretyka”, którego rolą jest próba podważania konsensusu (powtarzał, że „ciekawiej jest się mylić, niż być wyzbytym z opinii”). Według jego biografa, Kennetha Browera, Dyson posiadał wielką wiarę w ludzkość oraz w moc techniki, która wsparta humanistyczną etyką pozwoli sprostać wszelkim wyzwaniom.

Uważał się za „praktykującego, ale niewierzącego” chrześcijanina, który w religii i nauce widział sprzymierzeńców w walce o dobro ludzkości. Odbierając w 2000 r. Nagrodę Templetona, mówił: „Bóg ewidentnie kocha różnorodność. Być może Wszechświat został skonstruowany w myśl zasady maksymalnej różnorodności, zgodnie z którą prawa przyrody (...) są takie, by świat był możliwie najciekawszy”.

Dla Dysona na pewno był najciekawszy. ©

KTO RZĄDZI ŚWIATEM

Jest autorem bestsellerów, gwiazdą filmów dokumentalnych i ekspertem rozchwytywanym przez biznes i politykę. Wydaje się, że Niall Ferguson podpisał cyrograf z diabłem.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

NASZ BOHATER POWIEDZIAŁ: „RONNIE, dziękuję ci bardzo za to wprowadzenie! Dziękuję też za wspomnienie o tym, że moja żona jest bardziej interesującą osobą ode mnie”. Śmiech sali, odgłosy radosnego ożywienia. Jest 9 stycznia 2020 r. Publiczność zgromadzona na szczycie Asia Society Hongkong wyraźnie cieszy się, że Niall Ferguson wreszcie wkroczył na mównicę, zastępując na niej Ronniego C. Chana – przewodniczącego stowarzyszenia, któremu wprowadzenie gościa wieczoru zajęło niemal dziesięć minut. „Wiesz, Ronnie, kiedy usłyszałem, jaką opłatę pobierasz za bilety na to wydarzenie, byłem w szoku. Zwłaszcza że nie dostaję nawet jednego procenta z tego. A pierwotna idea Hong Kongu była przecież taka, że Szkoci wykorzystywali Chińczyków, a nie odwrotnie!”.

Oto Niall Ferguson w pigułce. Dowcipny, doskonale ubrany i cholernie świadomy swojej wartości. A między błyskotliwe analizy przepływów pieniężnych i sieci społecznych zawsze zdoła wpleść jakąś uwagę, która słuchającym każe się zastanowić, czy ten pełen dystansu do siebie Szkot przypadkiem faktycznie nie tęskni za czasami, gdy nad Imperium Brytyjskim nigdy nie zachodziło słońce, a poddani każdego dnia z uśmiechem pracowali ku chwale Korony.

Czytelnicy w Polsce zyskali właśnie okazję do zapoznania się z najnowszą książką Fergusona. „Rynek i ratusz” to niewątpliwie pozycja warta lektury. Uważnej.

Dzień z życia gwiazdy

Ferguson zaczyna od następującej historii. W dniu, w którym kończył pierwszą wersję przedmowy do książki, uczestniczył w wydarzeniu organizowanym przez byłego burmistrza Nowego Jorku, gdzie zaprosił go redaktor naczelny agencji Bloomberg News, z którym znali się jeszcze z czasów studiów na Oxfordzie. Ferguson starannie wymienia, z kim miał okazję przywitać się i porozmawiać podczas wydarzenia, a następnie wyjaśnia, czemu go właściwie zaproszono: „Sam fakt, że pracowałem na wielu znanych wyższych uczelniach – takich jak Oxford, Cambridge, New York University, Harvard czy Stanford – automatycznie gwarantuje mi przynależność do licznych sieci absolwentów tych uniwersytetów”. Ale to dopiero początek.

„Jestem też członkiem trzech różnych klubów w Londynie i jednego w Nowym Jorku. No i należę do rad nadzorczych trzech firm albo instytucji” – kontynuuje. Na marginesie Ferguson nie omieszkał wspomnieć, że jest też właścicielem firmy doradczej i firmy producenckiej:

MATT CARR / GETTY IMAGES

„Kiedy się okazało, że kariera akademicka nie niesie ze sobą takich profitów, jakich najwyraźniej spodziewały się po mnie kobiety mojego życia, zacząłem się rozglądać za innymi źródłami dochodu (...). To właśnie przedsiębiorczość najlepiej odpowiadała mojemu zamiłowaniu do wolności”. I wreszcie Ferguson był wtedy także ojcem czworga – a teraz już pięciorga – dzieci („ale mój wpływ na przynajmniej troje z nich – nie mówiąc już o realnej władzy – jest w zasadzie minimalny”). Co z tego wynika? Po co Ferguson wymienia wszystkie te zaszczyty, przynależności i powiązania? Czy podczas wydarzenia





Niall Ferguson, Nowy Jork, 2011 r.

nieoczekiwanie spotkał jedno ze swych dzieci w towarzystwie dawnego klienta, który okazał się też kolegą z Oxfordu? Nic z tych rzeczy!

Anegdota o spotkaniu u burmistrza po prostu się urywa bez żadnej puenty. A mimo to stanowi idealne wręcz wprowadzenie do książki. Bo taki właśnie klucz „Rynek i ratusz” proponuje do wyjaśniania naszej przeszłości i teraźniejszości. To, kim jesteś, nie zależy od twoich cech charakteru, ani dokonań, ani nawet od stanu posiadania. Zależy przede wszystkim od ludzi, których znasz. I od tego, kogo z kolei znają ci ludzie. Jeste-

śmy zdeterminowani przez pozycję społeczną, ale niekoniecznie w ścisłe hierarchicznym sensie. Ważne rzeczy mogą przydarzyć się nie tylko wodom i bogaczom, ale także kluczowym łącznikom – osobom pośredniczącym między różnymi grupami.

Hierarchia i sieć

Wielopiętrowa wieża (ratusz) przeciw otwartemu placowi (rynek), na którym spontanicznie nawiązują się transakcje. Na tej dychotomii opiera się cała książka.

Fergusona interesują przede wszystkim sieci relacji społecznych, w których

węzłami są poszczególne osoby. Najpotężniejszą siłą tworzącą sieci społeczne jest homofilia, czyli zasada „ciągnie swój do swego”. Najchętniej otaczamy się ludźmi pod jakimiś względami podobnymi do nas. Jednak w miarę rozrastania się struktur społecznych sieci stają się coraz bardziej skomplikowane. Jedne są gęstsze, inne mają mniej połączeń. W samych sieciach występują też węzły lepiej i gorzej skomunikowane z pozostałymi.

A teraz niespodzianka. Ferguson już na samym początku przyznaje, że hierarchia także jest pewną siecią. Tyle że specyficzną – taką, która ma postać korzeni →

→ drzewa. Od jednego punktu na szczycie rozchodzą się kolejne rozgałęzienia. Im niżej ktoś znajduje się w strukturze, tym mniejsza jest jego istotność. Węzły na samym dole nie komunikują się bezpośrednio ze sobą, tylko raportują w górę do przełożonych. W ten sposób cała władza i decyzyjność skupiają się na samym szczycie. To struktura wojska czy korporacji, ale też – jak przekonuje Ferguson – rozbudowanego aparatu administracyjnego współczesnego zachodniego państwa.

Sieci i hierarchie mają swoje słabe i silne strony. Rozproszona sieć adaptuje się szybko, hierarchia – wolno. Hierarchia z kolei gwarantuje bardziej trwały porządek, nadając się też lepiej do przeprowadzania operacji na monumentalną skalę.

Droga do ratusza

Ferguson ma dopiero 56 lat. W silnie zhierarchizowanym świecie nauk humanistycznych to w zasadzie wiek młodzieńczy. Aż trudno w to uwierzyć, bo statusem gwiazdy Szkot cieszy się już od ponad dwóch dekad.

Specjalizuje się w historii gospodarczej. Stąd zapewne jego niezwykle ożywczą inklinacja, by historię opisywać poprzez kryteria rozumowe i możliwie ilościowe. Pod jego piórem logika dziejów okazuje się raczej mechanistyczna niż metafizyczna. Nie ma tragedii, są tylko błędy w obliczeniach.

Swoje badania Ferguson rozpoczął w przepastnych hamburskich archiwach, gdzie – jak sam przyznaje po latach – przytłoczyły go i zanudziły niekończące się dokumenty finansowe. Na szczęście za sprawą przypadkowej znajomości otrzymał dostęp do listów jednego z dawnych potentatów hamburskiej bankowości. Prywatna korespondencja pozostanie jego ulubionym materiałem badawczym po dziś dzień. To właśnie tam, podczas pracy nad rozprawą doktorską, narodzi się wiara Fergusona w znaczenie sieci prywatnych relacji jako przedmiotu badań i sposobu na życie. Ferguson jest doskonałą ilustracją tezy, w którą głęboko wierzę, choć trudno ją udowodnić, bo przybiera różne, zaskakujące często formy: badacz staje się ostatecznie podobny temu, co bada.

Rozprawa doktorska Szkota zaowocowała genialną publikacją na temat przy-

Historia świata przedstawiona w „Rynku i ratuszu”

okazuje się naprzemiennym następstwem okresów, w których dominowały hierarchie, i takich, gdy istotniejsze były sieci.

czyn inflacji w Niemczech na przełomie XIX i XX stulecia. Niedługo potem Ferguson opublikował też obszerną biografię rodziny Rothschildów. Prawdziwym przełomem w jego karierze była jednak książka „The Pity of War” z 1998 r., w której 34-letni wówczas historyk zastosował metody analizy ekonomicznej do wyjaśnienia geopolitycznych przyczyn I wojny światowej. W publikacji stwierdza między innymi, że wojna mogła skończyć się szybciej i lepiej, gdyby Wielka Brytania nie wtrąciła się w sprawy kontynentu. Zabicie jednego wroga kosztowało państwa Ententy średnio 36 485, 48 dolarów, podczas gdy Niemcy i ich sojusznicy potrzebowali na uśmiercenie przeciwnika tylko 11 344, 77 dolarów. Ponad trzy razy taniej. Rachunek jest prosty. Byłoby sensowniej, gdyby Niemcy wygrali.

Trudno się dziwić, że takie podejście do historii wywołało burzliwą reakcję. Starsi koledzy Fergusona nie zawsze byli zachwyceni. Za to prasa oszalała, z miejsca ogłaszając go wschodzącą gwiazdą historii. W 1999 r. jego sylwetkę w „New Yorkerze” zatytułowano „Pomyśleć to, co nie do pomyślenia”. Dwa lata później reporter „Guardiana” pytał go już nie o wojny i handel, a o to, jak to jest być sławnym i bogatym, bo Ferguson właśnie podpisał umowę na trzy kolejne książki i odebrał zaliczkę opiewającą na pół miliona funtów. Jak zawsze perfekcyjnie ubrany Ferguson odpowiedział, że oczywiście przyjemnie. A potem swoim zwyczajem przeskoczył płynnie do historii, podkreślając, że przepaść ziejąca dziś między szeroką publicznością i akademikami to dziwaczna nowość. W XIX wieku było oczywiście, że historycy zajmują się pisaniem bestsellerów.

Ferguson pozostaje wierny tej idei. Nową książkę publikuje w zasadzie co roku. Jak tego dokonuje? „Wstaje rano i pracuje. Zastanawiają mnie ludzie, którzy potrzebują dziesięciu lat, by napisać książkę. Co oni właściwie robią całymi dniami?”. A w dodatku jest gwiazdą popularnych filmów dokumentalnych i ekspertem rozchwytywanym przez biznes i politykę. Czasem wydaje się, że niektórzy ludzie po prostu podpisali cyrograf z diabłem. Za takim sukcesem musi przecież cziąć się jakiś mroczny sekret...

Porządek dziejów i mroczne sekrety

Historia świata przedstawiona w „Rynku i ratuszu” okazuje się naprzemiennym następstwem okresów, w których dominowały hierarchie, i takich, gdy istotniejsze były sieci. „Ujmując rzecz możliwie prosto: kiedy światem rządzi hierarchia, jedynym sposobem, by coś w nim znaczyć, jest mozolne wspinanie się po szczeblach systemu władzy politycznej, korporacji czy innej uporządkowanej pionowo organizacji albo instytucji. Kiedy zaś do głosu dochodzą sieci, można mieć tyle wpływów, ile zdoła się osiągnąć, wyrabiając sobie pozycję w jednej z wielu ustrukturyzowanych poziomo grup społecznych”.

Pierwszym kluczowym momentem, któremu Ferguson przygląda się w nowej książce, jest epoka renesansu i wielkich odkryć geograficznych. Wynalezienie druku umożliwiło całkiem nowe formy sieciowania, które rozbiły tradycyjne struktury. Okres chaosu trwa aż do Kongresu Wiedeńskiego. XIX wiek to z kolei okres względnego spokoju dzięki ustanowieniu mocnej hierarchii (rządy pięciu europejskich mocarstw) i scementowaniu jej przez rozległe sieci. Dynastia sasko-koburska i skoligaceni z nią sojusznicy obsadzili trony od Wielkiej Brytanii po Grecję i od Portugalii do Bułgarii. Z kolei ród Rothschildów, którego dzieje Ferguson zna jak mało kto, oplótł cały kontynent siecią finansowych wpływów i kurierów zapewniających błyskawiczny przepływ informacji.

Na początek XX wieku przypada eksplozywny rozwój hierarchii, którego ukończeniem stały się totalitarne państwa Hitlera i Stalina, ale też, na co zwraca uwagę Ferguson, powojenna wizja mocnego rządu ingerującego w gospodarkę. Biurokratycznemu państwu stawiali

czoło tylko nieliczni, jak Henry Kissinger, sekretarz stanu u prezydenta Nixona i Forda, jeden z ulubionych bohaterów Fergusona, który i w tej książce doczekał się interesującego rozdziału mapującego oczywiście sieci społeczne genialnego dyplomaty.

Ferguson przekonuje, że od lat 70. rozpoczyna się kolejny upadek hierarchii związany przede wszystkim z nieefektywnością nadmiernie rozbudowanego państwa (autor jest zdeklarowanym fanem Margaret Thatcher). To właśnie erozja hierarchicznego modelu otwiera drzwi do cyfrowej rewolucji. Epoka internetu, której analiza wypełnia ostatnie rozdziały książki, pod wieloma względami przypomina pierwszą globalizację, jaka dokonała się w epoce renesansu. I tak koło się zamyka. Dostrzeżenie analogii między następstwami druku a współczesną epoką cyfrową i zaproponowanie języka do ich opisu jest niewątpliwą zaletą Fergusona.

Ale to nie koniec zalet „Rynku i ratusza”. Autor uchwycił bowiem w swojej pracy nie tylko dzieje instytucji, lecz także historyczną rolę nieformalnych sieci, która zwykle wymykała się historykom, jako że mniej lub bardziej tajne związki rzadko pozostawiają po sobie obzerne archiwa.

Ferguson pisze o iluminatach (słaba sieć, mocna legenda), lożach masonskich, niemieckim planie wywołania dżihadu w okresie I wojny światowej (porażka) i analogicznym planie tychże Niemiec, dotyczącym przemycenia Lenina do Rosji (spektakularny sukces, który niestety przerósł oczekiwania). Analizuje też kluczowe połączenia w sieci Al-Kaidy czy strategię ataków hakerskich. Równie ważne jak spiski okazują się dla autora kryzysy. Analiza ostatniego załamania finansowego zaproponowana przez Fergusona sugeruje, że u jego źródeł stało między innymi mylne rozumienie struktury sieci organizującej rynek finansowy.

Jak skutecznie walczyć z rozległym sieciowym przeciwnikiem? Jak zapobiegać kryzysom, których źródło jest rozproszony? Jak pokonać stugłową hydrę? Otóż skuteczna walka z sieciami może dokonywać się wyłącznie przez inne sieci. Przepisem na porażkę jest więc strategia podobna do tej, jaką Amerykanie przyjęli w Wietnamie. Regularna armia nigdy nie pokona partyzantów na ich terenie. Godnym naśladowania wzorem jest nato-

Za każdym
sukcesem historyka
skrywa się
praca wielu par
niewidzialnych rąk.

**Tak się jakoś dziwnie
składa, że większość z nich
należy do kobiet.**

miast działalność generała Waltera Walkera – dowódcy brytyjskiej operacji na Borneo (1962-65), który swych podwładnych sam zorganizował na wzór rozproszonych po dżungli partyzantów.

Sieć Fergusona

Wróćmy do samego Fergusona. Najnowsza książka może posłużyć za atrakcyjny klucz do wyjaśnienia sukcesu autora. Ferguson jest dzieckiem hierarchii, a zarazem błyskotliwym partyzantem, w pełni korzystającym z sieciowych struktur. Jako absolwent, a później wykładowca najbardziej prestiżowych uniwersytetów na świecie ma ułatwione zadanie. Ale zapewne istotne są także inne kontakty. Przyjrzyjmy się więc sieci Fergusona, tak jak on przyglądał się innym.

W wieku 23 lat, na długo przed pierwszymi spektakularnymi sukcesami, Ferguson ożenił się z siedem lat starszą od siebie Susan Douglas, która była już wówczas uznaną redaktorką „The Sunday Times”, na łamach którego Ferguson stawiał pierwsze kroki w dziennikarstwie. To właśnie Douglas wzięła na siebie większość ciężaru opieki nad ich trójką dzieci, gdy Ferguson obejmował kolejne zagraniczne posady („Zawsze tak było – przekonywał historyk w jednym z wczesnych wywiadów – żeglarze, kupcy...”).

Po latach podsumuje tę sytuację jeszcze bardziej dobitnie: „Nie sposób napisać książki takiej jak »Cywilizacja«, pracując trzy godziny dziennie. Musimy bardziej uczciwie mówić o tym, że to coś za coś. Gdy się żenisz i masz dzieci, to musi w sposób dogłębny zaszkodzić przynajmniej jednej karierze. Taka jest prawda. Ktoś musi wziąć na siebie ten cios”.

Czy Ferguson rozważał wzięcie ciosu na siebie? Dziennikarce „Guardiana”,

która zadała mu to pytanie niemal dekadę temu, Ferguson odpowiedział: „Nigdy! Nigdy też nie mówiłem, że mógłbym to zrobić. Taka jest okrutna prawda. Czuję się kurewsko żałośnie [*I would have been miserable as fucking sin*], stwierdzając: dobra, teraz będę sobie przez resztę życia młodszym wykładowcą. Ale przecież gdybym był taki straszny, to moje dzieci byłyby już wszystkie na terapii...”. Genialny brytyjski historyk Raphael Samuel napisał kiedyś, że za każdym sukcesem historyka skrywa się praca wielu par niewidzialnych rąk. Tak się jakoś dziwnie składa, że większość z nich należy do kobiet.

W 2008 r. Sue Douglas w wyniku upadku z ukochanego konia niemal traci wzrok, ma poważne kłopoty z pamięcią. Przez miesiąc znajduje się w śpiączce. Gdy się budzi, dowiaduje się, że Ferguson zdecydował się porzucić ją dla Ayaan Hirsi Ali – błyskotliwej holenderskiej posłanki pochodzenia somalijskiego, feministki i działaczki na rzecz praw człowieka.

Ostatnio Ferguson dał się poznać jako przeciwnik „poprawności politycznej” i obrońca zagrożonej jego zdaniem wolności słowa. Historyk stanął w obronie m.in. Jordana Petersona i zmarłego niedawno Rogera Scrutona. Obaj mężczyźni byli oskarżani o nietolerancję z powodu swojej krytyki islamu. Petersonowi odmówiono czasowej posady na Cambridge po tym, jak pozował do zdjęcia z chłopakiem noszącym koszulkę z napisem „jestem dumny islamofobem”. „Nowa Armia Czerwona wyruszyła, by uciszyć debatę – ostrzegał Ferguson przed kilkoma miesiącami. – Musimy powstać i stawić jej czoło. 70 lat temu NATO powstało, by ochronić zachodnią Europę i wolność jej mieszkańców przed sowieckim komunizmem. Teraz staje się dla mnie jasne, że potrzebujemy podobnej organizacji, która broniłaby zachodnich intelektualistów przed narastającym zagrożeniem akademickiej wolności”. Jak wyjaśnić radykalizację Fergusona, który stopniowo przesuwają się w prawo?

Być może odpowiedzią jest właśnie związek z Ayaan Hirsi Ali. To właśnie o niej Ronnie C. Chan powiedział, że jest ciekawsza niż sam Ferguson. To niełatwe zadanie. Urodzona w Somalii Hirsi Ali wytrwale walczy z barbarzyńskim okaleczaniem kobiet, jest ofiarą groźb i zastraszania. W 2004 r. fanatyk religijny →

→ poderzwał na ulicy Amsterdamu gardło jej współpracownika Theo van Gogha, do piersi ofiary przybił list z wyrokiem śmierci na Hirsi Ali. Ferguson ma na prawdę solidne powody, by deklarować sceptycyzm wobec mechanizmów integracji społeczności muzułmańskiej w Europie.

Ale na islamie się nie kończy. Od kilku lat historyk nie szczędzi razów liberalnym elitom. Uderza w Unię Europejską, administrację Baracka Obamy, oberwało się także Grecie Thunberg, którą historyk porównał do złowrogiego bóstwa domagającego się ofiar... Ferguson głosi pogląd, że ze zmianami klimatycznymi wygramy nie poprzez ograniczenie konsumpcji, lecz szybki postęp, rozwój nauki i rozbudowę infrastruktury. Zachód redukując emisję jeszcze bardziej osłabi swoją pozycję względem reszty świata – twierdzi historyk.

Zachód i cała reszta

Czy można już powiedzieć, że „wkurzenie lewicy” jest jego hobby? Sam Ferguson zapytany o to, czy lubi to robić, stwierdził niedawno: „Nie, to oni uwielbiają być przeze mnie prowokowani. Serio! Są znacznie bardziej zadowoleni z życia, gdy mogą mi przypiąć łatkę reakcyjnego sukinsyna. To taki substytut myślenia”. Prywatna krucjata Fergusona doskonale łączy się z jego drogą intelektualną.

W swoich poprzednich książkach – zwłaszcza „Cywilizacji” i „Wielkiej degeneracji” – Ferguson przekonuje, że źródłem siły Zachodu od 1500 r. była elastyczność, którą obecnie tracimy na rzecz przerostu regulacji i administracji. W „Rynku i ratuszu” Ferguson wraca do tego wątku, łącząc dwa ważne źródła intelektualne: zaczerpnięty ze Spenglera, Toynbee’a czy Huntingtona opis historii jako ciągu zderzeń cywilizacji oraz przejętą od Smitha i Hayeka wizję wolnego rynku jako panaceum na wszelkie zmartwienia. To ciekawe klucze, często

Wolność nie jest punktem do którego możemy dążyć,

lecz siecią transakcji,
z których wiele
pozostaje ukryte.

pozwalające Fergusonowi na otworenie zamkniętych dotychczas drzwi. Problem z kluczami zaczyna się wówczas, gdy ktoś próbuje je na siłę wepchnąć do wszystkich zamków.

Ferguson ma do tego tendencję. Nie sposób obronić wywodu, w którym zachwyca się efektywnością i umiarem brytyjskiej administracji kolonialnej, której do zarządzania 400 mln poddanych wystarczyło zaledwie tysiąc ludzi.

Niemal równie skandaliczną ślepotą na ludzką krzywdę historyk wykazuje się, opisując amerykańskie regulacje rynku, które przelicza wyłącznie na (zatrważającą) liczbę stron makulatury. Tymczasem pozostawiony wolnemu rynkowi amerykański system służby zdrowia jest po prostu nieefektywny. Dane porównawcze pokazują wyraźnie, że Amerykanie wydają na ochronę zdrowia absurdalnie dużo, otrzymując w zamian mniej niż mieszkańcy wielu innych krajów. „Za czas narodzin państwa administracyjnego można uznać początek lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy to Kongres zaczął powoływać kolejne nowe ciała regulujące, takie jak *Environmental Protection Agency* (Agencja Ochrony Środowiska) czy *Consumer Product Safety Commission* (Urząd Ochrony Bezpieczeństwa Konsumentów)” – czytamy w „Rynku i ratuszu”. Otóż we wspaniałych czasach przed powołaniem tych instytucji firmy chemiczne i wydobywcze mogły po prostu wylewać ścieki do rzek i pozostawiać nieusunięte toksyczne hałdy gdzie popadnie. Czy przemysł był wtedy bardziej konkurencyjny? Z pewnością. Ale tylko dlatego, że ukryte koszty ponosili wszyscy, zwłaszcza ci najbiedniejsi, którzy nie mogli upomnieć się o swoje prawa.

Historyk na każdym kroku podkreśla, że wolność jest dla niego wartością najwyższą. Ale wolność to często nieoczywista sprawa. Nie jest wcale punktem, do

którego możemy dążyć, lecz właśnie siecią transakcji, z których wiele pozostaje ukryte.

Zwierciadło

W biografii i twórczości Fergusona odbija się jak w zwierciadle współczesna Wielka Brytania: kluczowe znaczenie koterii z Cambridge i Oxfordu, Unia Europejska postrzegana wyłącznie jako nieefektywny moloch, a przede wszystkim uporczywe gloryfikowanie kolonialnej przeszłości. W kolejnych badaniach opinii publicznej niemal połowa Brytyjczyków uważa Imperium za świetny czas i powód do dumy. Jakże było wspaniale, gdy poddani na całym globie każdego dnia pracowali na chwałę Korony!

Pracowali, bo za bardzo nie mieli wyjścia. Rozbudowana administracja nie była potrzebna, bo nawet pokojowe manifestacje sprzeciwu mogły zostać krwawo spacyfikowane. Jak ta w Amritsarze, gdzie do tłumu po prostu otworzono ogień, zabijając na miejscu niemal 400 osób i raniąc ponad 1000 kolejnych. Choć oczywiście Brytyjczycy znali też efektywniejsze sposoby mordowania. Nie zapominajmy, że wśród wielkich wynalazków, jakie świat zawdzięcza Imperium, są także obozy koncentracyjne. Wszystko to błędnie jednak w porównaniu z współudziałem kolonizatorów w zagłodzeniu ponad 20 mln poddanych. W samym tylko 1943 r. z głodu umarło około 3 mln Bengalczyków, podczas gdy administracja Churchilla przestawiła gospodarkę kolonii na tryb wojenny, wywożąc z nich przy okazji tony żywności do rozdartej konfliktem Europy.

Za wolnością jednego bardzo często kryje się niewola drugiego. Deregulacja dla jednych oznacza brak wyboru dla innych. Ktoś, gdzieś wykonuje za nas niewidzialną pracę. Ktoś nie dostaje swojej szansy. Ktoś ostatecznie ponosi koszty naszej wolności. To, że skutecznie usuwamy je z pola widzenia, nie znaczy, że przestają istnieć. Nie ma nic za darmo.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

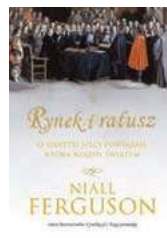
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój

– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów

– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |

www.radiokrakow.pl



Niall Ferguson, **RYNEK
I RATUSZ. O UKRYTEJ
SIECI POWIĄZAŃ,
KTÓRA RZĄDZI
ŚWIATEM**, przeł.
Wojciech Tyszką,
Wydawnictwo
Literackie, Kraków 2020



Prof. Yi Lijun z mężem i córką w Gdańsku. W 2007 r. otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego.

Soplicowo w Hubei

IZABELLA ZAJĄCZKOWSKA Z PEKINU

Reedukowali ich. Przed południem ciężka praca fizyczna, po południu szkolenia ideologiczne. Wieczorem mogła wreszcie tłumaczyć „Dziady” Mickiewicza. Na życzenie premiera Chin.

SŁUCHAM, JAK PROFESOR YI LIJUN CZYTA po chińsku „Pana Tadeusza”; melodyjnie i rytmicznie. Sama dokonała tego przekładu. Jej dorobek tłumaczeniowy jest imponujący – ponad 60 pozycji z literatury polskiej, w tym „Dziady” Mickiewicza, „Krzyżacy” i „Trylogia” Sienkiewicza, „Sława i chwała” Iwaszkiewicza, „Ferdydurke” Gombrowicza.

Spotykałam ją wielokrotnie, ostatnio podczas promocji drugiego wydania książki Olgi Tokarczuk; dawno już przez nią przetłumaczonych na chiński. Na sto-

łach leżą „Prawiek i inne czasy” i „Dom dzienny, dom nocny”. Wokół tłoczą się młodzi czytelnicy, by chwilę porozmawiać i poprosić o autograf.

Na dłuższą rozmowę umawia się ze mną w pokoiku Katedry Języka Polskiego na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych, gdzie 66 lat temu powstała pierwsza w Chinach polonistyka. Kolejne pokolenia polonistów wciąż potrzebują rad. Pomaga im i doskonale orientuje się, co i jak tłumaczyć. Sama już nie zajmuje się przekładami, a ostatni, którego się

podjęła, przekazała swemu uczniowi. Bardzo żałuje, że nie może ukończyć „Doliny Issy” Miłosza, bo jak twierdzi: „głowa już niezbyt dobrze pracuje i oczy bolą”.

Nad rzeką, której nie ma

Urodziła się w 1934 r. w dalekiej prowincji Hubei. Przed domem dziadków były drzewa, płynęła rzeka. W oddali rosły drzewa morwowe, których liście służyły do karmienia jedwabników. Pamięta, jak poczwarki zmieniały kolor pod wpływem pigmentu znajdującego się w liściach i jak kobiety zatrudnione w gospodarstwie ciągnęły nici z kokonów i przygotowywały surowy jedwab. Starła się pomagać w prostych pracach, co później, w latach tzw. rewolucji kulturalnej jej się przydało. Dziadek ukończył studia ogrodnicze w Japonii, więc dbał o ogród, który stworzył zgodnie z obowiązującymi w Azji zasadami: łącząc kamień, wodę i małą architekturę z urozmaiconą roślinnością. Niestety – żałuje – nie zachowywał się z rodzinnej posiadłości żadne zdjęcia, rysunki czy plany.



→ Ostatni raz widziała ją w 1947 r., gdy miała 13 lat. Wtedy dziadkowie postanowili przenieść się do Wuhanu, gdzie ich synowie podjęli pracę jako nauczyciele w szkołach średnich. Dzięki tej decyzji uniknęli zapewne represji ze strony nowych władz. Dwa lata później powstała Chińska Republika Ludowa, a w 1950 r. na mocy dekretu o likwidowaniu posiadłości obszarowych w ich domu zakwaterowano pięć chłopskich rodzin, a ziemię rozparcelowano.

W szkole średniej w Wuhanie przeczytała „Ode do młodości” Mickiewicza, tłumaczoną na chiński z języka francuskiego. Była dla niej jak objawienie, zapowiedź czegoś nowego i niezwykłego – wspomina. Potem, podczas studiów sinologicznych na Uniwersytecie Wuhańskim zwróciła uwagę na teksty Lu Xuna, uważanego za ojca współczesnej literatury chińskiej, który jako pierwszy odkrył literaturę polską dla chińskiego czytelnika. Zainteresowała się innymi utworami Mickiewicza i twórczością Sienkiewicza – imponował jej bunt przeciwko niesprawiedliwości, umiłowanie wolności, siła, niezłomność, przywiązanie do tradycji i obyczajów, miłość do ojczyzny.

Po pierwszym roku nauki najlepszym studentom zaproponowano kontynuację nauki w Moskwie lub w innych stolicach państw bloku socjalistycznego. Yi podjęła decyzję o wyjeździe do Warszawy. Już sama podróż była przygodą życia. Do stolicy ZSRR jechało się sześć dni – urzekł ją widok Bajkału. Specjalny pociąg wioził z tysiące młodych ludzi najpierw do Moskwy, gdzie pozostawała większość – 1800 studentów. Reszta po trzech dniach zwiedzania udała się do krajów Europy Środkowo-Wschodniej. W Warszawie wysiadło osiemnaścioro.

Był 4 października 1954 r. Tej daty nigdy nie zapomni, był to początek trwającej całe życie przygody. Po roku zerowym, na którym Yi Lijun od podstaw uczyła się języka polskiego, podjęła pięcioletnie studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszkała na osiedlu Przyjaźń na Jelonkach. Razem z nią przyjechał też przyszły mąż, Yuan Hanrong – student Wydziału Matematyczno-Fizycznego UW; potem współpracownik tłumaczki.

Wszyscy z tej pierwszej grupy wysłanej do Polski po skończeniu studiów powrócili do Chin (przed wyjazdem z ojczyzny przez parę miesięcy byli na tyle skutecznie indoktrynowani, że nikt nie odważył

Przy kopającej lampie naftowej pochylała się nad „Dziadami”.

Żadnych słowników,
żadnych innych
tłumaczeń dzieła, tekst,
czyste kartki i pióro.

się zostać). Później bywało różnie, nawet połowa studentów pozostawała w Polsce.

Młodości, dodaj mi skrzydła

Powrót do Chin nie był łatwy, czasami z zupełnie prozaicznych powodów. Młoda Yi Lijun ubierała się jak eleganckie Polki w suknie z Telimeny, a w Państwie Środka moda była zuniformizowana – należało nosić granatowe bawełniane mundurki. Zanim otrzymała talon na taki strój, została obrzucona nieopodal uniwersytetu grudkami ziemi i kamieniami przez grupę подростков. Suknie z Telimeny spoczęły na dnie szafy.

Pracowała w Chińskim Radiu Międzynarodowym w Pekinie, a później na uniwersytecie. Ślub, narodziny córki, cotygodniowe odwiedziny męża, który pracował w zamkniętym Ośrodku Rozwoju Fizyki Jądowej pod Pekinem.

Do Chin docierały relacje z Warszawy na temat protestów studentów i intelektualistów przeciwko władzy. Zhou Enlai, premier rządu chińskiego, był poruszony faktem, że ogniwem zapalnym rozruchów '68 roku stało się wystawienie „Dziadów” Mickiewicza. W następnym roku zwołał ambasadorów Chin (w 1967 r. zostali odwołani ze swoich placówek) na naradę, na której zadał pytanie, czy któryś z nich czytał utwór Mickiewicza. Zaległa cisza, a jej konsekwencją był nakaz przetłumaczenia dramatu. Zwrócono się do starszego i doświadczonego tłumacza, ale ten odmówił, bo uważał, że utwór jest nieprzekładalny. Być może do tej pory chińscy czytelnicy nie znaliby „Dziadów” cz. III, gdyby nie jej – jak mówi Yi – „głupota i odwaga”. Gdy usłyszała od sąsiadki, pracującej w prestiżowym Wydawnictwie Ludowym, że nikt nie chce podjąć się tłumaczenia, zgłosiła się natychmiast. Jak twierdzi, była

wtedy pełna wiary w swoje możliwości, niczego się nie bała, niczego nie ryzykowała, a „młodość dodawała jej skrzydeł”.

W rozmowie z redaktorem naczelnym wydawnictwa zgodziła się tłumaczyć bez wynagrodzenia (otrzymała je dopiero w 2008 r. za przekład wszystkich części dramatu). Było to jej pierwsze tłumaczenie dłuższego dzieła literatury polskiej. Dziś twierdzi, że rozumiała z niego wtedy „piąte przez dziesiąte”, ale gdyby nie praca nad nim, nie wie, jak potoczyłoby się jej dalsze życie.

W 1966 r. zaczęła się bowiem w Chinach rewolucja kulturalna zainicjowana przez Mao Tse-tunga. Mao zachęcał młodych ludzi do buntu, zwalczania starych idei, obyczajów, religii, tworzenia nowej kultury i budowania komunistycznej demokracji. Kto nie podporządkował się tym dyrektywom, był prześladowany, więziony, a nawet karany śmiercią. Według nieoficjalnych danych życie mogło stracić nawet 3 miliony osób. Najbardziej burzliwy okres rewolucji kulturalnej w Chinach trwał w latach 1967-69, ale pracownicy i studenci obecnego Pekinśkiego Uniwersytetu Języków Obcych dopiero w 1970 r. zostali wywiezieni prosto z sal wykładowych na wieś położoną na wyspie. Od robotników i chłopów mieli się uczyć pracy. Zamieszkali tam w barakach służących niegdyś za budynki więzienne.

Yi Lijun komentuje te lata z sarkazmem: „Może i mogłam czegoś nauczyć się od robotników, ale od chłopów? Przecież ja wiedziałam, na czym polega ich praca”. Rytm dni odmierzają przedpołudniowa ciężka praca fizyczna i popołudniowe szkolenia ideologiczne. „Wieczorem – wspomina – zaczynało się moje prawdziwe życie”. Przy kopającej lampie naftowej pochylała się nad „Dziadami”. Żadnych słowników, żadnych innych tłumaczeń dzieła, tekst, czyste kartki i pióro. Dziś trudno nam sobie wyobrazić tłumaczenie książki w takich warunkach, ale śmieje się, gdy o to pytam. Powtarza, że była młoda, szalona i chciała zrobić coś wyjątkowego. Najtrudniejsza była „Wielka Improwizacja”, czuje się jednak z tego rozgrzeszona, bo niewielu Polaków umie ją zinterpretować.

Po dwu latach uznano, że studenci są zresocjalizowani. Mogli wrócić do Pekinu. Przekładowi wciąż daleko było do doskonałości. Szczęśliwie się złożyło, że profesor mogła wyjechać do Polski na

Międzynarodowe Targi Poznańskie. Odpracowawszy swoje jako tłumaczka, poprosiła o przedłużenie pobytu, by mieć czas na konsultacje translatorskie. Śmieje się, że polscy handlowcy nie mogli jej pomóc, bo niewiele zrozumieli z dramatu. Największe wsparcie otrzymała od promotorki swojej pracy magisterskiej Janiny Kulczyckiej-Saloni i przyjaciół z UW. Jeszcze parę lat musiała czekać na opublikowanie „Dziadów”, ale ich ukazanie się po chińsku w 1976 r. było wydarzeniem przełomowym. Był to pierwszy utwór zagraniczny wydany po czasach rewolucji kulturalnej.

Tłumaczenia są najważniejsze

Przygoda z Juliuszem Słowackim nie zakończyła się tak szczęśliwie. Tłumaczenie „Lilli Wenedy” do dziś spoczywa na dnie szuflady i już pewnie nie ujrzy światła dziennego. Próby wydania go w Wydawnictwie Ludowym były nieudane. Przekład oceniono jako słaby, a tematykę utworu jako zbyt ezoteryczną. W ogóle twórczość Słowackiego, nawet dla tłumaczki, jest wyjątkowo trudna, pełna symboli, mistycyzmu, skomplikowanej historiozofii. Nikt nie chce go wydawać. Redaktor, który powierzył jej pracę nad „Dziadami”, stwierdził, że owszem, czytał Słowackiego po rosyjsku, ale nic a nic nie rozumiał. Za to wielką popularnością cieszą się przekłady Sienkiewicza. Yi Lijun czytała w młodości dużo powieści historycznych, co ułatwiło jej znalezienie odpowiedniego ekwiwalentu w języku chińskim. Po Sienkiewiczu przełożyła „Ferdynanda” Gombrowicza. Praca nad tym przekładem – twierdzi – pozwoliła zachować równowagę psychiczną i była niezwykle ciekawym wyzwaniem językowym.

Wreszcie przyszła kolej na „Pana Tadeusza”. Długo nie miała odwagi, by podjąć się tego zadania. Śmieje się, że tym razem zabrakło jej szaleństwa i brawury. W końcu zgodziła się na zamówienie Wydawnictwa Ludowego przygotować wierszowaną (wcześniejszy przekład był w stylu prozatorskim) wersję utworu. Trzynastozgłoskowiec został zamieniony na wersy trzynasto- i czternastosylabowe, co nie było rzeczą najtrudniejszą, ale jak oddać muzykę wersu polskiego, w którym akcenty padają zazwyczaj na przedostatnią sylabę, a w języku chińskim nie istnieją i rytmiczność budowana jest przez cztery tony o różnej wysokości?

Po Sienkiewiczu przełożyła „Ferdynanda” Gombrowicza.

Praca nad tym przekładem pozwoliła zachować jej równowagę psychiczną i była niezwykle ciekawym wyzwaniem językowym.

Jak odtworzyć różnorodne rymy? Dziś jednak wspomina, że trudniej było znaleźć ekwiwalenty dla nazw ubrań, przedmiotów, urzędów, flory i grzybów.

Czasami zachęta do tłumaczenia przechodziła od innych. Tak było w przypadku Olgi Tokarczuk. Po kupieniu praw na targach książki we Frankfurcie wydawnictwo z Tajwanu, nie mogąc znaleźć tłumacza u siebie, zaczęło szukać w Chinach kontynentalnych. Oferta została zaakceptowana, bo „Prawiek i inne czasy” i „Dom dzienny, dom nocny” zrobiły na Yi Lijun duże wrażenie. Ceni je za oryginalność, mądrość, połączenie realizmu i wyobraźni.

Więzi

Po roku zerowym, poświęconym nauce języka polskiego w Warszawie, studenci mogli spędzić wakacje w Sopocie. Yi Lijun z bliskim w oczach i z nostalgią wspomina wspólne z mężem spacerowanie aleją wysadzaną platanami. Nazywa ją aleją kochanków lub zakochanych, bo właśnie ona połączyła ich na całe życie. Pamięta każdy szczegół, układ architektoniczny, kolory, zapachy... Choć pobrali się dopiero po ukończeniu studiów w Chinach, już wtedy wiedzieli, że będą razem. W czasie wywiadu udzielonego niedawno telewizji ciężko chory od lat, milczący pan Yuan Hanrong towarzyszy przez chwilę żonie.

Yi Lijun często podkreśla, że wychowała się jako jedynaczka i nie było jej łatwo żyć po opuszczeniu domu rodzinnego. W mężu znalazła oparcie i zrozumienie. Szczerze przyznaje, że to on służył jej, a nie ona jemu. Przez całe życie pomagał też w pracach translatorskich i był pierwszym czytelnikiem tłumaczeń, a w latach 90., kiedy już przeszedł na emeryturę, pracowali nad nimi wspólnie. On żartuje, że to niesprawiedliwe, by wszyst-

kie nagrody zbierała jego żona, podczas gdy on pozostaje w cieniu. Często wspominają młode lata spędzone w Polsce.

Szczególnie trudnym okresem dla rodziny były lata 1970-72. Gdy żona przymusowo przebywała na wsi, Yuan Hanrong jako pracownik strategicznego instytutu pozostał pod Pekinem. Co sobotę wsiadał do wojskowej ciężarówki i wracał na kampus uniwersytecki, by zobaczyć ośmioletnią córkę. Dziewczynka miała wyjątkowe szczęście, bo mogła widywać ojca, podczas gdy inne dzieci zobaczyły swoich rodziców dopiero po dwóch latach.

Yi Lijun jest powściągliwa w opisie swych emocji z tamtych lat. Wiedziała tylko, że córka, jak wszystkie pociechy, znajduje się pod opieką żołnierzy marynarki wojennej, że ma dach nad głową, że się uczy. Spotkanie po tak długim rozstaniu okazało się jednak trudne: trzeba było na nowo budować zerwane więzi, nadrobić stracony czas (obowiązywał zakaz osobistych kontaktów, rozmów, a nawet wymiany listów z zesłanymi na reedukację). Podczas naszej rozmowy dłuższe milczenie. Niedawno córka przyjechała z USA na urodziny taty. Mieszka tam od dawna ze swoim chińskim mężem i córką. Wnuczka nigdy nie była w Chinach i nie zna języka chińskiego. Babcia nie wybrała się za ocean. Z dumą pokazuje jej zdjęcia w telefonie.

Ambasador polskiej kultury

Nieraz przeżywała chwile zwątpienia w to, co robi. Z żalem mówi, że pisarz nie ma dziś wpływu na naród, a współcześni redaktorzy nie zawsze znają się na literaturze. Ale chociaż nikt nie wyda tu „Lilli Wenedy”, to warto tłumaczyć dalej. Dla niej – jak twierdzi – był to sposób na życie i służbę kulturze własnej ojczyzny.

Nasze ostatnie spotkanie kończy recytacja „Pana Tadeusza”. Już czas na obiad, a tłumaczka wciąż czyta. Jest w Soplicowie i równocześnie w pięknym domu z ogrodem u swoich dziadków.

– Najpierw – mówi Yi Lijun – nie chciałam tam wracać, później nie mogłam, a kiedy już mogłam, to się bałam konfrontacji z własną pamięcią, a teraz już za późno, już nie mam siły. Niech wszystko pozostanie we wspomnieniach dzieciństwa, czystych i jasnych jak „Pan Tadeusz”.

© IZABELLA ZAJĄCZKOWSKA

Raj na dystans

WIKTOR JEROFIEJEW, PISARZ:

Nie lubię symbolicznych przedstawień Boga, czasem chcę je wszystkie odrzucić. Ale kiedy dokonuję takiego odrzucenia, czuję, że zostaję zupełnie sam, czuję pustkę.

MAŁGORZATA NOCŮN: Pana książka „Dobry Stalin” była kilkanaście lat temu wielkim wydarzeniem literackim. To autobiografia i opowieść o zbiorowej odpowiedzialności społeczeństwa za totalitarny system. Teraz pisze Pan kontynuację.

WIKTOR JEROFIEJEW: „Dobry Stalin” był bestsellerem – w Rosji i za granicą. Poruszyłem temat tabu: napisałem o życiu radzieckiej nomenklatury i fascynacji Stalinem rosyjskiego społeczeństwa. Książka dotyczyła moich prywatnych przeżyć, zderzenia dwóch wizji świata. Mój tata był radzieckim urzędnikiem, ja wolno myślicielem. Teraz – po latach – czuję, że książkę tę należy uzupełnić. Kontynuacja opowiada trochę o relacji moich rodziców.

Jacy byli?

Przeżyli razem 60 lat. Każde z nich miało swoje marzenia, żadnemu nie udało się ich zrealizować. Uważali chyba, że należy poświęcić się dla dobra rodziny. To nie był wymarzony związek, ale to, co im się udało, to wychowanie mnie i mojego brata w bezpieczeństwie i miłości. Z wielu rzeczy zrezygnowali, by nam tę miłość i bezpieczeństwo dać. Im dalej od ich śmierci, tym bardziej to rozumiem i jestem wdzięczny. W kontynuacji „Dobrego Stalina” zastanawiam się nad ceną niezrealizowanych marzeń. Czy życie wynagradza nam poświęcenie? Czy takim wynagrodzeniem są dzieci? Rodzicielstwo?

Mama?

Niedawno przeczytałem jej książkę, podczas lektury byłem poruszony, słyszałem intonację jej głosu. Jest to opowieść o walce dobra ze złem, wybrzmiewa w niej pragnienie – tak charakterystyczne dla ludzi tamtego czasu – aby świat stał się lepszy. To pragnienie towarzyszyło ma-

mie przez całe życie. Pokazuje jej delikatną, może trochę naiwną naturę. Była wykształcona, miała charakter, oburzała się, kiedy ktoś postępował w niewłaściwy sposób. Wierzyła w niemożliwe, powiedziałbym, że była utopistką. Nie wierzyła, że literatura, którą tworzę, odniesie sukces. I w sumie – w kontekście Rosji – miała trochę racji, w naszym kraju nie zrobiłem dużej kariery, nie jestem tak znany jak na przykład Władimir Sorokin. Mówię to ze spokojem, nie boli mnie to ani nie jest źródłem kompleksów. Moje książki są o wiele popularniejsze za granicą, bardzo chętnie czytają je Polacy. Nawet w Japonii i w Chinach jestem chyba w większym stopniu rozumiany niż w ojczyźnie.

Ale z Pana pisarstwa przebiega pewność siebie – wyniesiona z domu?

Z dzieciństwa zapamiętałem taki obrazek: sążnista zima, szofer taty wnosi do naszego mieszkania choinkę, potem wraz z bratem stajemy na krzesłach, ubieramy ją. Na wierzchołku zatykamy czerwoną gwiazdę. W Związku Radzieckim nie świętowano Bożego Narodzenia, to było drzewko noworoczne, „stalinowska choinka”, władza w końcu na nią pozwoliła, bo ludzie byli jednak przywiązani do tradycji. Wcześniej funkcjonował oficjalny zakaz strojenia drzewka, groziła za to kara, walczone przecież ze wszystkimi przejawami religijności.

Później pod drzewkiem pojawiały się prezenty. Zbliżałem się do nich i czułem, że za moimi plecami stoi mama. Odwracałem się, rzeczywiście tam była, uśmiechała się. Czułem szczęście, wiedziałem też, że jestem kochany. Tata musiał kochać mnie wręcz bezgranicznie, przecież przeze mnie wszystko stracił i nigdy mi z tego powodu nie powiedział złego słowa. Nigdy mi tego nie wypominał, nawet podczas ostrzejszej wymiany zdań.

Nie spodobały mu się Pana teksty w „Metropolu”, wydawnictwie drugiego obiegu. Wyrzucono Pana wtedy ze Związku Pisarzy, oficjalnie mógł Pan zadebiutować dopiero w czasie pierestrojki. Tata był radzieckim urzędnikiem.

I wierzącym komunistą. W czasach młodości pracował jako tłumacz Stalina na język francuski, potem był dyplomatą, dlatego jako chłopiec kilka lat spędziłem we Francji. Jestem dzieckiem radzieckiej nomenklatury, wychowanym we względnie dobrobycie i podziwie wobec Josifa Wissarionowicza.

W moim tacie tkwiła sprzeczność: uważam, że miał liberalne poglądy, kiedyś napisano o nim „liberał epoki stalinowskiej”, ale równocześnie brał udział w strasznej polityce. Różniliśmy się zupełnie, jeśli chodzi o poglądy, ale ojciec był mi bliski. W rosyjskiej tradycji ojciec za swoim dzieckiem podąża. Zawsze będę Wiktoorem Władimirowiczem, czyli synem swojego ojca, Władimira.

Co myślał o Pana pisaniu?

Pod koniec życia taty telewizja Arte kręciła o mnie i o nim film, miał nosić tytuł „Ojciec i syn”. Miał, bo nigdy tej produkcji nie dokończono. To był ostatni wywiad, którego udzielił tata. Bardzo dobrze zapamiętałem tę scenę: siedł alejką pośród jesiennych drzew, dziennikarz zapytał go: „Był pan zły na Wiktora? Stracił pan przez niego pracę, musiał pan opuścić placówkę dyplomatyczną...”. Tata powiedział: „Wiktor wyprzedził swoją epokę”. Te słowa odnosiły się do napisanych przeze mnie książek.

Moja twórczość – w tamtych czasach – nie tylko budziła sprzeciw, ona po prostu szokowała. Matka też bardzo mnie kochała, ale trudno jej było zaakceptować moje teksty. Kiedy otrzymałem order Legii Honorowej i przemawiałem w ambasadzie francuskiej, powiedziałem, że tata zapewne byłby ze mnie dumny, a mama by się zapytała: „Po co mu ten order daliście? Nie czytaliście tego, co on pisze?”. Nie mogła wyjść z szoku, dla niej moje pisarstwo było porównywalne chyba tylko z ultradźwiewkami. Drażniące, irytujące. Mówiła mi: „Wiesz, Wiktor, ja lubię twoje wczesne opowiadania”, a ja jej na to odpowiadałem: „Mamo, nie da się całe życie pisać wczesnych opowiadań”. Mówiła, że produkuje skandale.



WIKTOR JEROFIEJEW jest rosyjskim pisarzem i publicystą. W Polsce ukazało się wiele jego książek, m.in. „Dobry Stalin” (2005), „Encyklopedia duszy rosyjskiej” (2003), „Ciało” (2017), „Różowa mysz” (2019).

decyzji władz. Zrobiło się nieprzyjemnie, musiałem wyjechać, przez pół roku mieszkalem w Berlinie. Tęskniłem. To była tęsknota za krajem, za domem. Nie kocham Rosji jako mojej ojczyzny, ale kocham ją jako mój kraj. Kocham jej kulturę, przyrodę, bezgraniczność, w Rosji mieszkają moi przyjaciele. Tam inaczej nawiązuje się relacje międzyludzkie – wychodzą one poza ramy uporządkowanej, europejskiej cywilizacji. A ojczyzna? Nie mogę słuchać o rosyjskiej polityce i patriotyzmie. Mdli mnie. Jeśli ktoś ci zada pytanie: „Czy kochasz Rosję?”, a ty odpowiesz przecząco, to usłyszysz, że jesteś rusofobem. A to przecież nie jest tak. Po prostu nie lubię tego reżimu, nie lubię tej tradycji politycznej. Jest w niej bardzo dużo okrucieństwa, wręcz braku człowieczeństwa. Taki sposób uprawiania polityki wywodzi się jeszcze z czasów najazdu Dżyngis-chana, kiedy byliśmy mongolską kolonią. Przesiąkliśmy przemocą.

To dlatego dla pisarza jest rajem?

Dla pisarza jest rajem – znajduje się na skrzyżowaniu cywilizacji, kultur – ale wybierając ten raj jako miejsce życia, musimy zdawać sobie sprawę, że jest w tym spora doza ryzyka. W Rosji nie żyje się komfortowo, tęskni się za Europą. Za światem, który znajduje się poza granicami Rosji, inną cywilizacją, w której przestrzegane jest prawo.

Bliska jest mi Polska – zawsze znajdowała się na granicy z tym bezgranicznym rosyjskim światem. Wywodzę się z tego pokolenia, dla którego wasz kraj był „oknem na świat”. Podziwiam Polaków za to, że tak odważnie się Rosji przeciwstawiali. Kiedy w 1969 r. zacząłem do Polski przyjeżdżać, zakochałem się w niej. Chodziłem do ambasady francuskiej przeczytać „Le Monde”. Moja pierwsza żona, Wiesia, jest Polką. Mamy syna, teraz pojawiła się wnuczka. Pomimo rozstania udało nam się zachować przyjacielskie relacje. Teraz niestety coraz trudniej jest mi odnaleźć się w Polsce. Włączam publiczną telewizję i jakbyem oglądał rosyjski kanał państwowy.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

Co szokowało Pana matkę?

Eksperymenty literackie, poruszanie tematów tabu, fizjologia, która w tych tekstach była obecna. Napisałem książkę o ciemnych stronach miłości, „Bóg X”. W rosyjskiej literaturze motyw miłości jest ważny. To inna miłość niż ta europejska. Rosjanie w bardziej spontaniczny sposób się na nią otwierają, ale dotkliwiej też znoszą porażki. Ludzie zatricają się w miłości, bo kochając otwierasz cały swój system nerwowy, krwionośny, całą fizjologię na drugiego człowieka. Nie jesteś już bytem niezależnym. Nie jest to łatwe, czasem przynosi ból, cierpienie, dlatego wielu z nas ponosi w miłości klęskę. Wiem, że kiedy pojawia się miłość, nie możesz nic z nią zrobić, poddajesz się jej.

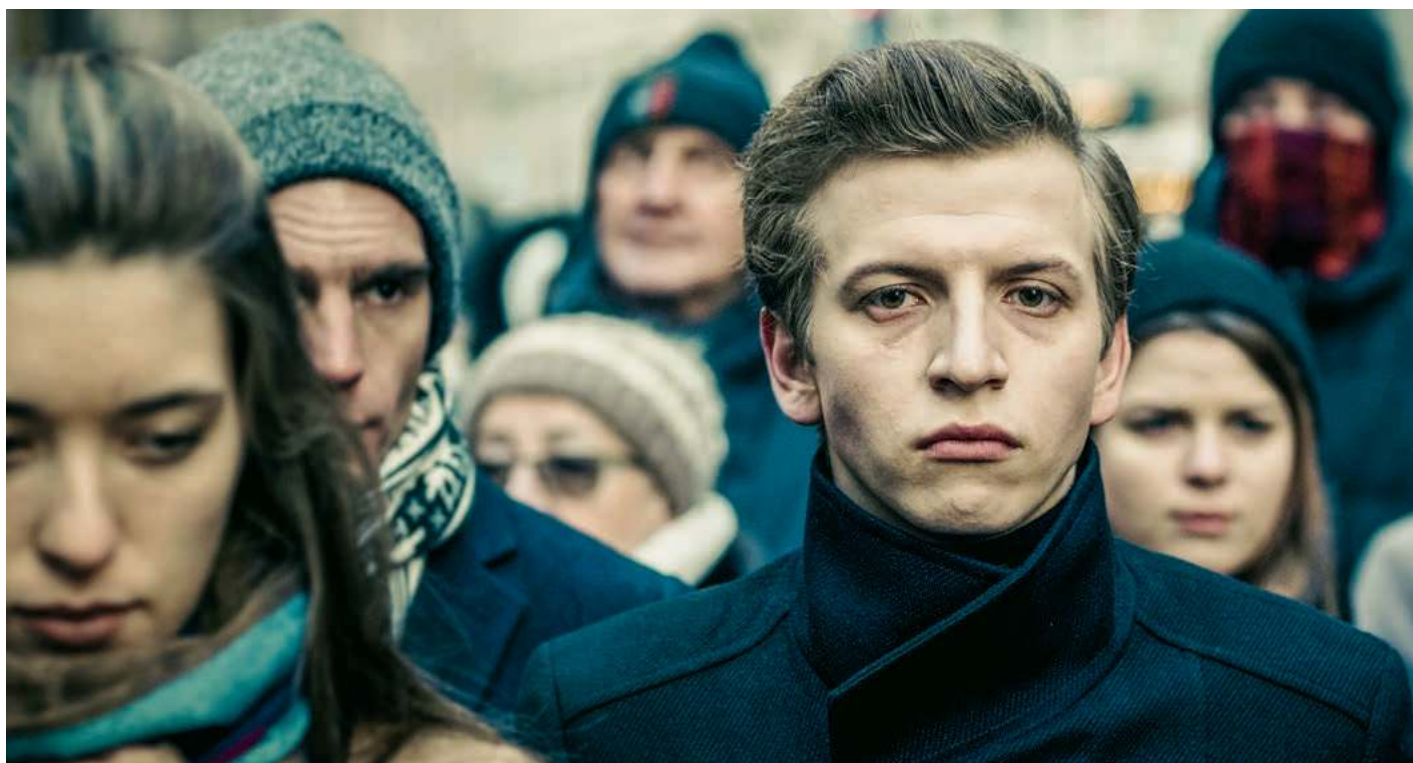
Pisał Pan też o miłości do Boga. Ale nie jest Pan ochrzczony. Skąd wiara?

Nie lubię symbolicznych przedstawień Boga, czasem chcę je wszystkie odrzucić. Ale kiedy dokonuję takiego od-

rzucenia, czuję, że zostaję zupełnie sam, czuję pustkę. Człowiek poszukuje miłości, także tej do Boga. Uważam, że w XXI wieku będzie miała miejsce rewolucja religijna, ponieważ Stwórca, który istnieje w chrześcijańskim wyobrażeniu, powoli odchodzi na emeryturę. Szukam Boga w swoim talencie, nie w religii. Bo lubię stan „pomiędzy”. Pisarz powinien żyć na granicy, ona może być fizyczna, fizjologiczna, psychologiczna, państwowa. Jest to stan, w którym odkrywają się wszystkie możliwości człowieka. Zaczyna porównywać, widzieć różnicę, w końcu dokonuje wyboru.

Rosja jest „krajem na granicy”? Powiedział Pan kiedyś, że nie rozumie, jak można tam żyć, będąc jej obywatelem, ale dla pisarza jest to wymarzone miejsce na ziemi. Raj.

Chodzę na antyputinowskie demonstracje, po aneksji Krymu przez Rosję podpisałem list sprzeciwiający się tej



Maciej Musiałowski jako Tomek Giemza w filmie „Sala samobójców. Hejter”

Bank gniewu

ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Jana Komasy bardziej niż newsami i prorocztwami karmi się czymś innym – ogólną atmosferą, która w naszym kraju gęstnieje i fermentuje.

WSZELKIE PODOBIENSTWO DO PRAWDZIWYCH OSÓB I ZDARZEŃ jest przypaddingowe” – ta standardowa formułka w odniesieniu do najnowszego filmu Jana Komasy wydaje się szczególnie ironiczna. Nie tylko dlatego, że chcąc nie chcąc przywołuje konkretne obrazy, nazwiska i medialne nagłówki: zamach na prezydenta Adamowicza, farmy trolli wynajęte na zlecenie partii rządzącej, inwigilację środowisk opozycyjnych... Akurat w przypadku gdańskiej tragedii to kino wyprzedziło rzeczywistość, a nie na odwrót (zdjęcia do filmu ukończono na krótko przed zamachem). Skojarzenia są więc nieuchronne. Bardziej jednak niż newsami i prorocztwami film karmi się czymś innym – ogólną atmosferą, która w naszym kraju gęstnieje

i fermentuje. Podczas gdy tytułowy bohater, młody geniusz cyberprzemocy, staje się „bankiem gniewu”, uosabiając lęki przed zagrażającymi zewsząd „siłami ciemności”, scenarzysta Mateusz Pacedwicz pokazuje, jak tego rodzaju zbitki pojęciowe zamieniają się w polityczne totemy. I jak zmieniają swoje znaczenia w zależności od tego, które plemię akurat się nimi posługuje. Największa siła „Hejtera” polega na tym, że nie pozwala owym pojęciom zastygnąć w wytartych sloganach. Komasa rozmontowuje je na części i wskazuje na ich wybuchowy potencjał.

W „Bożym Ciele” oglądaliśmy wspólnotę, która kiedyś się rozpadła i za sprawą samozwańczego kapłana otrzymuje szansę, by poskładać się na nowo. Grany

przez Macieja Musiałowskiego hejter też stosuje przebrania, choć jego oszustwa nie służą prawdziwemu pojednaniu – również dlatego, że żadnej wspólnoty tu wcześniej nie było. Przybyły z prowincji Tomasz Giemza, aspirujący do bycia częścią „warszawki”, szybko dostrzega, że w oczach uprzywilejowanych państwa Krasuckich, którzy pomagają mu finansowo, jest zaledwie biednym, ambitnym „słoikiem”. Kto nigdy nie żył w podłym akademiku, kto nie żywił się chińskimi zupkami, może nie wiedzieć, jak się czuje wpuszczony na salony student, samotny w wielkim mieście, wykorzeniony ze swego naturalnego środowiska. Lecz Tomek szybko się przekonuje, co kryje się za dyskretną protekcjonalnością. Zemsta, jaką szykuje swym niegdysiejszym mecenasom, czerpie nie tylko z zazdrości o ich majątkowe i kulturowe zasoby, nie tylko z serca złamanego przez ich córkę, ale także z ich ledwo wyczuwalnej pogardy. Dodajmy: odwzajemnionej. Ta sama pogarda napędza w dzisiejszym kinie różnej maści „nędzników”, „pasożytów” i innych „Jokerów”. To ich frustracja nakręca polityczną rzeczywistość. A na to, prócz cynizmu polityków, składa się jeszcze coś: arogancja tych wszystkich, którzy językiem politycznej poprawności dokonują zarówno wkluczania, jak i wykluczania.



JAROSŁAW SOSIŃSKI / NAIMA FILM

Film Komasy sprawia, że trudno poczuć się dobrze w swojej bańce.

Sam Tomek jest człowiekiem bez tożsamości. Nie ma politycznych poglądów i, niczym filmowy Zelig, posiada zdolność mimikry. W imię doraźnych celów albo zewnętrznych oczekiwań może być upadłym prymusiakiem z wydziału prawa, karierowiczem, demonem hejtu, zaangażowanym sztabowcem, gejem. Twarz Musiałowskiego wydaje się stworzona dla tych rozlicznych awatarów. Trudno dociec, jakie emocje skrywa, trudno też jednoznacznie nazwać uczucia, które w nas rozbudza. Takimi steruje się najłatwiej, traktując ich niczym puste naczynia. Ale kiedy „wszystko można”, kiedy panuje odgórne przyzwolenie na chwytły poniżej pasa, tacy ludzie, uzbrojeni w odpowiednie narzędzia, mogą stać się uczniami czarnoksiężnika. Na początek – bezwzględnej szefowej agencji zajmującej się czarnym pi-arem (świetna w tej roli Agata Kulesza).

Bohaterem naszych czasów jest więc łotr siejący zniszczenie. Tym różni się od taksówkarza z filmu Scorsese’go, którym inspirował się polski reżyser: Travis Bickle był jeźdźcem apokalipsy, wymierzającym sprawiedliwość grzesznemu światu, podczas gdy bohater Komasy nie chce nikogo zbawiać i syci się wyłącznie destrukcją.

Obaj dążą do przemocy bezpośredniej, jakkolwiek nasza rzeczywistość oferuje „Jokerom” bardziej zróżnicowane narzędzia niszczenia. Dekadę temu Komasa nakręcił „Salę samobójców”, której bohaterem był internetowy zombie. Nowy film luźno nawiązuje do swego poprzednika, również zapuszcza się na chwile w ciemne rejony gier komputerowych, a przy okazji uświadamia, ile się od tamtej pory zmieniło. Siła rażenia nowych mediów jest nieporównywalna.

„Hejter” to jednak coś więcej niż lament nad światem, w którym e-marketing, także polityczny, zastąpiły dezinformacja i hejt uprawiany przez profesjonalne „szczujnie”. Nie wystarczy mu garść frazesów o sprawczej sile słowa, które manipuluje prawdą albo „zabija tak jak nożem”. Aby rzucone w cyberprzestrzeń słowo stało się ciałem, musi jeszcze trafić na podatny grunt. Właśnie o tym podglebiu: społecznym, politycznym, ekonomicznym, traktuje film Komasy. I pod tym względem nie bawi się w subtelności. Z promujących go plakatów i wypowiedzi reżysera dowiadujemy się, że ów komiksowy, gątunkowy i trochę karykaturalny rys był zamierzony. Z jednej strony mamy zatem elity – zamożnych konsumentów kultury wysokiej i młodą patointeligencję, z drugiej zaś przepelnionych rezydentem frustratów, którzy wstają z kolan i biorą odwet za realne bądź wyimaginowane krzywdy. Na innym plakacie do „Hejtera” para bohaterów – zakompleksiony prowincjusz i dziewczyna z „warszawki” – bawią się podczas silent disco. Niby razem, ale każde z nich ze słuchawkami na uszach tańczy do swojej muzyki. Na szczęście film potrafi się zbuntować przeciwko tak dwubiegunowej wizji. Bywa tyleż dosłowny, co zaskakujący czy przewrotny, i wbrew pozorom nie zawsze gra znaczącymi kartami. Najważniejsze, że daje swoim bohaterom i bohaterkom ludzką twarz, odziera z hipokryzji i masek, jednocześnie pozostawiając margines dla naszych wątpliwości i pytań. W odróżnieniu od sportretowanych na ekranie stosunków polsko-polskich komplikuje, a zarazem kompromituje proste mechanizmy identyfikacji i odrzucenia. ©

SALA SAMOBÓJCÓW. HEJTER – reż. Jan Komasa. Prod. Polska 2020. Dystryb. Kino Świat.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [13 – 20 III]

1. Płomienie



Dramat, reż. Lee Chang-dong, Korea Płd./Japonia 2018, TVP Kultura, 13 III, 20.35
Nie tylko autor zdjęć i kraj produkcji łączą ten film z oscarowym „Parasite”. Opowiada on o początkującym pisarzu, który próbuje odnaleźć się we współczesnym Seulu, pełnym społecznych nierówności i podskórnej przemocy, ale także we własnej rozbuchanej wyobraźni. Pierwowzorem filmu było opowiadanie Harukiego Murakamiego „Spalenie stodoły”.

2. Madeline’s Madeline



Dramat, reż. Josephine Decker, USA 2018, Sundance TV, 16 III, 22.00, 17 III, 6.00, 14.00
Dla amerykańskiej reżyserki dziewczęce dorastanie pod okiem dwóch kobiet, nadopiekuńczej matki i teatralnej mentorki, staje się pretekstem do filmowego eksperymentu. W życiu tytułowej Madeline granice między arteterapią a utratą własnych granic ulegają zatarciu. Podobnie jest z samym filmem, który wciąga widza w niepokojącą grę.

3. Spisek przeciwko Ameryce



Miniserial, twórcy: David Simon, Ed Burns, USA 2020, odc. 1, HBO GO, 17 III, po 3.00, HBO, 17 III, 3.00, 20.10
Jedna z bardziej wyczekiwanych produkcji telewizyjnych roku to adaptacja powieści Philipa Rotha, który przedstawił w niej alternatywną historię USA. Podczas II wojny światowej prezydentem zostaje faszystujący populistą, co będzie mieć istotny wpływ na życie pewnej żydowskiej rodziny z New Jersey. W rolach głównych Winona Ryder i John Turturro.

4. Hunters



Serial, twórca: David Weil, USA 2020, Amazon Prime Video
Jak dalece można fikcjonalizować wydarzenia związane z Zagładą? W skrytykowanym przez Muzeum Auschwitz serialu Al Pacino gra bezwzględnego łowcę nazistów, działającego w latach 70. I choć filmowi bliżej do „Bękartów wojny” niż do realistycznego kina, to sposób, w jaki przedstawiono tu rzeczywistość obozową, może budzić kontrowersje.

JAN

Klata: *No Time to Die*



NASTAŁ CZAS ODWOŁYWANIA RZECZY NIEpotrzebnych, kasowania wszystkiego: meczów, demonstracji, zgromadzeń, spotkań, kontaktów z drugim człowiekiem.

W mediach armagedon, nareszcie nie w reżyserii Rolanda Emmericha, nareszcie z miliardami autentycznych statystów. *Deep reality show* w maseczkach.

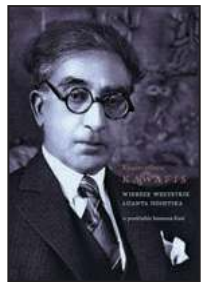
Wszystko, co nie jest niezbędne do podtrzymywania podstawowych funkcji życiowych, zostanie ograniczone, aż w końcu ludziom zostanie tylko internet. Najnowszym serialem Netflixa będzie „Dodekameron”. Kontakt z drugim kimkolwiek stanie się autoograniczony, bliźni przemienią się w bezludne wyspy na oceanie śmiertelnego lęku. Nie będzie Żyda ni Greczyna, będą nosiciele wirusów w różnym stadium rozwoju. Strach ma skośne oczy, ale zaraz zacznie wyglądać

coraz bardziej swojsko, słowiańsko, nadwiślańsko, piastowsko, piaszczyście. Reszta jest umywaniem rąk.

I stała się rzecz najgorsza: nie będzie Bonda. Schyłek, zmierzch, dekadencja, hańba, powtarzam grzmiąco: nie będzie nowego Bonda! Był gotowy do odpalenia w kinach, już na dniach, był, ale się zmył, albowiem go odwołali. „No Time to Die”. Serio, tak brzmi tytuł, trefnie i dowcipnie w sposób wielce niesmaczny, choć oczywiście niezamierzony. Zamierzona jest zwłoka w premierze „No Time to Die”. Możemy się cieszyć filmikiem promocyjnym, w którym jest to co zawsze, i o to chodzi. Urok Bonda mocno już zwietrzał, jak przenikliwe autotematycznie zauważają postaci Bonda w dialogach z Bonda. Konstatacja oklepiana podejrzaną szczerością, nawet w teaserze. Świeże jest co innego: fakt, że premiery Bonda nie będzie, został poddany kwarantannie do jesieni, więc los świata jest niepewny, bo Bond go nie uratuje. Urok świata najwidoczniej również zwietrzał, zasługuje tylko na maseczkę i długą, zbyt długą samotność przeglądającą na ekranie zdjęcia z zaprzyszłych wakacji w Italii.

Istnieje pokolenie uformowane traumatycznym faktem, że pewnego dnia nie było „Teleranka”, teraz na naszych oczach nie będzie Bonda. Smutek. *No Time to Die*. Pandemia czy paranoja? Głosujemy za pomocą esemesa bez treści. ©

Lektor: Aleksandria jest światem



■ Konstandinos Kawafis
WIERSE WSZYSTKIE

Przełożył Ireneusz Kania,
wstępem opatrzył Grzegorz Jankowicz.
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2019,
ss. 660.

KONSTANDINOS KAWAFIS (1863–1933), Grek z Aleksandrii. Kanon jego dzieła tworzą tylko 154 wiersze, obsesyjnie cyzelowane i opublikowane w postaci książki dwa lata po śmierci autora. Jego wielkość dostrzeżono jednak wcześniej, za sprawą angielskiego pisarza E.M. Forstera. Do wielbicieli Kawafisa należeli Giuseppe Ungaretti, W.H. Auden, Marguerite Yourcen-

nar, Lawrence Durrell i Jorgos Seferis, przyszły noblista. U nas Kawafisa odkryto późno. W 1961 r. w paryskiej „Kulturze” ukazały się cztery jego wiersze, spolszczone za pośrednictwem przekładu angielskiego przez Czesława Miłosza. Potem pracę nad tłumaczeniem Kawafisa z oryginału podjął Zygmunt Kubiak i było to przedsięwzięcie niemające precedensu, trwa-

jące blisko cztery dekady – od „Wyboru wierszy” z 1967 r. po ostatnią wersję „Wierszy i prozy” (2001). Zawiera ona nie tylko wspomniany kanon, ale także wiersze do niego niewłączone i wczesne utwory odrzucone oraz obszerne komentarze i monografię „Kawafis Aleksandryczyk”. Dzięki Kubiakowi Kawafis stał się częścią naszej tradycji i jednym z najważniejszych punktów odniesienia w poezji XX wieku. Potem Kawafisowy kanon przełożył na nowo Jacek Hajduk, a teraz mamy nową polską wersję „Wierszy wszystkich”. W wydaniu dwujęzycznym! Tom przygotowany przez Ireneusza Kanię, tłumacza o nieprawdopodobnie rozległym dorobku, pozwala więc nie tylko na porównanie translatorskich rozwiązań, ale i zachęca do przypomnienia sobie greckiego alfabetu i nauki nowogreckiego. Grze-

gorz Jankowicz pisze we wstępie o specyfice Kawafisowej greczyzny, o złożonej strukturze jego wierszy i „chropowatej fakturze” języka. Cóż – może podejmijmy trud, by to usłyszeć? Na pewno zaś możemy znów wrócić do Aleksandrii, która u autora „Miasta” ma wiele warstw i wymiarów. To pozaczasowa już przestrzeń starożytnej metropolii, zaludniona przez postacie zarówno pierwszoplanowe, jak i poboczne; to miejsce spotkania dawnych religii z chrześcijaństwem; to wreszcie ulice, kawiarnie i miejsca schadzek miasta współczesnego poecie, gdzie króluje homoseksualny Eros. Kawafis, jak zauważa Kubiak, nie nadał Aleksandrii żadnego upraszczającego sensu. „Pozostała wieloznaczna, niepokojąca, jak życie. Pełna też nierozwiązalnych antynomii życia, których nie rozcina poeta żadnym osądem”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Metr samotności



CZTERYSTA TYSIĘCY. TYLE GOSPODARSTW domowych w Mediolanie składa się z jednej osoby – na 745 tysięcy ogółem. Ponad połowa. Wprawdzie statystyka i wielkie liczby nie ogarniają masy życiowych niuansów, ale żadne dalsze zastrzeżenia typu „mieszkam sam, ale od dawna co weekend spotykam się z partnerką” nie zaprzeczą wrażeniu, że jest to ocean osobności. Użyjmy na razie tego słowa, bo w naszym języku „samotność” ma za duży garb uczuciowy, brzmi jak wyrok, jak piętno niepełnego życia. Brak nam tego subtelного rozróżnienia, jakie po angielsku pozwala komuś deklarować *solitude*, czyli bycie samemu, na osobności, ale nie czuć *loneliness*. Od kiedy najbardziej modnym – i najbardziej prospołecznym! – hasztagiem we włoskich mediach społecznościowych jest *#restaacasa*, czyli „zostań w domu”, ta osobność, do niedawna będąca tylko powodem zmartwienia dla demografów, zacznie być wyzwaniem dla lekarzy i terapeutów.

Wokół specjalnych restrykcji, które rząd nałożył teraz m.in. na Lombardię – a więc i na to wspańnię, frenetycznie zakrzętańe miasto – narosło trochę nieporozumień. Nikt nie otoczył regionu zasiekami, ludzie mogą jechać rano do pracy także do sąsiednich regionów (albo do Szwajcarii, pobliski kanton Ticino zatrudnia ok. 70 tys. Włochów), tyle że muszą wozic ze sobą własnoręcznie wydrukowany i wypełniony kwit, który stwierdza, skąd i dokąd się udają, i ewentualnie wręczać go w trakcie wyrywkowej kontroli na dworcu czy autostradzie. Całkowicie swobodny jest ruch towarów, nawet centra handlowe działają, chociaż zachęca się ludzi, żeby chodzili na zakupy tylko po jedzenie i produkty higieniczne, darowując sobie *shopping* mody albo szukanie większego telewizora bądź inteligentnej lodówki. To wszystko pod warunkiem, że placówka zapewni klientom możliwość utrzymania metra dystansu od najbliższego człowieka i jego kichającego nosa.

No i o ten metr – łatwy do utrzymania w wielkopowierzchniowym sklepie, za to praktycznie niemożliwy do zapewnienia w ciasnej knajpie i przy barze – najbardziej się rozchodzi. Bo razem z tamtymi 400 tysiącami singielskich gospodarstw tworzy on równanie o niewiadomej jeszcze głębi społecznych skutków. Żeby bowiem osobność nie przerodziła się w samotność, trzeba mieć zachować regularny, fizyczny, wzrokowy, ale i dotykowy kontakt z bliźnimi. A to w kulturach mających zapisane w DNA spędzanie mnóstwa czasu na ulicy, na agorze, jest akurat łatwe i przyjemne. Być może zresztą dla

tego Włosi szybciej od innych zaczęli rezygnować z uciążliwego skądinąd utrzymywania stałych związków pod jednym dachem, skoro i tak można się wytarzać w cudzym cieple, wydając 4,5 euro na popołudniowego spritzę, który trwa w najlepsze i w najgłośniejsze aż do wieczora?

Nigdy w życiu nie zaznałem naraz tylu dobrych przekąsek z gatunku *finger food*, tych przeróżnych kęsów sera, plasterków słoninki, kawałków tarty, warzyw w zalewie i z pieca, mikrokanapeczek, pulpecików, kulek, nadziewanych oliwek, chrupiących placuszków – jak w mediolańskich barach, które propagują lokalny rytuał *apericena*, czyli tego postbiurowego aperitif, w czasie którego człowiek tak się po troszeczkę obżera, że już mu to starcza zamiast kolacji. A że skubiąc drobniarzi, nie jesteśmy przykuci do stolika, wszystko dzieje się bardziej ruchliwie niż w porządnej restauracji, ludzie tworzą ciągle zmienne układy towarzyskie, stoją, kiwają się, obracają, przeciskają się z kąta w kąt z kieliszkiem w dłoni.

A raczej – przeciskali się. Teraz to wszystko, z powodu reguły złotego metra, właśnie szlag trafił, na nie wiadomo jak długo. Już mniejsza o zakaz całowania się ze wszystkimi na dzień dobry. (Dwa razy? Trzy? Od prawego czy od lewego? Od razu człowiek się zdradza, że przyjezdny. Kiedyś widziałem w „The Economist” mapkę Francji z zasadami powitalnego całowania, włoskiej niestety nie opracowali). Da się bez tego

funkcjonować. Ale niemożność bycia w kupie, w hałasie i chaosie może stanowić skok w bliżej nierozpoznaną jeszcze przepaść.

Albowiem dla większości z nas czas „wolny”, coraz dłuższy dzięki dobrodziejstwu wysokowydajnej gospodarki i łaskawego kodeksu pracy (koniec roboty w piątek o 14? – tysiąc kilometrów stąd to już świętość), nie jest wcale wolny, ale pusty. To jest „wolność

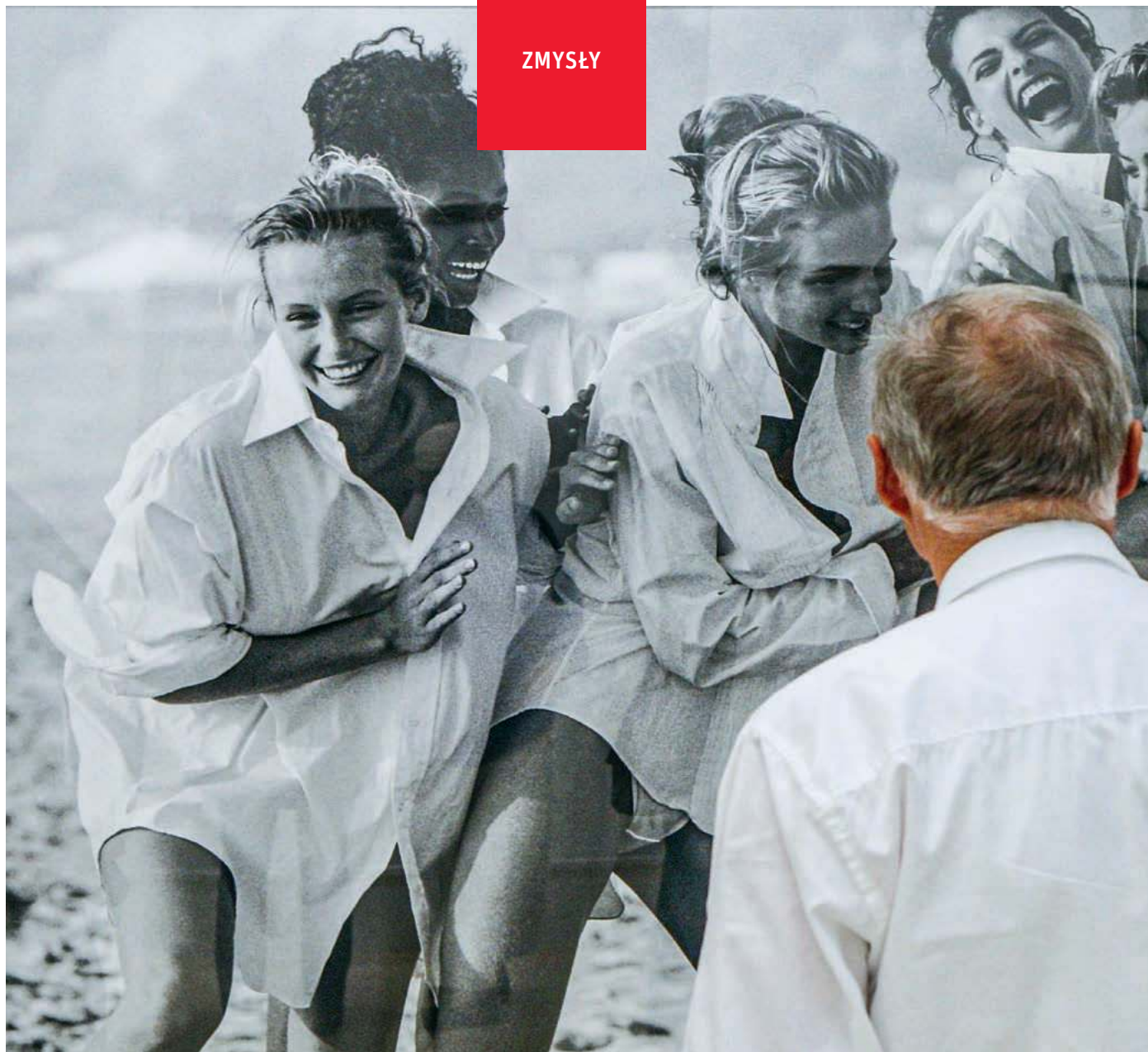
od”, jak powiedziałby Fromm, lecz jakie jest w tej wolności „do”? Ze wszystkich sposobów zapychania pustki siedzenie z bliźnimi w knajpie wydaje się i tak najzdrowsze, bo nie dość, że odkleja nas od smartfona, to jeszcze karmi głód bycia w fizycznym kontakcie.

Miłość poczeka, odpowiedział włoski minister zdrowia na pytanie, co ma zrobić chłopak z Rzymu, jeśli jego dziewczynę dekret uwięził w Mediolanie. Racja, miłość na pewno polega w dużym stopniu na czekaniu i coraz mniej jej krąży w powietrzu. Ale bez pierwotnego ciepła ludzkiego stada na pewno zaczniemy wariować szybciej.

Czy osobni mediolańczycy zamknięci w domach zaczną nagle dużo czytać i nadrabiać zaległości filmowe? To im radzą na Instagramie celebryci, którzy swoje trzy grosze muszą wciśnąć w każdą, choćby najbardziej dramatyczną szparę. Sam w takiej sytuacji zacząłbym więcej gotować, utracone *finger food* zamieniając na *comfort food*, jakiś przysłowiowy przedszkolny budyń z soki albo babcine mielone. Ale nie łudzę się, smagli kurierzy sieci dostawczych z kwadratowymi jaszkrawymi plecakami zaroją się na pustawych ulicach. I może wreszcie klienci zaczną z nimi rozmawiać. Zachowując metr dystansu, rzecz jasna.

©P





CIAŁO SIĘ UDAŁO

Zdecydowana większość kobiet (ponad 83 proc.) lubi swoje ciało mimo jego mankamentów i nie planuje niczego w swoim wyglądzie zmieniać.

MONIKA OCHĘDOWSKA

SEZON TRWA, CAŁY TINDER NA NARTACH, CZYLI DALEKO STĄD. Butelki szampana chłodzą się w krystalicznej bieli zboczy okolic Chamonix. W goglach roześmianych przyjaciół rozbłyśkuje słońce. Aktualizowane na bieżąco zasięgi oblewającego świat wirusa studzą głowy – tu, wysoko, jesteśmy przecież bezpieczni. Najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć

o niej, pić tego i żyć wesoło, podpowiada autor „Dekameronu”, florentyńczyk Boccaccio, wszystkie swoje pragnienia zaspokajać i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

Randkowa aplikacja Tinder działa jak cudowne spa – replikuje nasze najlepsze wersje. Ale przede wszystkim jest polityczna. Częściej niż nasze ciała demonstruje nasze poglądy



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Na wystawie zdjęć Petera Lindbergha, Berlin, czerwiec 2007 r.

i przynależność klasową. Nagość potaniała, odkąd popem i porno sycimy się równolegle i za pomocą tych samych narzędzi. Poddane recyklingowi seriale i programy telewizyjne obrastają fanowskimi pornoparodiami we wszystkich gatunkach, od komedii po horror. Trend skonsumowała zresztą kabaretowa seria „PG Porn” – akcja każdego z jej kilkunastu krótkich odcinków rozwija się według schematów znanych z filmów erotycznych, ale ich kulminacją, ku rozkoszy rozbawionych widzów, nie są wcale sceny seksu. Komizm nie rozbija konstytuującego pornografię napięcia, stał się na powrót jego częścią. To sprawia, że ciało nie jest już obszarem idealizowanym, raczej jednym z podstawowych narzędzi estetycznych – ironii.

Kobiety do jedzenia

Na początku lat 90. literaturoznawczyni Ewa Kraskowska opublikowała prekursorski esej zawierający „Kilka uwag na temat powieści kobiecej”. To krytyczny, choć przede wszystkim sys-

tematyzujący przegląd gargantuicznej liczby przeczytanych książek. Między wierszami iskrzy od zachwytu nad możliwościami, jakie dają ledwo otwarte granice: w bibliotekach i księgarniach na zachód od Odry „mniej więcej połowę miejsca zajmują tytuły sygnowane nazwiskami kobiet” – relacjonuje badaczka. Dla bywalczyni polskich placówek tego rodzaju odkrycie było wtedy szokujące. I pomyśleć, że raptem ćwierć wieku później Dariusz Nowacki we wstępie do krytycznoliterackiej książki o prozie kobiecej będzie się zastanawiał, skąd wzięły się w Polsce „setki piszących pań”. Kraskowska czyta przede wszystkim prozę angielską i amerykańską, podkreślając, że nie są to żadne „powieściółki” (*novelletes*). Wśród krytyki krążą znacznie gorsze określenia – twórczość kobiet zbywana jest wręcz jako aktywność „menstruacyjna”.

Akcja powieści czytanych przez autorkę eseju rozpoczyna się przeważnie wraz z końcem romansu „przeciętnej, tyle że obdarzonej przenikliwą samoświadomością bohaterki, a nie gwiazdy, modelki czy innej tzw. kobiety sukcesu”. W polskiej prozie powojennej ten typ fabuły występuje w śladowych ilościach, toteż Kraskowska nie ma żadnego materiału porównawczego. Zanim „przeciętna” bohaterka w naszej literaturze się pojawi, będzie musiało minąć kilka lat, podczas których zaspokoimy głód gwiazd i sukcesów. W kioskach dopiero pojawiają się pierwsze ilustrowane pisma dedykowane „nowoczesnym kobietom”, z roześmianymi Tiną i Claudią na okładkach. Dorota Masłowska nazwie je potem magazynami „Nie dla Ciebie” – kompendium wiedzy o świecie, do którego większość Polek nie ma wstępu. Za moment wejdzie w życie ustawa antyaborcyjna, ale nic nie zapowiada opresji, której poddane zostaną ciała dorastających dziewczynek. Nie ma żadnych rozpoznanych strategii oporu, choć w pracowni Grzegorza Kowalskiego na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych rodzi się polska sztuka krytyczna, z której rozwiązań skorzysta nie tylko proza. Były sejmy niewieście, potem koła gospodyń wiejskich, ale *sisterhood*? Kraskowska ubolewa nad brakiem polskiego odpowiednika, na użytek eseju wybiera określenie „związki siostrzane”.

Siostrzeństwo to tylko jeden z tematów kobiecej prozy, z którą entuzjastycznie zapoznaje się krytyczka. Dla zachodnich autorek, takich jak Gail Goodwin, Erica Jong czy Margaret Atwood, istotne są kwestie fizjologii i cielesności. Często pojawia się temat choroby, w tym także – jeszcze u nas praktycznie nieznanej – anoreksji (słynna „Kobieta do zjedzenia”, debiut prozatorski Atwood z 1969 r., poruszający problem zaburzeń odżywiania, na polskie tłumaczenie czeka 20 lat). Dalej: „matkofobia”, frustracja erotyczna i brak orgazmu, niedostateczna uroda czy wręcz dyskwalifikująca w męskocentrycznym świecie brzydota.

W zasadzie można bez popełnienia nadużycia stwierdzić, podsumowuje Kraskowska, że doświadczenie negatywne jest podstawą istnienia literatury kobiecej, a doznane urazy – zwyczajowym punktem wyjścia jej fabuły. Autodestrukcja, „toksymia”, napisze później Małgorzata Rejmer, i depresja staną się popularnym narzędziem konstruowania kobiecej podmiotowości także w naszej prozie, co ostatecznie doprowadzi ją do pułapki unieważnienia. Język przemocy i patologii zdradzający nadintensywność bohaterek obróci się przeciwko nim, bo stworzy kliszę wzmacniającą kulturowy stereotyp kobiety-histeryczki.

Buffy i chłopczyce

→ Zanim polska literatura przerobi tę lekcję, Zbigniew Libera pod koniec lat 80. pokaże „Jak tresuje się dziewczynki” – krótki film, w którym dojrzała kobieta instruuje małą dziewczynkę, jak robić makijaż i dobierać biżuterię. W 1994 r. powstaje „Ciotka Kena”, wariacja na temat coraz popularniejszej, dostępnej dotąd tylko w Peweksie lalki Barbie, po latach obwinianej o utrwalanie nieosiągalnych wzorców kobiecego ciała (ciotka to jej postarzona i pogrubiona wersja). Niedługo potem Libera złoży „Body Master” – narzędzie tresowania chłopców, które pojawi się we wszystkich osiedlowych siłowniach. Praca „Możesz ogolić dzidziusia” odwoła się z kolei do kulturowego kompleksu owłosionego ciała, coraz mocniej sprzecznego z pożądanym wyglądem ciała kobiety, które powinno być – jak pokazują reklamy golarek i antyperspirantów – wszędzie idealnie gładkie, jak u niemowlęcia.

Słowem: sztuka krytyczna, podglądając nuryt płynące z Zachodu, reaguje na efekty transformacji ustrojowej bardzo szybko. Przyglądając się rosnącym apetytom na niedostępne dotąd produkty oraz ich hipnotyzujące reklamy, dokonuje ich powielenia w zniekształconej, polemicznej formie. Z tego samego narzędzia skorzystał kilka tygodni temu wydawca amerykańskiego magazynu modowego „Girls Girls Girls”. W filmie „Be a Lady They Said”, który wywołał szum i zebrał aplauz także w polskiej prasie i mediach społecznościowych, znana z serialu „Seks w wielkim mieście” Cynthia Nixon recytuje feministyczny manifest zapożyczony z bloga studentki z Vermont, Camille Rainville. Sam manifest powstał trzy lata temu jako komentarz do akcji #MeToo. Rainville zestawiała w nim wszystkie wykluczające się porady drukowane hurtowo w pismach dla kobiet: „nie przesadzaj, nie wymyślaj, nie obrażaj się, nie gadaj bzdur, nie prowokuj, ale miej własne zdanie. Schudnij, utyj, bądź matką, ale nie rezygnuj z kariery” itd. Wykorzystany do promocji komercyjnego produktu manifest staje się nieoczekiwane częścią tego samego przemysłu. Materiały zamieszczane przez wydawcę magazynu w mediach społecznościowych nie odbiegają znacząco od tych, które znamy z piętnowanych przez „Girls Girls Girls” tytułów „Nie dla Ciebie” – to profesjonalne zdjęcia modelek. Dla wzmocnienia wizerunku Nixon wykorzystano ponadto typowo męskie atrybuty, jakby na potwierdzenie tezy, że aby powiedzieć światu ważne rzeczy, należy ściąć włosy i włożyć smoking. „Czy wiesz, jak to jest być dziewczyną?” – śpiewała 20 lat temu Madonna, opowiadając słuchaczom o tym samym doświadczeniu („kiedy otwierasz buzię, by coś powiedzieć, pozostają krucha i delikatna”). W pierwszych sekundach piosenki „What it feels like for a girl” słyhać fragment filmu „Cementowy ogród” Andrew Birкина z 1993 r., w którym młodzietka Charlotte Gainsbourg tłumaczy fenomen chłopczycy (ang. *tomboy*): „Dziewczyny mogą nosić dzinsy i ścinać włosy na krótko; mogą nosić koszule i trampki, bo bycie chłopcem jest w porządku. Ale chłopak noszący się jak dziewczyna wygląda żałośnie”.

Wróćmy zatem do początku lat 90. – to czas, gdy właśnie wygasa popularny, między innymi za sprawą jednego z telewizyjnych sitcomów „The Facts of Life”, długo akceptowany w amerykańskiej popkulturze model chłopczycy. Bohaterka serialu, Jo Polniaczek (Nancy McKeon) nosi skórzaną kurtkę i jeansy, gra w baseball, a w wolnych chwilach naprawia motocykl, pokazując całemu pokoleniu Amerykanek, jak może wyglądać bycie nastolatką. Ten model dziewczynstwa przestaje być atrakcyjny, gdy na fali *girl power* popularność zyskują zespół Spice

Girls i serialowa Buffy udowadniające, że można być silną bez „poświęcania” swojej kobiecości.

O ile era chłopczycy mogła sugerować, że męskość jest dla obu płci korzystna, a kobiecość deprecjonująca, to epoka *girl power* umocniła w nas przekonanie, że dziewczyny mogą być silne, o ile są ładne. Mariaż obu sprzecznych trendów odbija się mocnym echem w popkulturze, obradając postaciami atrakcyjnych kobiet, które – by utrzymać się na powierzchni męskiego świata – muszą przejąć jego najgorsze wzorce i normy. Być wulgarnie i agresywnie jak bohaterki Patryka Vegi albo unikać fitnessu, jeść mięso zamiast sałatek i łamać prawo – jak korporacyjna prawniczka Joanna Chyłka ze sfilmowanej przez TVN serii kryminałów Remigiusza Mroza. A przy tym, oczywiście, wyglądać świetnie.

Tymczasem na początku XXI wieku dojrzejawą dziewczynki wychowane na nieustraszonej wojowniczej Mulan, które jednocześnie kibicują przywódczyni morskiej rewolucji, zapominalskiej Dory z „Gdzie jest Nemo”. Nie bez powodu w oryginalnej wersji językowej rybka Dory mówi głosem Ellen DeGeneres, aktorki i prezenterki, która kilka lat wcześniej zaryzykowała karierę wyznając, że jest lesbijką. Obsesję na punkcie księżniczek prześmiewa pulchna, bezwstydnie bekająca Fiona ze „Shreka”. „Potwory i spółka” dają z kolei lekcję wiedzy o społeczeństwie w dobie kapitalizmu, kierując do swoich odbiorców, dorastających w cieniu karier przepracowanych rodziców, komunikaty: „walcz z wyzyskiem”, „demaskuj ideologię”, „inwestuj w opór”. Aż w 2008 r. przychodzi załamanie rynków finansowych.

Porażka jest cool

W Polsce, która nie doświadczyła tamtego kryzysu aż tak mocno jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy Hiszpania, w dorosłość wchodzi pierwsze od 200 lat pokolenie wychowane w niepodległym kraju. Obiektywnie należymy do grona najbogatszych państw świata, w porównaniu do sąsiadów z byłych republik radzieckich obronną ręką przeszliśmy transformację gospodarczą, mamy wyższe PKB niż Bułgaria, Litwa czy Rumunia i znikome bezrobocie – młodych to jednak nie obchodzi.

Pokolenie wychowane w otwartych granicach Unii Europejskiej nie ogląda się wstecz. Oczekuje poziomu życia porównywalnego do tego za Odrą. Takie wnioski płyną z badań Jakuba Sawulskiego opublikowanych w zeszłym roku w książce „Pokolenie '89. Młodzi o polskiej transformacji”. Pokolenia urodzone w wolnej Polsce nie pamiętają rzeczywistości PRL-u i jednocześnie wysoko stawiają poprzeczkę niedostatecznie opiekuńczemu państwu, co skutkuje nieuchronnym rozczarowaniem podobnym do tego, które dotyka dwudziesto- i trzydziestolatków żyjących w centrum kryzysu finansowego czy migracyjnego.

Wrażenie wzmacniają oglądane w tym samym czasie na całym świecie filmy i seriale. Młodzi dorośli wiedzą już, że doprowadzające państwa na skraj bankructwa instytucje są „zbyt wielkie, by upaść”, wobec czego przestają wierzyć, że ich ambicje przełożą się na przyszłe dochody i emerytury. Wątpią także w sens stawiania oporu – demonstracje i strajki nigdzie na świecie nie przynoszą oczekiwanych skutków. Zniechęcenie pogłębia wysokość niespłacalnych kredytów studenckich i metraż mieszkań dzielonych z uciążliwymi współlokatorami, bo niewielu stać na własne „M”. W takich warunkach nie sposób myśleć o zakładaniu rodziny. Modna, jako cyniczna strategia oporu, staje się za-

tem celebra porażki, a bohaterem nowych czasów – życiowy „przegryw”.

Lata plajty ucą luzu. W latach 50. XX w. bycie *cool* stanowiło rodzaj pancerza ochronnego – pisał amerykański historyk Peter N. Stearns o środowisku jazzowych hipsterów. Dystans wobec porażki, choć towarzyszy mu cała gama negatywnych afektów, pozwala ująć karzącym normom, które dotąd dyscyplinowały zachowanie ludzi. Stearns odnosił się do wzorców wiktoriańskich, ale ten sam mechanizm obserwujemy co kilkadziesiąt lat. Moda na porażkę pojawia się także w parze z grunge'em pod koniec lat 80. Symbolem nastawienia do życia abnegackiej młodzieży z deszczowego Seattle w stanie Washington stają się koszulki z napisem „Loser”, a bohaterem popkultury – nieprzystosowany do społecznego życia frajer.

Kilka lat po ostatnim kryzysie finansowym obserwujemy podobne zjawisko. Seks przestaje być domeną silnych, szczupłych, wypielegnowanych ciał należących do białej klasy średniej. Sprowadzając się do Nowego Jorku, Hannah Horvath, Ilana Glazer i Abbi Jacobson, bohaterki popularnych seriali „Dziewczyny” i „Broad City” (w wersji animowanej mówi o tym także wyprodukowana w zeszłym roku przez Netfliksa „Tuca & Bertie”), przywracają seks ciałom otyłym, owłosionym i nieporadnym. A przede wszystkim – niezamożnym. Dla widza przyzwyczajonego do wyidealizowanych przedstawień kobiecości to, co dzieje się w „Broad City” i „Dziewczynach”, jest prawdziwym wstrząsem. Ciała nie są prezentowane ku uciechu męskiego spojrzenia, funkcjonują wyłącznie dla siebie. Ostatecznie od związków – których utrzymanie jest niemożliwe ze względu na sytuację finansową – ważniejsze jest siostrzeństwo.

Choć jest to wciąż nisza, trend ewoluuje – Netflix podsuwa nam seriale takie jak „One Day at a Time” czy „Sex Education”, których fabuła opiera się na łamaniu każdego tabu. Popularne piosenkarki i aktorki jak Pink czy Kristen Stewart eksperymentują z wyglądem, sprawdzając granice dyktowane przez Hollywood normatywności. Dzięki zamięłowaniu do luźnych ciuchów gwiazda muzyki pop Billie Eilish, nazywana przez amerykańskie media nowym wcieleniem chłopczycy, otwiera alternatywę dla typowego wizerunku idolki nastolatki, które latami dyktowały Rihanna czy Beyoncé.

Abbi, Ilana i Hannah – jak autorki powieści z lat 70. czy 80. – czerpały materiał fabularny z własnej biografii (bohaterki „Broad City” posługują się prawdziwymi imionami i nazwiskami). Nie są gwiazdami ani kobietami sukcesu, co więcej – nie aspirują do tego. Szukają sposobów na obejście systemu, wykorzystanie jego słabych punktów. To sprzątaczkę, początkującą piosenkarkę, wieczne praktykantki i stażystki. Każdym odcinkiem ironicznie, czasem wręcz cynicznie komentują to, o czym w swojej książce pisze Sawulski: kiepską sytuację finansową, standard dostępnych na wynajem mieszkań, wykluczenie transportowe (podróż na przedmieścia jest możliwa tylko dla posiadaczy aut, w innym przypadku przypomina wyprawę na Księżyc), brak wiary w instytucję państwa i jego urzędy, działające jak w prozie Kafki (to jeden z ważniejszych tematów „Broad City”), przede wszystkim zaś – rynek pracy (temat kreskówki „Tuca & Bertie”).

Skądinąd brak dobrej pracy staje się szybko jednym z najważniejszych tematów podejmowanych przez kulturę, istotniej-

**Na co dzień
nie wypada wyglądać
zbyt dobrze i zdrowo,
bo też – nie stać nas na to.**

szym niż ciało i seks. Nic dziwnego, w wydanej właśnie książce amerykańskiego antropologa Davida Graebera „Praca bez sensu” na pytanie „Czy Twoja praca daje światu coś sensownego?” 37 proc. Brytyjczyków i 40 proc. znanych niegdyś z zamięłowania do bezinteresownego krzątania Holendrów odpowiada, że nic nie przemawia za istnieniem ich zajęcia. Rzecz z polskiej perspektywy dosadnie

komentuje Michał Tabaczyński w tropiącym związku kapitalizmu i depresji eseistycznym „Pokoleniu wyżu depresyjnego”. Praca jest jednym z największych rozczarowań młodego pokolenia i nawet jeśli dla „innych pokoleń znaczyło to taki sam egzystencjalny skandal (...) i tak nas to niewiele obchodzi (...)” To my zaczęliśmy o tym pisać powieści, recytować wiersze, a nawet śpiewać piosenki” – zauważa Tabaczyński.

I rzeczywiście, nowojorski trend szybko podchwyciły w swoich powieściach, czyniąc go zasadniczym tematem twórczości, m.in. Salcia Hałas, Katarzyna Kochmańska, Adelka Truścińska, Natalka Suszczyńska i Agnieszka Wolny-Hamkało. „Mam pracę na takim stanowisku, które nie wiem, jak się nazywa, ale moje zadanie polega na tym, że robię to, na co inni akurat nie mają czasu” – pisze Truścińska w debiutanckim „Życiu Adelki”. „Ambicja, pieniądze, władza – to słowa, których używam zawsze w złych kontekstach. Kiedyś ktoś mi powiedział, że bym wpisała sobie ambicję do CV, po czym się oboje roześmialiśmy”. Bohaterka „Dropi” Natalki Suszczyńskiej cieszy się „cieplutką umową śmieciową” na stanowisku kontrolerki poprawności kodów PIN.

Sexy w każdym mieście

Ale bycie *cool* to także określony *image* – nosimy się dziś o wiele skromniej, dumnie prezentując niedbały, inspirowany grunge'em, modą na bycie eko i bohaterkami seriali obciachowy styl *antylglamour*, podkreślający wszelkie niedoskonałości figury. Na co dzień nie wypada wyglądać zbyt dobrze i zdrowo, bo też – nie stać nas na to. Abbi z „Broad City” w fitness klubie może być tylko sprzątaczką – jej realny wysiłek porównywany z tym podejmowanym w wolnym czasie i dla zabawy przez klientów siłowni jest wymownym tłem całego serialu.

Czy na porażce zyskało ciało?

Z przeprowadzonych w 2017 r. przez Uniwersytet Medyczny w Białymstoku badań wynika, że zdecydowana większość kobiet (ponad 83 proc.) lubi swoje ciało mimo jego mankamentów i nie planuje niczego w swoim wyglądzie zmieniać. Przeprowadzone w tym samym roku badania CBOS-u potwierdzają, że ponad trzy czwarte Polaków akceptuje swój wygląd zewnętrzny: blisko jedna czwarta jest w pełni usatysfakcjonowana tym, co widzi w lustrze (23 proc.), a pozostałe 54 proc. „raczej” się sobie podoba. Wygląda na to, że – jak powiedział kiedyś burmistrz Berlina Klaus Wowereit – znów czujemy się „biedni, ale sexy”. Tym razem nie tylko za żelazną kurtyną.

©© MONIKA OCHEŃDOWSKA



MONIKA OCHEŃDOWSKA będzie gościć w programie Grzegorza Chasty w środę 11 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
| Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Porady magazynowe



PYTANIE DNIA BRZMI: CZY UCZUCIE PANIKI może być przyjemne i czy poddanie się masowej psychozie może być miłe i pożyteczne? Jest to zagadnienie ważne, bowiem powszechnie i lekkomyślnie się uważa, że niegodnym jest uczestnictwo

w reagowaniu stadnym bądź to w działaniach pochopnych, także uruchamianych przez tłumy. Na pytanie owo odpowiadamy natychmiast: owszem, panika ma w sobie sporo powabu, a działanie w stadzie jest naturalne i daje poczucie odzyskania utraconej wspólnoty. Także, natychmiast przejdziemy teraz do koniecznych dziś refleksji oraz poradnictwa, pierw cudzego. Jedyna w dzisiejszej dobie porada prezydenta kraju, by myć ręce, wydaje się nam bardzo uboga jak na mowę do ludu będącego w stanie panicznego pobudzenia. Rzecz jasna, niejako przy okazji, skoro o myciu mowa, prezydent mógłby wykorzystać dobry moment i poprosić naród, by mył się w ogóle, częściej, dokładniej i bez specjalnej okazji, ale są to, zdaje się, zbyt daleko posunięte fantazje i oczekiwania.

Wypada prędko zaznaczyć, dziś szczególnie, naszą wyższość, a będzie ona uzasadniana tzw. doświadczeniem życiowym. Otóż nasze pokolenie, jak mawia młodzież: „boomerów”, ma ogromną wiedzę na temat zakupu nadprogramowych rolek papieru toaletowego, wyniesioną z prehistorii. Drobną wadą w zdaniu powyższym natychmiast korygujemy: otóż w czasach paniki bądź niedoborów nie istnieje coś takiego jak „za dużo”, bowiem wtedy wszystkiego jest za mało. W dążeniu do ideału (magazyn zawsze pełen) potrzebne są takie cechy i zdolności jak: żywa kalkulacja, chciwość, spostrzegawczość, ruchliwość, zdolności spekulacyjne,

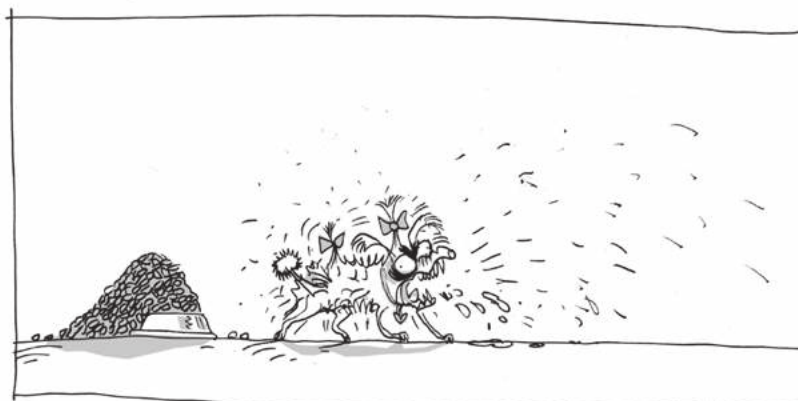
logistyczne, w tym – to oczywiste – bezustanne rozszerzanie przestrzeni magazynowych. Doprawdy wszelkie, jakże dziś powszechne, a pocieszne kłopoty wynikające z gromadzenia towaru i wynikające z tego zniżki i wyprzedaże napawają nas rozbawieniem. Nie przypominamy sobie, by za naszych czasów istniał problem, gdzie trzymać trampki, wagony dżinsu tureckiego, cukru, wódki, biseptolu, by był to problem realny.

Gdyby przenieść się do owych czasów, i gdyby postawić do dyskusji w dowolnym gronie zagadnienie, gdzie mianowicie trzymać w domu stosowny (ale nigdy wystarczający) zapas spirytusu, słuchacze doszliby do wniosku, że mają do czynienia z chorą istotą. Odpowiedź jest przecież banalna – otóż spirytus można trzymać wszędzie i w dowolnych ilościach. Wiedziało to w ówczesnej Polsce każde dziecko i każdy starzec. Spirytus – podstawowe, odwieczne płacidło na naszej szerokości geograficznej – jest towarem niewymagającym, w odróżnieniu od cukru. Cukier – weźmy: kryształ czy puder – jest tylko półproduktem i towarem, którym interesują się mrówki, doprawdy mało kogo stać na zakup mrówkojada jako strażnika skarbu, cukier nie lubi wilgoci, podobnie jak sól. Masło, zważmy, jętczeje, jajka śmierdzą, w kaszy, makaronie i mące mole wykazują zwiększony popęd, a tym samym dzielność, konserwy rdzewieją, słowem – tylko spirytus. Jest to towar estetyczny, smaczny i praktyczny, bez dat ważności, a jego ceny mają skłonność do powabnego szybowania – słowem to produkt uniwersalny, mający ogromne spektrum użyteczności i solidną stopę zwrotu. W naszych czasach za butelkę spirytusu miało się dobre 40 rolek papieru toaletowego i także – wieszczymy – będzie również teraz.

Zważmy na koniec, że rząd zniósł właśnie akcyzę na ten napój i jest to absolutnie pierwsza taka sytuacja od czasów Piasta Kołodzieja. To historyczna okazja. Jak czytamy w stosownym dekrete, spirytus ów ma być przeznaczony do „produkcji środków biobójczych”, co jest próbą przedobrzenia bądź to narzucenia ludowi smaku, przy jego zaś „produkcji, rozlewaniu i wydawaniu muszą być obecni funkcjonariusze służby celno-skarbowej”. No tak. Co zwykle u tego rządu, to wyznaczanie do wielkich zadań ludzi gruntownie niekompetentnych. Przecież to jasne, że w tych okolicznościach winni być tam obecni barmani.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



SZUKAMY NOWEGO OPIEKUNĄ DLA 4-LETNIEGO, WIERNEJ PSINY.
WABI SIĘ TELEWIZUNIA.

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczaam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



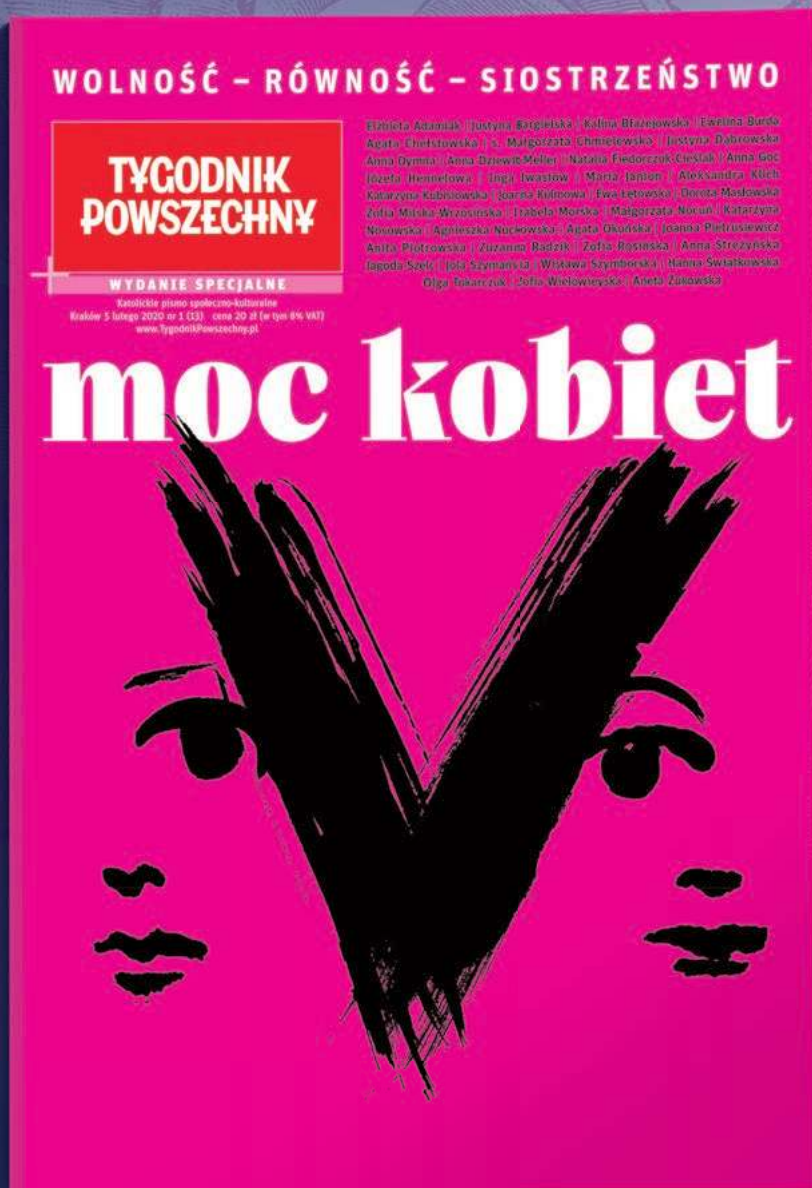
Wydanie specjalne „Moc Kobiet” BEZ TABU, BEZ LUKRU



”

*Wiedźmy są od wie-
dzenia. A także od
tego, co streszcza się
w tej pięknej sentencji,
że „grzeczne dziew-
czynki idą do nieba,
a niegrzeczne idą tam,
gdzie chcą”.*

JAGODA SZEŁC



„Moc kobiet” – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY



SIEMENS
Ingenuity for life